



SZKICE Z PODRÓŻY W TATRY

skreślił

WALERY ELJASZ.

Z 4 miedziorytami i litografowaną tabelą.

W POZNANIU
NAKLAD TYGODNIKA WIELKOPOLSK. CZCIONKAMI I. MERZBACHA.

DODATEK
W KRAKOWIE
Nakładem autora.
W Drukarni Leona Paszkowskiego
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

1874.

Odbito 200 egzemplarzy.

TREŚĆ

SZKICÓW Z PODRÓŻY W TATRY.



Wstęp.

Krzyżne str. 4.

Hala królowa. Żółta turnia. Załety kosodrzewiny. Przeprowadzenie po złomach granitowych w Pańszczyce. Wdzieranie się po piargach na Krzyżne. Widok z Krzyżnego. Wołoszyn. Wierchołek Wielkiej Koszystej. Zejście z niej nad staw Zielony. Powrót wśród słoty przez manowce do Jaszczurówki.

Świnnica str. 23.

Odkrycie wyjścia na najwyższy szczyt Świnnicy. Kuznice. Boczań. Widok z hali królowej. Dolina stawów Gąsienicowych. Liliowe i widok z niego. Skrajna i pośrednia turnia. Koziec w Tatrach. Pobyt i zapiski na wierzchołku Świnnicy. Powrót do Zakopanego.

Zakopane str. 45.

Podhale. Wieś Zakopane. Chaty góralskie. Opryszki w Tatrach. Życie pasterskie. Nieszczęśliwe zdarzenia. Ochrona kozic i świstaków przed drapieżnością strzelców. Wiatr halny. Goście w Zakopanem.

Giewont i Czerwone Wierchy, str. 64.

X. Stolarczyk na szczycie Giewontu. Ujście doliny Małej Łąki. Polana Miętusia. Wielka turnia. Źródło nad odchlanią. Wierch Malołączniaka. Krzesanica. Widok z Czerwonych Wierchów. Szczerba w Giewoncie. Piekło. Źródło Białego Dunajca. Polana Kalatówki.

Dolina Kościeliska str. 79.

Skreślił Dr. E. Janota.

Mapy. Ujście doliny Kościeliskiej. O chłodawli bytła w Tatrach. O zaniedlonych zdolnościach Podhalań. Potok Kościeliski nie jest Czarnym Dunajcem. Małe Kościeliska. Stare Kościeliska. Nocleg w szalacie na Pysznej. Źródło wielkie. O wyłomach w Tatrach. Nazwa doliny Kościeliskiej. Mostek tatrzański. Polana Pisana. Kraków w Tatrach. Wypływ wody z pod Pisaniej nie jest źródłem.

Wycieczka do Morskiego Oka przez Zawrat. s. 125.

Dolina Bystrzej. Kuźnice. Kępa Królowa. Dolina Gąsienicowa. Szalasy w Tatrach. Staw Czarny. Zmarzłe. Burza pod Zawratem. Zawrat. Widok z tamtąd. Dolina Pięciu Stawów. Staw Wielki. Siklawa. Noc w lesie przy Morskiem Oku. Morskie Oko albo Rybie jezioro. Czarny staw nad Ryliem. Roztoka. Powrót przez Wakszmudską i Jaszczurówkę.

Muszyna str. 170.

Bochnia. Urząd pocztowy. Droga do Nowego Sącza przez Limanową. Krynica. Powroźnik. Kościół w Muszynie. Pierwsza wiadomość historyczna o tem miasteczku. Wydzga szlachcie polski wskazuje złoto kolo Muszyny. Muszyna początkiem Biskupszczyzny. Dzieje Muszyny i jej przywileje nadane od królów Polskich. Zamek Muszyński.

Żegiestów str. 188.

Poprad. Wieś Andrzejówka. Malownicza droga do Żegiestowa. Zakład kąpielny. Wieś Żegiestów. Strój tutejszego ludu. Odkrycie źródeł leczniczych. Urządzenie zdrojowiska i rozbiór wody. Zła restauracya w Zakładzie. Życie i spacer w Żegiestowie.



DODATEK.

Polski Grzebień str. 201.

Waksmundska lub Lichajowa polana. Przejście Białki. Dolina Białej wody. Staw Zielony, Litworowy, Zmarzły. Grzebień Polskiej przełęczy. Noc u stóp Gierlacha w dolinie Wielkiej. Szmeks. Poprad. Tatry od południa. Hraulek. Dolina Liptowska. Przybylina. Polkamieniste. Nocleg w Leśniczówce. Dolina Wiercheicha. Przełęcz Tomanowska. Powrót przez dolinę Kościeliską.

Lodowy szczyt str. 226.

Zkąd pochodzi nazwa Lodowego. Wycieczka na szczyt 1873 r. Polana Rnsinowa i widok z niej. Jaworzyna Spiska. Galejdówka. Murań. Dolina Jaworowa. Droga na Lodowy od południa. Burza na skałach i mgła. Odwrót w deszczu bez dopięcia celu. Powtórna wyprawa na Lodowy przez Poronia i Bukowinę na wózkach. Sławny widok z Głodówki. Znowu Jaworzyna Spiska i Galejdówka. Wdzieranie się na szczyt Lodowy. Widok z tamąd i wrażenia. Powrót do Zakopanego przez Podspady, Jurgów i Bukowinę.

Pogląd na Tatry str. 248.

Wiersz księdza Antonicwicza. Pogląd historyczny. Nazwa Tatr. Ich mieszkańcy. Granice Polski za Tatrami. Mowa Podhalań. Słowniczek wyrazów Podhalań. Przemysł górali. Poczęcie piękna. Stosunek rodziny n górali i ich pojęcia o miłości. Pogoda w Tatrach. Różnica stoków południowych od północnych. Podział Tatr na wschodnie i zachodnie. Roślinność. Zasięgi pionowe. Śniegi wieczne. Tatry widziane z dala.

Miedzioryty (aqua forte).

- | | |
|-------------------------------------|---------------|
| 1. Zwóz mleka z bał, przed tytułem. | |
| 2. Kezice | przy str. 60. |
| 3. Szalas | „ „ 106. |
| 4. Juhas na wierchu „ „ | 249. |

Tabela litografowana mieści widoki na pasmo Tatr:

1. ze wsi Bukowiny, 2. z Gutalówki nad Zakopanem.
3, z Czerwonego Wierchu Małocznika i zestawienie wzniesień
Tatr, Beskidów i okolicy Krakowa.



Zrodzonemu na podnózu gór, nawykłemu patrzeć w świat górski, tajemniczy, pełen cudownych uroków, nie zastąpi go inny, choćby najrozkoszniejszy kąt ziemi; tęsknić będzie za wodami, za wichrami, za wszystkim, wśród czego wzrósł, bo nic nie sprostą krainie górskiej. Mieszkańcom równin trudno pojąć tęsknotę, jaka opañowuje górala, gdy mu przyjdzie długo przebywać w równinach, nie mówiąc już o zamieszkanin. W kim tkwi chociaż iskra poezji, ten na widok gór uczuwa do nich pociąg nieokreślony; jest coś, co ludzi tam zwabia. Jeden z górali Zakopańskich (Maciej Sieczka) w prostocie swojej zastanawiając się nad przyczyną dążenia ludzi na góry, wyrozumował, że na górze wydaje się człowiekowi, iż jest bliżej Boga.

Nie odmówił i naszej ziemi Stwórca cudownej ozdoby, ma bowiem Polska awoje Alpy, chociaż swoim bardzo mało znane. Brak komfortu, hoteli, dróg dobrych i wszelkich wygod dzisiajszej naszej społeczności nie

zastąpi prostota, rzekłbym jeszcze dziewiczość Tatr. Same wdzięki w całym tego słowa znaczeniu pięknej, czarującej przyrody tatrzańskiej nie starczą za przyręniętę polskim turystom, zwłaszcza papinkowatym wycieczkom obecnego pokolenia, jakich lada niewygoda od podróży w nasze góry odstrasza; niema dotąd kolei do Tatr, ale jak bardzo słusznie W. Pol w Obrazach z życia i natury powiada, że „ci, co nie należą do postępowych zgnilków i mazgai, potrafią i dziś dostać się w Tatry na góralskim wózku.

Kraków do podróży w Tatry dla całej Polski jest punktem zbornym, a ostatniem miejscem w dostawie wszelkich potrzeb i wygod cywilizowanego świata. Położony na podnóżu karpackiem, ukazuje w dali podróżnemu na ostatnim od południa widnokregu cel życzeń, łańcuch gór, ale od razu nasuwa się pytanie, jak się tam dostać. W kilka godzin od Krakowa można stanąć wśród Beskidów, pierwszego pasma Karpackiego, ale do Tatr jeszcze daleko, bo przeszło 14 mil dzieli gród Krakusa od właściwych polskich Alp. Prześlizna droga nagradza trudy dwudniowej wędrowki i niewygody noclegu w polskiej karczmie, a ostatnim krańcem dla zamieszkania jest Zakopane, wieś wielka rozłożona u samych stóp Tatr, z kąd czyni się wycieczki do wnętrza gór. Wszelkie wiadomości, opisy, objaśnienia konieczne i nieodzowne dla podróżnego do Karpat streściłem w wydanym przez J. K. Żupańskiego roku 1870. Illustrowanym Przewodniku do Tatr, Pienin i Szcza-wnic; tu więc pragnę podać opisy jak najwierniejsze

własnych wycieczek w góry, aby z nich mogła powstać całość, dająca pojęcie jakie takie o Tatrach; zaś dla osób, co tam były, posłużą za wspomnienie.

Ponieważ ma to być zbiór obrazków z Tatr, który dopiero po ukończeniu może być uporządkowanym, więc zamieszczać będę oderwane od siebie szkice bez względu, jak po sobie następować powinny.



Krzyżne.

Opowiadania o widoku, jaki się roztacza naokół z Krzyżnego, wydawały mi się przesadnemi, dopókim się sam o ich prawdzie nie przekonał. Położenie tego miejsca już samo przez się każe wróżyć o cudowności jego, bo jak nazwa tłumaczy, krzyżują się tu trzy wielkie wierchy, których zetknięcie tworzy równinę na wysokości 6846 stóp wied. zwaną Krzyżnem.

Nie wiodła mi się wyprawa na Krzyżne, bo ilem się razy tu wybierał, mgła lub inne okoliczności stawały mi na przeszkodzie, aż wreszcie 18 lipca 1870 nie zważając na deszczową porę, udałem się na upragnioną wycieczkę ze starym przewodnikiem z Zakopanego, Maciejem Rojem, niegdyś jednym ze słynnych skrytostrzelców na kozice.

Upredzono mnie, że to wycieczka daleka i zmudna, skąd się ledwo późno w nocy do Zakopanego powraca,

zatem odpowiednio przygotowałem się do drogi. Wczesnym rano, po długiej słońcu, gdy się przecie zanosło na piękną pogodę, opuściłem chatę z przewodnikiem. Szczyty piętrzyły się wspaniale jedne nad drugimi, nie czepiał się ich żaden obłoczek, widnokrąg był czysty; nadzieja pomyselnego osiągnięcia dawno zamierzonego celu podwajała siły.

Po przebrnięciu najprzód błotnistej naówczas drogi przez wieś wyszliśmy na otwartą równinę, poprzerzynaną potokami, których szum mile pieścił słuch, a oczy nęcił powab pięknie oświeconych turni. Ciągłe drogą idąc tą samą, dalej już przez las, to zoów koło szeregu kuźnic, domostw, a wreszcie i karczmy nieopodal dworu w godzinę od wyjścia z chaty stanąłem za kładką u źródła ponad hałaśliwym strumieniem u stóp Bociana. Dotąd droga, chociaż ciągle pod górę, ale wiodła równo, że się wcale żadnego utrudzenia nie czuło po przebyciu przeszło pół mili wzdłuż, a w górę 566 stóp. Odtąd poczęło się spinanie bystre po lesistém, nagłém zboczu Bociana drożyną znaną podróżnym, co się do Morskiego Oka przez Zawrat udawali, albo Stawy Gąsienicowa zwiędzali.

Pół godziny przeszło, gdym się wy dostał na wierzch Bociana, a drugie pół godziny minęło, gdym stanął na bali Królowej. Po drodze piękne widoki roztaczały się naokoło, zwłaszcza przy Kopach Królowych; gdzie było wzrok rzucić, napotykało się coraz to nowy przedmiot do podziwu. Nowości dla mnie nie było, bo poczyniała się ona dla mnie od miejsca, z kąd się zwrócić miałem

w kierunku wyłącznie ku Krzyżnemu wiodącym, ale Tatry mają tę własność czarującą, iż zawsze choćby wielokrotnie widziane w coraz nowszej i odmienniejszej szacie ukazują, więc oderwać oczu trudno mi było np. od widoków z pod Kopy Królowej; miejsce już to warte, aby do niego drogi z Zakopanego nie żałować.

Po bujnym trawniku doszliśmy na krawędź równinki, zasłanej różnej wielkości złomami granitu, wśród których ścieżka wiedzie na dół w dolinę Stawów Gąsienicowych z wspaniałym widokiem na szereg dzikich turni, śniegiem tego roku więcej niż zwykle ubielonych. O wpół do 8mej godzinie usiadłszy tu ponad rozłożoną doliną Gąsienicową, spożyliśmy śniadanie, pojąc się równocześnie cudowną panoramą. Straszony daleką bardzo drogą spieszyć się musiałem, skracając czas przy odpoczynkach poświęcany patrzeniu bez końca na góry, które mają dla wzroku coś nęcącego niewypowiedziane. Schodząc w dolinę, uapotkaliśmy dwu młodzieńców prowadzących konie z obońkami napełnionymi mlekiem wiezionym do wsi. Przez jednego z nich przesłałem żonie pozdrowienie już z pod stóp turni, oraz poleciłem przygotowanie do wycieczki na dzień następny, bo pogoda zdawała się ustalać po długiej słocie.

W dolinie zostawiliśmy za sobą całą osadę szalaszów i szop coraz bardziej się tu pomnażających, zwróciwszy się na lewo ku wschodowi w las. Gdzieś stąpił, wszędzie była woda, każda gałąź rosła nielitościwie, szum wielki dolatujący do uszu wskazywał zbliżanie się do znacznego potoku, który mieliśmy przebywać.

Wkrótce nad nim stanęliśmy zakłopotani o przejście, bo belki, które kiedyś tworzyły po nim kładkę, teraz ugnile sterczały z wody, zaś potok toczący po głazach wielką ilość wody, nie pozwalał zwykłego przebywania górskich strumieni.

Przewodnik powiódł mnie wyżej koło wody w celu znalezienia jakiego możliwego miejsca do przebycia potoku. Znowu natrafiliśmy na ugnile drzewa tą razą w taki sposób z wody sterczące, że śmiały podróżnik mógł się po nich kusić o przeprawę. Dla górala w kierpcach była to rzecz łatwiejsza, niż dla mnie w butach i do tego już przemoczonych, gdy po obślizłych belkach przeskakując, można się było, jeżeli nie rozbić, to przynajmniej porządnie skąpać. Ponacinał mi przewodnik ciupagą kilka miejsc na drzewach dla pewniejszego stąpania, że z pomocą toporka udało mi się szczęśliwie minąć burzliwy potok.

Odtąd jeszcze na dół szliśmy niby jakąś ścieżką, a właściwie lesistemi manowcami po wywróconych pniach, kłodach nadgniłych, często zmuszeni nachylać się do ziemi po pod sterczące konary, pod gałęzie, po borowinach brnąć i po różnych krzewach. Szum wody malał, w miarę oddalania się od potoku, lecz nie na długo, bo znowu z przeciwnej strony szumieć poczęło. Spory jeszcze kawałek drogi przebijał się przez gąszcz leśny, nim się nam nowy potok ukazał, wypływający z głębokiego zlebu skalistego z po pod Żółtej Turni. Ten potok był łatwy do przebycia, po za nim przyszło nam stromo się piąć w górę po zboczu kamienistém,

miejscami trawiastém, po nad którym sterczała ostra turnia jak wieża. Tędy przeprawa nienajlepsza, zwłaszcza po deszczach, gdy kamienie wapienne nadzwyczaj śliskie, a potknięcie się na nich wprawdzie nie grozi zniknięciem w przepaści, lecz w razie wypadku na zdrowie wyjść nie może nagła wędrówka w skalisty parów dość głęboki, którego dnem toczy się potok.

Wydostałem się na wierzch, gdzie pochyłość góry nieznaczna ułatwia pochód. Pośród granitowych głazów rozrasta się kosodrzewina, przez którą tylko dostać się można po ścieżce wyciętej dla prowadzenia owiec na paszę, kosodrzewu bowiem nie podobieństwo przebywać przebojem z powodu sieci, jaką tworzą tego krzewu korzenie.

Nieraz mnie się już przydarzyło, żem zablądził w kosodrzewie, z pośród którego ledwo napowrót udało się mi wydostać z wielkim trudem. Dla stopy szuka się podstawy, a téj nie ma, bo noga więźnie gdzieś coraz głębiej, stanąwszy na gałęzi, ta się ugina, że napróżno szukając podpory, ledwie z pomocą rąk z wysileniem wydobyć się można z nieznośnej niewoli. Ale zato jakże kosodrzewina mile sprawia wrażenie, gdy przyjdzie stąpać po krawędzi przepaści, której zbocza krzaki jój porastają!

Jest ona wtedy zabezpieczeniem życia, bo co w nią wpadnie, dalej się nie potoczy. Zrzucaliśmy nieraz ogromne bryły kamieni z góry, a te w największym pędzie roztrzucając wszystko po drodze, co się nawinęło, w kosodrzewinie ntykały.

Tu na pochyłości grzbietu Żółtj Turni spotkaliśmy gromadkę owiec z juhasem, jak się to często przytrafia, okaleczonym w nogę. Dla zaoszczędzenia kierpców łązą pasterze boso za owcami po ostrych kamieniach i tym sposobem zbijają sobie palce u nóg albo i same stopy. Zdarza się owcom, że nogi łamią, gdy zestraszone pędzą po kamieniach zdradliwie ułożonych. Stanęliśmy w końcu na grzbiecie spodu Żółtj Turni, skąd mi się ukazała w całej okazałości dolina Pańszczycy. Nieznany mi dotąd zakątek chciwie pochłaniałem oczyma, aby ubiedz co się dało, nim włączące się już wtedy chmury po turniach zasłonić miały przedmiot moich dzisiejszych studjów. Z odpoczynku korzystając, dałem memu przewodnikowi buty do amputacji obcasów, które się po kilkogodzinnej drodze górskiej już wykrzywiły i przez to nogi obcierać mi poczęły. Z żalem obcinał góral dodatki wymyślone dla upięknienia obuwia, lecz zwykły to los obcasów w Tatrach. Było kwadrans po godzinie 9-tj, obłoki czepiały się coraz gęściej gór ku memu utrapieniu, ale przecież przemijały i choć na chwilę po kolei odsłaniały szczyty.

Wschodnią ścianę rozpościerającego się z tąid widoku zajmowała rozległa góra Wielka Koszysta z potarganym grzbietem, spadzista, goła, gdzieniegdzie tylko porosła trawnikiem, ubielona paskami śniegu, zwana także czasem Waksmundzkim Wierchem. Od północy mogły oczy hująć po Nowotarszczyźnie aż ku Beskidom, ale od południa zalegała ściana jak zapora utworzona z dzikich skał, Turni Buczynowych, z któreimi od zachodu

łączyły się Granaty, a z niemi Żółta Turnia zwana Małą Koszystą, rozdzielająca okolicę Zmarzłego od Pańszczycy. Podnóża zwłaszcza Buczynowych Turni zalegały masy śniegu. Poniżej zaś rozłożona dolina Pańszczyca, dzika, ponura, głucha, zavalona złomami granitów, stroiła się do harmonji swego otoczenia. Nigdzie ani znaku nie było istnienia ludzi; przewodnik ubarwiał mi tę dzikość, raczej przerywał ciszę opowiadaniem wypraw na kozice w tych stronach, wskazywał miejsca, któredy grzbiety na złamanie karku mijali, aby zabiedz spłoszonej niewinnej istocie.

Z grzbietu zeszliśmy do doliny, aby znów piąć się pod górę. Potok, który oglądaliśmy patrząc z grzbietu, teraz w dolinie znikł nam z oczu, bo w górnej swjej części toczy się on pod głazami i jego istnienie zdradza tylko szum dziwnie oddziaływający na umysł ludzki, gdy dolatuje łoskot z pod ziemi, raz słabszy, raz głośniejszy, stosownie do głębokości lub ilości otworów pomiędzy głazami, a sprawcy hałasu nie widać.

Dalój szło się różnie, czasem trzeba było przelazić złomy granitu duże, jak izby, spinać się po nich, przedzierać z mozołem, aż natrafiliśmy na niewielki płytki staw zwany Zielonym (5281'). Dno było dobrze widać, kosodrzewina zarosła brzegi jego od północy i wschodu dokąd mnie zawiódł przewodnik zapomniawszy sobie o lepszej drodze od zachodu stawu, gdzie brzeg kamienisty, wolny od kosodrzewu. Brnęliśmy po krzewach, po sterczących ze stawu głazach, aż gdy tych zabrakło, nie było rady dalej się przedzierać tedy, więc

różnemi sposobami wydostać musieliśmy się na lepsze miejsca, ciągle po zwaliskach granitu.

Przed sobą mieliśmy grzbiet skalisty, jakby wał zasłaniający nam stokowisko pod Krzyżnem i Buczynowemi Turniami. Gdyśmy tę zaporę minęli, ukazał nam się przestwór dzikszycy od poprzednio opisanego, górny koniec doliny Pańszczycy (5498'). Turnie jakby niebotyczne zamykają świat naokół, cisza głucha nie mąci wrażenia, jakie wywiera dzika natura, gdzie oprócz nagich skał i złodowaciałych śniegów nic nie ma. Nie spodziewanie rozwesoliło nas w tém pustkowiu spotkanie stada owiec z pasterzami. Świst juhasów, brzęk dzwonek, ruch naraz wielu istot żywych uprzyjemnił nam chwilę naszego tu pobytu. Widne ztąd dobrze usypisko, wiodące na przełęczkę od wschodu wydało nam się najdogodniejszą drogą do wydrapania się na grzbiet, i ku niemu skierowaliśmy nasze kroki. Po kilku znacznych płatach śniegu, koło wielkiego głazu, który mi przewodnik przedstawił jako kolibę, t. j. schronienie jakie takie w razie ulewy lub koniecznego noclegu pod wyżłobionym z natury złomem wielkim granitu, szliśmy wprost do stóp zlebu kamienistego. Było wpół do 11 godziny, gdyśmy się spinać poczęli. Nieznośny to kawałek drogi, powtórzenie Zawratu w zupełności. Trzy kwadransy czasu zeszło, zanim w ukos, w lewo, w prawo drapiąc się po usypujących się kamieniach, dosięgliśmy szczytu, raczej grzbietu przełęczycy. Ta część drogi upoważnia wycieczkę na Krzyżne do poli-

czenia jój w szereg trudniejszych wypraw tatrzańskich dla ogółu podróżnych.

Widok uagle się roztwierający z grzbietu staje za sutą nagrodę dotychczasowych trudów, lecz bliskość celu, kilkadziesiąt kroków od niego nie pozwala się zatrzymywać poniżej Krzyżnego. Po chwili stanąłem na upragnioném miejscu.

Krzyżue, rozległa równinka (6846') na zetknięciu się trzech wyniosłych szczytów, Wielkiej Koszystej (7047'), Wołoszyna (6894') i Buczynowych Turni panuje okolicy i użycza widoku, może w całym paśmie Tatr jedyne go z powodu wyjątkowego swego położenia we wnętrzu gór. Usiadłem na krawędzi nieco wyżej należącej już do Wołoszyna; brakowało pół godziny do południa, zatem znacznie tu wcześniej przybyłem, niż inni goście, zdążający tu nie wiem dla czego dopiero koło 2 godziny. Pod jednym względem cel mój był osiągnięty.

Czas miałem prawdziwie dziwny, szczególny; natura przedstawiała mi się w najromantyczniejszej szacie, nie podobna określić wrażéń, jakie wywierała na mnie, nawykłym do kaprysów pogody w górach. Pod stopami świat nikał mi gdzieś w mgłę, z niej wychylały się szczyty skaliste, wiatr jakby z otchłani wypędzał w górę chmury, które się targały o turnie, odsłaniając coraz to nowe widoki, jakby czarodziejską siłą poprzód oczy przesuwane. Człowiek uczepiony na wierzchu olbrzymiej skały, stawał się proszkiem, nicością w ohec potęgi żywiołów. Cóż to za moc skały! która tysiące lat

opiera się nawałom burzy i stercząc dumnie naigrawa się z ich wściekłości. Ponad turniami Spiskimi, koło Miękuszwoskiego Wierchu srożyła się burza straszna, ciągnąca się w kierunku z zachodu na wschód od Krywania ku Lodowemu szczytowi. Huk straszliwy rozlegał się po Tatrach, wicher świszczwał, roztrzaskując się o turnie, grubemi kroplami deszcz począł padać na Krzyżném, podczas gdy w dolinach koło Krywania słońce świeciło. Z kierunku wiatru wróżyłem sobie nadzieję uniknięcia burzy i temi się pocieszając, z chciwością wpatrywałam się w cudowny świat Boży, z natężoną uwagą, by z niego nic nie uronić.

Mgła na szczytach, to największy wróg podróżnego, i jój się szczerze obawiać przychodzi, a wybierając z dwojga złego, lepsza burza niż mgła, bo prędko przemija. Ciągłe mię straszyla obawa mgły, lecz przeciw niój stawał mi za przymierzeńca silny wiatr, który zdzierał nieznośną zasłonę z gór, a wypędzał ją z dolin. Chwilami mogłem się łudzić, że się znajduję w nadpowietrznym świecie, tak obłoki spodem odcinały obszar gór od ziemi, czyniąc z nich wyspę nadpowietrzną, lecz mimo tego cudownego uroku wołałbym być mieć czystą atmosferę, a przez to swobodę patrzenia w każdą stronę i nieskłopotaną myśl o powrót. Śledząc, rzekłbym ukradkiem zakątek, jaki mi się w której szczęśliwej stronie odkrył, spostrzegłam w głębi od południa dolinę Roztokę, jój dnem snuł się jak srebrna wstęga potok, który co dopiero ze Stawu Wielkiego uszedłszy huczał i szumiał, tocząc się gwałtownie po

skale trzema strumieniami i spieniony dobiegał mety u spodu olbrzymiego progu. Jest on ścianą doliny Pięciu Stawów, a potok po niej spływający słynny tworzy wodospad, Siklawą zwany. Próg ów, iaczej skała 204' wysoka, z Krzyżnego nabiera pozoru lekkiej pochyłości, bo punkt jój widzenia z przodu łudzi oko, a przez to i Siklawą nie wydaje się wodospadem.

Powyżej czernią się stawy harwą swój powierzchni przypominające morze, bo głębiny wód nadają im granatowy aż do czarności dochodzący kolor. Widać stawów cztery, najdalej Czarny (22 morg. 1077°□), bliżej nas Wielki (60 morg. 840°□), a na przodzie Przedni (13 morg. 595°□), pośród nich Mały zaledwie widzialny z Krzyżnego, piąty zaś kryje się za turniami Koziego Wierchu od zachodu. Od południa dolinę Pięciu Stawów okalają góry Miedziane (7133'), od północy turnia Koziego Wierchu i Buczynowe, od zachodu niski grzbiet, zwany Gładkiem, przedzielający dolinę Pięciu Stawów od doliny Wierchcichy, na wschód jest wylom do Roztoki. Ponad tém otoczeniem piętrzą się dalsze wierchy różnych kształtów, z którymi zapoznawałem się po dokładném rozpatrzeniu się w labiryncie szczytów. Deszcz począł kropić, lecz nie mogło mnie to spłoszyć ani oderwać od zachwycającego widoku. Przewodnik gdzieśmi zniknął, po niejakiem czasie wrócił z oznajmieniem, że znalazł kolibę dla ochrony od deszczu, gdyby się na ulewny zaniosło. Zbiegłszy ku wskazanemu gławowi, usadowiłem się tak pod jego wyźłobieniem, że rzeczywiście można było chociaż plecy od wody ocalić.

Obok mnie przycupnął góral i tak we dwóch studjowaliśmy wschodnią stronę Wielkiej Korzystej, dolinę Waksmundzką dobrze ztąd widną, poza nią regle, a wśród nich polanę Rusinową; dalej zaś ku wschodowi zachodziły kończyny Wołoszyna i zasłaniały nam widok na spiskie już okolice. Tymczasem deszcz zmalął, żal mi tu było czasu tracić, więc wróciłem na Wołoszyn. Burza posunęła się ku Lodowemu Szczytowi, a ostre turnie Ganku, Rysów, Mięgnuszowskiego Szczytu, Gierlacha i innych gór rysowały się już na tle wolnego od obmur nieba. Zaprawdę wielkość natury tylko z podobnego miejsca, jak Krzyżne, da się godnie ocenić.

Opowiadano mi, jak raz na Krzyżne udało się towarzystwo z Krakowa, złożone z różnej płci i wieku pod przewodnictwem Jędrzeja Wali, najsłynniejszego przewodnika po naszej stronie Tatr. Z niezmiernym wysileniem i prawie z płaczem wydrapały się panie na Krzyżne, gdzie oczarowane cudownością widoku z radości łzy ronily. Krzyżne oddawna było dla nich upragnieniem, nie dziw więc, że ziszczenie trudnego dla nich, jak w ogóle dla płci żeńskiej zadania pobudziło je do tak żywej radości.

Wala naturalnie wziął się do obznajomienia swoich gości z nazwami szczytów i dolin, lecz nauka szła nie łatwo, bo to tego niezmiernie dużo. Cztery razy powoli od lewej do prawej ręki kolejno przerecytował im wszystkie na około nazwy szczytów, wśród których wysokością i rozległością najwięcej ztąd odznacza się Lodowy, i nakładać począł już sobie tytoń do fajki, gdy

stary profesor, głowa towarzystwa, rzecze do niego: „Mój Walo, niechże ja raz w życia mojem wiem, który to Lodowy?“ Śmiech powstał, gdy się pokazało, jak skutkowała nauka Wali; odłożył więc na bok fajkę i tytoń i na nowo zabrał się do wykładu szczytów. Daje to pojęcie, jaki labirynt wierchów rozwija się tu przed oczyma podróźnego.

Uczucie, jakie ogaruią umysł na widok przepaści, muostwa dołiu, szczytów, trudne jest do określenia; widok taki posiada siłę magnetyczną, przyciągającą, że prawdziwie zmuszać się przychodzi do oderwania się od uęącego patrzenia, chociaż grozą nas przejmując. Niepewność szczęśliwego powrotu jedynie niepokoi i mąci dumania tego rodzaju, bo siedząc na urwiskach turni, jak np. Wołoszyna podczas mgły, gdy za kilka kroków wokół nic nie widać, lub w obawie deszczu, przez co spuszczenie na dół po skałach staje się niebezpiecznym, nie może oddziaływać budująco, nadzieja zmiany zawsze przychodzi w pomoc. Jój to ufając, w czasie mgły puściłem się z Wołoszyna przez Krzyżne na szczyt Wielkiej Koszystej, spodziewając się, że nim tam dojdę, wiatr rozpędzi chmurę. Na Wielką Koszystą droga jest obszerna, wygodna, gdyż grzbiet jój składa się z wielkich głazów granitu, zwłaszcza od wschodu nie bardzo pochyło sterczących; nawet na najwyższych miejscach dogodnie jest stapać. Wierch ma dwa szczyty, północny i wyższy od niego południowy (7047'), a widok wspaniały, czego można było na pewne oczekiwać. Wprawdzie nie widać Roztoki, ani doliny Pięciu Stawów,

ale natomiast jeszcze więcej szczytów, niż z Krzyżnego. Na Wołoszyn patrzy się ztąd, jak na dół z piętra i dlatego widać jego cały powykręcany kadłub, zdobny wierzchem jak w koronę, w dzierzganę z szcerbatych głazów, tworzących dziką, poszarpaną linią grzbietu z kilkoma szczytami, z których najbliższy Krzyżnego jest najwyższym (6894'). Miejscami Wołoszyn tak ma grzbiet wązki, że ledwie po nim zdoła się człowiek przesunąć. Majestatyczny to wierch, szczególnie, gdy się patrzy na niego z przeciwległej strony Roztoki ze Świstówki, zkąd się przedstawia w fantastycznych kształtach, a imponuje niezmiernie całej okolicy. Do Roztoki zejście z Wołoszyna wydaje się niepodobieństwem, lecz z Krzyżnego do dolinki Buczynowej, a ztamtąd ponad Sikławę do doliny Pięciu Stawów można przejść, chociaż nie najlepiej. Właśnie w tych miejscach na zboczu turni Buczynowych pały się owce, szczekanie psów, wólanie juhasów i świstanie było słyhać do nas na Wołoszynie.

Gdym napatrzył się ze szczytu Wielkiej Koszystej Wołoszynowi, zajęła mię grupa turni od zachodu się piętrzących, na przodzie Buczynowe, dalej szereg Granatów (szczyt środkowy 7090', szczyt południowy 7101'), a z pomiędzy nich wygląda Świnnica z najwyższym swoim czubkiem (7395'). Nadewszystko zaciekawia okolica Lodowego Szczytu, który od wschodu południowego, łańcuchowi Tatr króluje; widać dobrze gościniec Spiski, od Jaworzyny Spiskiej wśród lasu wiodący ku Podspadom. Od południa znów zwraca uwagę główną okolica

Morskiego Oka, bo koło niego i za ni \acute{e} m stercz \acute{a} najdziksze szczyty: Miękusowski, Ganek, Gierlach, Rysy i t. d. Chciałem si \acute{e} tu na szczycie Wielkiej Koszystej doczekać zupełnie odsłobionego widnokr \acute{e} gu, lecz na-pr \acute{o} żno trzy kwadranse przesiedziałem, zadawałaj \acute{a} c si \acute{e} kolejn \acute{e} m studjowaniem tego, co si \acute{e} po rozsuoieniu chmur tu lub \acute{o} wdzie widzieć dało. Nad Zakopan \acute{e} m s \acute{o} łnce \acute{s} wieciło i jakoś ku dolioom si \acute{e} rozpogadzało, co na nas wesoło oddziaływało. Uradziliśmy z przewodnikiem wracać inn \acute{a} drog \acute{a} , nie t \acute{a} , któr \acute{a} na Krzyżnc po-d \acute{a} żaliśmy.

O 1. godzinie opuściłem szczyt południowy Wielkiej Koszystej, udaj \acute{a} c si \acute{e} na d \acute{o} ł wprost pochyłości \acute{a} g \acute{o} ry, zeszedłszy niżej grzbietem koło wywrócon \acute{e} j \acute{z} erdki mier-nicz \acute{e} j, zkąd wydawało nam si \acute{e} najbezpieczniej si \acute{e} spu-szczać, chocia \acute{z} wł \acute{a} ściwie t \acute{e} dy tylko dobrze obeznani ze spinaniem si \acute{e} po turniach schodzić mog \acute{a} i to jeszcze uchwaj Bo \acute{z} e nie we mgle, g \acute{d} y \acute{z} cz \acute{e} sto strome kawałki si \acute{e} natrafia, zkąd niewidać dalszej drogi wcale, a t \acute{e} m sam \acute{e} m łatwo zaleść na skał \acute{e} , z któr \acute{e} j zejść niepodobna, a wracać wielka bieda.

W niespełna godzin \acute{e} stanęliśmy u st \acute{o} p g \acute{o} ry, przy-patruj \acute{a} c si \acute{e} dopiero co przebyt \acute{e} j drodze; nabyłem tu znowu przekonania, że oku zawsze nie można wierzyć. Wydawało mi si \acute{e} bowiem, g \acute{d} ym szedł rano na Krzyżne, że t \acute{a} drog \acute{a} , któr \acute{a} sam po południu schodziłem, człowiekowi wychodzić na grzbiet W. Koszystej jest niemożliwością, a jednak łudziłem si \acute{e} , jak si \acute{e} pokazało. Zdala gubi \acute{a} si \acute{e} zakł \acute{e} śnięcia w skałach lub przerwy mi \acute{e} dzy ka-

mieniami, które właśnie umożliwiają zejście, ale naturalnie osobom pewnym w chodzeniu po skałach, wolnym od zawrotu głowy na widok przepaści, bo zresztą taką drogą bojaźliwsi nigdyby się schodzić nie odważyli. Spnszczając się z Wielkiej Koszystej trochę dalej ku północy, o wiele lepsze napotyka się miejsca do schodzenia, lecz mój przewodnik nie troszcząc się wcale o wygodę, poprowadził mnie najkrótszą drogą.

Herbaty byłem spragniony; odpocząc dłużej godziło się, zwłaszcza gdy już przed sobą nie mieliśmy nic trudniejszego do przebywania, postanowilem bowiem wracać do domu inną drogą, samemi dolinami. Przewodnik rozniecił ogień, nastawił wodę w naczyniu herbacianém, która niedługo zawrzała, a gdy naciągnęła herbatą, raczyliśmy się z przewodnikiem napojem, który można nazwać nektarem w górskich wycieczkach. Niebo tymczasem zaczęło się powlekać chmurami, coraz niżej turni się czepiającemi, a nim spożyliśmy dary Boże, dészcz nastał, który nas do pochodu przynaglił. W kwadrans po trzeciej godzinie ruszyliśmy w drogę wśród grubych kropli dészczu, obeszlśmy stawek Zielony, potem przebyliśmy sterty granitowe, gdzie nas mgła zaszła.

Przewodnik miał ochotę wstąpić do szałasu w Pańszczycy dla żętycy, jak przyrzekliśmy po drodze napotkanym przed południem juhasom, lecz nie udało nam się go odnaleść wśród gęstej mgły, a później grubego deszczu. Ścieżka zawiodła nas na podnóże Żółtej Turni, na grzbiet lesisty, zwany Bobrowskami. Po

mchach, borowinach, zewsząd moczeni, brnęliśmy na przebój lasem, gdzie im głębiej, tém nam było gorzej. Dostaliśmy się w jakieś górskie mateczniki, jakich się łatwo nie zapomina, zwłaszcza gdy komu przyszło, jak mnie, przebywać je w słońcu.

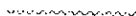
Nadgnięte kłody drzew burzą powalonych, gałęzi połamanych, głązy różnego kształtu, dziury zalane teraz wodą, zamienione w moczary, sterczące konary nisko zarosłych świerków, wszystko razem utrudniało nam niezmiernie pochód, często nawet do ziemi pochyleni przedzierać się musieliśmy, zlewani po grzbiecie i za kolanach nagromadzoną wodą w gałęziach, a oprócz tego niebios strugami zlewały na nas płynne błogosławieństwo. Zaprawdę w takich warunkach wycieczka nawet dla tak, jak ja rozmiłowanego w górskiej przyrodzie, stawała się nieznośną, zniechęcającą do dalszych wypraw po Tatrach tego lata.

Brnąc po bezdrożu, usłyszeliśmy głosy ludzkie, ale nie mogliśmy się do nich dostać wśród gęstej mgły, i przewodnik instynktem się tylko kierował, aby nie zbłądzić. Zrzekliśmy się w zupełności szalasu, chodziło nam teraz o jak najrychlejsze dobiecie się do jakiej drożyny zaośniejszej. Stanęliśmy na krawędzi grzbietu dość nagle spadającego ku Suchej Wodzie, potokowi toczącemu się od Stawów Gąsienicowych. Spuściwszy się nadół, natrafiłszy na leśną drożynę, którądy postępując, naturalnie bardzo wygodnie w porównaniu z dotychczasową drogą, nadeszliśmy nad potok płynący z Pańszczycy. Tu nam przyszło iść prawie ciągle łożyskiem

potoku, to po kamieniach, to w bród po wodzie, aż nas drożyna wywiodła na łączkę, gdzie trzeba było główny strumień przebyć. Tą razą Sucha Woda wezbrana nie dała sucho przechodzić po sobie. Potok spieniony, krzykliwy, płynąc pełnym korytem, tylko w bród jeszcze dozwalał przeprawy. A więc prosto w wodę mierzyłem kroki, nie mając już nic do stracenia, ale przewodnik usiłował jeszcze po czubkach kamieni sterczących z wody skakać, co mu się w kierpcach jako tako udawało. Słota w górach, ta niewysłowiona pląga dla podróżnego, przyczynia i pomnaża przeszkody na każdym kroku, które się zwalczać musi. Potok, który nam teraz tyle narobił w przebyciu kłopotu, w zwykłym stanie po gładzach z łatwością, za ledwie z zamoczeniem końca buta dawał się przebywać tędy z polany Waksmundzkiej, a dziś, gdybyśmy tu jeszcze chociaż o dwie godziny się spóźnili, groził niebezpieczeństwem, nawet niemożliwością przebycia. Była już godzina piąta. Deszcz gruby ustał, drobny jeszcze rząsił, drożyna wiodła ciągle lasem, mijając się z innemi, szliśmy bez końca po błocie, po kałużach znaną podróżnym drogą z Waksmundzkiej Polany do Jaszczurówki. W godzinę, t. j. o szóstej dociągliśmy jak do przystani, do Jaszczurówki, a zatem dosyć wczas, skoro od Zakopanego dzieliło nas jeszcze pół godziny drogi.

Przekonałem się, że wycieczka na Krzyżne nie jest tak daleką, jak mi opowiadano, aby z niej aż nocą trzeba było wracać, skoro ja mogłem koło 7 godziny

przed wieczorem stanąć w Zakopaném bez żadnych wysileń, owszem z przeszkodami tego rodzaju, jak słońce. Zapewne zależy to od sił, jakimi podróżny rozporządza, tém bardziej, gdy wycieczka na Krzyżne na równi staje z Zawratem. —



Świnnica,

szczyt w Tatrach, wysoki 7,395 stóp wiedeńskich.

W drodze do Tatr, gdy nas jeszcze dwie mile od nich dzieliły, zatrzymaliśmy się przed karczmą we wsi Białego Dunajca, dla popasu koni; właśnie wtedy rozsunał się zachmurzony horyzont i ukazał się nam szereg dzikich, urwistych gór, ubielonych miejscami płatami śniegu. Zachwycający był widok tem bardziej, gdy z powodu słotnego dnia spragnieni byliśmy przyjrzeć się zdala celowi naszej podróży. Rozwiniętej przed nami grupie Tatr nowotarskich królowała wspaniale, najwyższa w tem paśmie turnia, zwana Świnnicą lub Świńską „Skałą“, z powodu, że się na jej szczyt nikt nie mógł dostać, nim w r. 1867 udało się Dr. Eng. Janocie z słynnym przewodnikiem tatrzańskim Maciejem Sieczką, odkryć na nią wyjście. Zbierał wówczas pomiary barometryczne po Tatrach Dr. Eng. Janota dla

Komisji Fyzyograficznej Tow. Nauk. Krak., i z tego powodu zwiedzał szczyt jeden po drugim; chodziło mu więc bardzo o to, aby zmierzyć najwyższą górę w wysuniętym na północ łańcuchu Tatr. Kilkakrotne w tym względzie usiłowania Dr. Eug. Janoty uwieńczył w roku 1867 pomyślny skutek. Opowiadania Dr. Janoty o poście na szczycie Świnnicy zaostrzały niezmiernie moją ciekawość, z tem większą więc chciwością spoglądałem na olbrzymią skałę z przed karczny w Białym Dunajcu, a moim pragnieciom wtórowało całe towarzystwo złożone z podróżnych obojęd płci.

Z Krakowa w odległości 14-milowej wśród wielu szczytów całego łańcucha Tatr dobrze obeznanemu z temi górami da się odróżnić Świnnica nie tylko ze swego położenia, ale i oryginalnego kształtu, a cóż dopiero zbliżając się do Zakopanego, gdy Spiskie turnie zakryte przodowemi górami, ustępując Świnnicy pierwszeństwa w wysokości, podnoszą tem bardziej jej znaczenie.

Przybywszy do Zakopanego, zamieszkaliśmy w chacie Macieja Sieczki; lato było jak na góry prześliczne, pogoda ciągła, tymczasem w skutek przepisów lekarskich nie wolno mi było właśnie tego lata puszczać się na żadne szczyty, gdyż stan zdrowia mego wymagał spokoju przy kuracji wodami mineralnemi i żętycą. Żał mi się robiło patrzeć z przed chaty na turnie czyste, niezachmurzone, ograniczając się na wycieczki w doliny. Uplwał już czwarty tydzień mego pod Tatrami pobytu; czułem, że sił nie nadwerezę, chociaż złamię przepis lekarski, i zamówiłem sobie na przewodnika Macieja

Sieczkę, ryzykując następstwa, jakieby z tego wyniknąć mogły.

Po kilkodniowej słońcu, 7 sierpnia 1868 r. nastąpiła noc piękna; przed świtem zbudził nas przewodnik, ale nieprzygotowani w żywność puścić się w drogę nie mogliśmy, a nimby się ją przysposobiło, strata ku temu poświęconego czasu była do nie powetowania. I dobrze się stało, bo koło południa chmury zakryły wierzchołki gór, więc napróżnobyśmy byli pod szczyt zdążali, jak się to stało w ten sam dzień towarzystwu męskiemu, które się z Wałą napróżno na szczyt wybrało. Na drugi dzień odłożyliśmy upragnioną wycieczkę.

Czas piękny wróżył dobrze o naszym przedsięwzięciu. Płeć żeńska zastosowała się do przepisów przewodnika, w krótkich opiętych sukniach, w kapeluszach z dużemi brzegami, z łaskawci w dłoniach; żona i siostra moja w chęci dorównania nam mężczyznom, co sobie tylko zostawiać zwykliśmy rozkosz tryumfów z pokonania trudów, rano przed godziną 6tą stanęły do pochodu.

Minęliśmy cały szereg domostw zbudowanych wzdłuż drogi przez wieś, po za kościołkiem Zakopańskim skręciliśmy się koło domu Staszeczka (2,615') ku południowi. Rosa silna pokrywała trawniki, potoki szumiały po równinie rozłożonej pod regłami, a po nad nią w dali piętrzyły się turnie wspaniałe, tworząc olbrzymią ścianę jakby zapórę świata, którą mieliśmy przebywać.

Regłami zowią się tu góry niższe wstępne, podnóża głównego grzbietu, które stoją jak na straży przy wejściu do dolin. Są regle lasem pokryte a niektórych

tylko wierzchołki przenoszą leśną granicę, gdzie już tylko kosodrzewina porasta. Każdy regel ma swoją osobną nazwę, z których dwa uam najbliższe strzegą wejścia do doliny Bystrój, do której nas droga wiodła. Od zachodu z szeregu towarzyszy wychyla się Krökiew (4,264') całkiem lasem pokryty, a od wschodu najezony skalami Nosal (3,745').

Weszliśmy w las, droga równa kamienista, ocieniona świerkami, piękniejsza od alei parków angielskich, wyprowadziła nas wkrótce na drugą drogę prosto wyrzniętą pośród lasu do Kuźnic; pochyłość na pozór mała powoli wznosi się do znaczącej wysokości; nim się stanie u jej końca, podróżny ani wie, że doszedłszy do dworu w górnym końcu drogi zbudowanego wznosił się o 592 stóp wyżej nad poziom Zakopanego.

Wysokie oparowanie od zachodu zamyka las od drogi; jest to dworski zwierzyniec, dokąd wpada strumień z szumem rozbijający się o złomy grafitu. Zatrzymaliśmy się chwilę na mostku przy walcowni, która rozpoczyna szereg kuźnic, aby popatrzeć na dolinę Zakopanego z widokiem na Beskidy. Tu ma ujście dolina Bystra przerznięta kilkoma potokami tworzącymi strumień Bystrą zwany, przez gości npornie za Biały Dunajec uważany, który dopiero powstaje we wsi téj saméj nazwy po złączeniu się licznych potoków w jedną rzekę.

Woda Bystrój porusza huty żelaza nazywane hamrami lub kuźnicami. Gdyśmy koło nich przechodzili, kilka z nich tylko było w ruchu, reszta świętowała, co zdradzało brak życia górniczego. Postępując w górę,

szczyty kryły się coraz bardziej, droga się na dróżyny rozdrabniała. Jedną z nich tuż koło karczmy ku wschodowi powiódł nas Sieczka przez kładkę ponad potokiem do stóp Boczania, pierwszej w naszej drodze góry, na którą nam się spinać przyszło. W tej okolicy jak zwykle na początku doliny tryska dużo źródeł wyborniej wody; przy ścieżce pod Boczaniem (3,219') + 4° Reaum. napotkane kusi swoim krystalowem przezroczem, trudno go minąć, aby z zdroju nie zaczerpnąć; cóż to za nieoceniony napój! zwłaszcza dla nas mieszczan, co musimy pijać wodę z studzien przesiąkniętych zgnilizną kamienicznych dziedzińców.

Z pomocą kijów darliśmy się w górę po śliskiem zboczn góry porosłej lasem; korzenie drzew sterczące wszędzie wprawdzie z jednego względu ułatwiają wychodzenie, bo noga ma się gdzie ucześcić, ale z drugiego utrudniają pochód, bo są wśród nich dzinry, zakręty sposobne do zawikłania nogi. Dobrześmy się spocili, nim nam Boczań wierzb swego grzbietu odchylił, a jeszcze spory kawałek drogi w górę przebyliśmy, gdy po wyjściu z granicy lasu odsłonił nam się wolny widok na różne strony. Dróżyna prowadzi grzbietem Opaleńca po zwirze wapiennym powstającym z rozkładania się w drobne kamyki skały, która jest tej góry rdzeniem, tak zwanym calcem. Świat się nam już kładł pod stopy, chociaż daleko jeszcze było na szczyt Świnnicy.

W głębi doliny Olczyjskiej szumiał potok, widać było polany, szałas, szopy na siano, dno wierzbów,

a za niemi całe prawie Podhale aż po Beskidy, które się malowniczo rysowały na tle nieba. Nie dał nam się nigdzie zatrzymywać przewodnik, radząc rozpatrywanie odłożyć do powrotu, bo czas naglił, gdy przed sobą mieliśmy jeszcze daleką i przykrą drogę. Minęliśmy zbocze żwirowe Kopy Królowej, następnie Kopę Magóry, zdążając po ślicznej murawie przez hałę Królową zwaną od jój właściciela, włościanina Króla. Przed nami rozwinął się świat alpejski z całą potęgą górskiej przyrody: od południa piętrzył się główny grzbiet Tatr, nagi, dziki, straszny rozmiarami i przepaściami; śnieg urozmaicał blaskiem swój białości sine barwy skał i urągał ciepłu, które nam pot wyciskało.

Od wschodu rozpoczynał szereg turni poszczerbiony grzbiet rozłożystej Wielkiej Koszystej (7,047') rozdzielonej Krzyżnem (6,846') od Turni Buczynowych, za niemi następują Granaty (7,101'), Czarne Ściany lub Kozi Wierch (7,316'), Zmarzła Turnia, a od zachodu kończył się grzbiet Świnnicą (7,395') królującą swoim towarzyszom. Kształt jój podobny do piramidy, ostro ścięta turnia od północy i zachodu nie daje ani marzyć o przystępie na szczyt. Wśród skał zdala widać usypiska lejkowate, potworzone z pokruszonych kamieni. W nich z topniejących śniegów i deszczów powstały stawy, jakich pośród siebie dużo liczą Tatry. U stop Świnnicy mieszczą się Stawy Gąsienicowe, nazwane od Gąsieniców, właścicieli doliny, a gospodarzy z Zakopanego.

Z hali Królowej ścieżką nadół, pośród kosodrzewiny i złomów granitu, zeszliśmy na dolinę Gąsienicową, gdzie

niespodziewanie napotyka się na osadę pasterską. Tworzą ją szałasowy owce, krowie, szopy, jakieś kłitki z gałęzi i kamieni służące za schronienie bydłu i pasterskiej ludności obojęd płci. Gwaro tu dosyć i wesoło, jeżeli czas piękny, bo w słotę, co żyje, kryje się pod dach i dym tylko unoszący się tu i owdzie zdradza pobyt ludzi. Psy pasterskie oznajmiły całej osadzie pojawienie się przybyszów na grzbiecie Magóry, skąd zdążaliśmy ku szalacom. Sieczka powiódł nas poprzód swój nowo zbudowany szałas (4,900'), usiedliśmy na kamieniach szczerze powitani przez juhasów; wynieśli nam mleka, ale pomimo pokusy do wybornego napoju powodowaliśmy się wielką wstrzeźliwością nauczeni doświadczeniem — mleko bowiem przeciąża żołądek, jeżeli się na góry przychodzi spinać.

Było wpół do 9tej godziny gdyśmy tu odpoczywali, z wielkiem uszanowaniem poglądając na coraz wydawniejszą Świnnicę; ona więc pochłaniała główną naszą uwagę, a jeszcze stąd przeszło cztery godziny czasu potrzeba było, aby bezprzestannie pnać się do góry, stanąć na szczycie. Pomimo ślicznej pogody obawialiśmy się, żeby przypadkiem nie zjawiała się skąd chmurka, co się często zdarza w Tatrach, która uczepiwszy się wieczchołka, niszczy owoc wszelkich trudów podróznego.

Naprzód mieliśmy dojść na grzbiet od zachodu na tle nieba się rysujący na przełęczy Liliowem zwaną (6,165') od rosnącego tam obficie zawilca alpejskiego, którądy lwece się granica Węgier od Polski. Słońce nam do-

piekało, a ciągły pochód pod górę jednostajnie porośla trawnikiem ułożył bardziej, niż darcie się na urwiste wierchy. Napotykalimy po drodze stawy Gąsienicowe, małe, z tych jeden Sobków, powyżej Suczy od utopionej w nim złej suki przezwanej od juhasów, następnie Dwoisty, bo złomami granitu przepołowiony, Kurtkowiec, Zielony i najwyższy położony Kościelcowy (5,686'). Z tych wszystkich największy jest Suczy, 5 morgów, 1797 sążni kwadr., ale najpiękniejszy Zielony o 2 morgach, 1,021 sążni kwadr. powierzchni, bo malownicze ma otoczenie.

Szliśmy i szliśmy ciągle, a drogi zdawało się, że nie ubywa, przed nami zasłonięty widnokrąg myśli nie urozmaicał; wtem przewodnik zboczył ku południowi na brzeg skały; postąpiwszy za nim ujrzelimy w głębi ciemno granatowy staw od zachodu jeszcze brzegiem zamarznęty, turnie się odbijały w jego powierzchni, jak w zwierciadle; był to staw Zielony, chociaż żadnem drzewkiem nieumajony. W drodze na Liljowe, — miejsce to najładniejsze; odtąd śnieg tylko spotykaliśmy.

Wśród lata i rozwiniętej roślinności, przy temperaturze wyciskającej pot na całym ciele, widok śniegu zawsze uchodzi za osobliwość. A ma on odmienną postać od zwykłego u nas śniegu w czasie zimy. Śnieg, co się może oprzeć przez lato działaniu słońca, a nade wszystko deszczowi, przetwarza się w zbitą masę twardą z powierzchnią falistą, pobrudzoną od naniesionego wiatrem pyłu, śliską, na której trudno ustać; od spodu ulega więcj topnieniu, z tego powodu powstają

jakby oparzeliska, w grubym pokładzie jamy te zięjące chłodem przejmują na wskroś.

Gdy nas przewodnik ostrzegł, że już wyżej wody nie ma, nakładłem do blaszanki napelnionej winem czerwonym śniegu czyściejszego ulupanego toporkiem spod zwierzchniej warstwy, przez co można było na dłuższy czas utrzymać napój w chłodnym stanie. Wreszcie w półtoręj godziny od szarasu koło 10 godz. przed południem spoczęliśmy na Liliowem.

Cóż to za uroczne miejsce! — cudowny ten świat Boży! — mimowoli wyrrywają się tu z duszy podobne wykrzykniki uwielbienia. Grzbiet szeroki, bujną trawą porosły użycza wygodnego odpoczynku; usiadłszy jak na wezglowiu, poiliśmy się niezrównanym widokiem; w lewo i prawo ciągnie się nieskończone pasmo gór, za sobą w głębi mieliśmy dolinę dopiero co przebytą Gąsienicową, a przed sobą pod stopami głęboką dolinę Wierchcicha, z której dolatywał nas szum potoku; od południa przeciwległe wznosi się grupa wierzchów z najwyższemi Wierchcichą i Wielką Koprową. Ponad niemi rozdarty łańcuch gór odsłania równinę Liptową zasianą wsiami, miasteczkami, poprzerzynaną potokami, a w zupełnej dali sinieje pasmo gór zwanych Niżniemi Tatrami. Wprost na południe sterczą najdziksze szczyty tatrzańskie począwszy od wspaniałego Krywania (7,913') aż po Gierlach (8,414').

Prawdziwa to rozkosz zatopić się oczyma w szeroko rozwinięty przed nami obszar ziemi, cisza głucha wśród pogody, olbrzymiość natury, oderwanie się od zmate-

ryalizowanego świata, swoboda myśli, wszystko to wprowadza w zadumę; — wówczas czuwa człowiek w sobie pierwiastek poezji, choćby w nim zasnęło czucie, na widok uroczej przyrody, przynajmniej na chwilę mnsi się obudzić.

Wody wszystkie, co ztąd widzimy, płyną do Dunaju, a z nim do Czarnego morza. Jest to jedyny kąt Tatr, z kąd Waag zabiera dla siebie potoki, aby niemi zasilić Dunaj, bo zresztą naokół wszystko do Wisły spieszy korytem Dunajca i Popradu.

Prawie godzina czasu przeszła nam tu na Liliówem jakby minuta, niemiłosierny Sieczka naglił do pochodu, strasząc daleką jeszcze drogą. Nim ruszyliśmy, uczynił przewodnik próbę wytrwałości mojej żony, czyli na widok przepaści nie podpada zawrotowi głowy; w takim bowiem razie nie mogłaby się puszczać na szczyt Świnnicy. Próba polega na tem, aby stojąc na wysokości wzrok wlepiony w niebo nagle spuścić na dół w dolinę; kto się wtedy nie potoczy, znak to, że zawrotu nie posiada. Próbę taką żona moja przeszła pomyślnie, reszta zaś naszego towarzystwa na innych już wycieczkach zdała popis uzdolnienia do drapania się na szczyty. Puściliśmy się w drogę naprzód na czub Skrajnej Turni (6630'); nie było złego nic do przebycia, bo grzbiet połogi, trawiasty oprócz kawałka, gdy się ścieżką zwirową okrężało wierzchołek góry nad przepaścią od Stawów Gąsienicowych.

Stanęliśmy znowu na przełaczy łączącej Skrajną z Pośrednią Turnią (6845'). Całe południowo-zachodnie

zbocze Pośredniej Turni od Wiercheichy zalegają złomy granitu, jakby gruzy zwalonego zamczyska, pośród takich zwałisk wyszukiwać sobie potrzeba miejsca do każdego z osobna stąpięcia nogą; glazy różnej wielkości i rozmaitego kształtu najdziwaczniej rozrzucone niezmiernie tamują pochód. Szorstkiej powłoce granitu zawdzięczać należy, że z uwagą krocząc od potłuczenia ustrzedz się można, gdy po wapieniach ani największa nieraz ostrożność od szwanku nie ochroni. Słońce paliło nas niemiłosiernie, zasłony żadnej ani wiatru nie było, pot kroplisty ściekał po twarzy, a góry jakby nie ubywało. Nareszcie dotarliśmy do samej Świnnicy. Przełęcz dzieli ją od sąsiadki, a stąd znów pyszny widok na dolinę Stawów Gąsienicowych od północy i na liptowskie wierchy od zachodu i południa. Dotąd spotykaliśmy ślady stóp wczorajszych wędrowców z przewodnikiem Wałą, dalej już nie było znać ich kroków, bo jak się później dowiedzieliśmy, stąd się zwrócili, nie zwiedziwszy szczytu Świnnicy, podobno z powodu nadejścia mgły. Usiedliśmy dla odpoczynku zamyślając obiadować; brakowało jeszcze pół godziny do południa, na szczyt mieliśmy półtoręj godziny drogi, więc nie godziło się przed osiągnięciem celu wypoczywać, tém bardziej gdy pomimo pięknej pogody mogła, jako w górach, lada chwilę zjawić się chmurka i ucześcić wierzchołka. Przymtem czekała nas teraz dopiero właściwa przeprawa znać nie łatwa, skoro pomimo usiłowań do r. 1867 nie dało się na najwyższy szczyt Świnnicy drogi odnaleść.

Bystre, nagle zbocze południowe Świnnicy również

jak na Pośredniej Turni zalegają głazy miejscami się obsuwające. Dążąc w górę pośród złomów granitu przy panującej ciszy przewodnik nasz usłyszał lekki świst, zatrzymał nas, — po chwili znówu dał się słyszeć świst i zarazem zlatywanie kamieni. „To dzikie kozy“, szepnął Sieczka i rzeczywiście ujrzeliśmy na Walentkowej Turni ze Świnnicy uciekającą gromadkę kozia. Było ich pięć, stanęły na wyniosłej skale, rozpatrując się, z kąd grozi niebezpieczeństwo. Wówczas Sieczka rozeznał dwoje starych kóz i troje młodych kozłat, ale zaledwie zdołaliśmy się im przypatrzeć, czmychnęły w wielkim pędzie poza Walentkowe Turnie ku Kotelnicy. Niezmiernie nas to zjawisko cieszyło, w Tatrach nader rzadkie przed niedawnym czasem, nim zwierzęta te wzięto w opiekę przed drapieżnością strzelców, a tém samém ochroniono od wytępienia. Zanosilo się już na to. Komisja Fizjograficzna Tow. Nauk. Krak. różnych moralnych używała środków, aby od tępienia kozic powstrzymać strzelców wieśniaczych, bo inteligencję dworską z Zakopanego dopiero na sejmie uchwalone prawo, a przez cesarza zatwierdzone pohamowało w drapieżnych zapędach.

Postępując dalej wśród dzikich głazów przyszliśmy nad krawędź żlebu spadzistego, którego hrzeg przeciwnie legły stromy, urwisty wydawał się niepodobnym do przebycia. Ten więc żleb zwracał każdego, zmuszając do zadowolenia się zwiedzaniem niższego szczytu Świnnicy.

Nazwa żlebu pochodząca od żłobu oznacza w górach skalisty, spadzisty zwykle parów, którądy toczy

się woda po deszczu lub sęczy się w miarę topnienia śniegu. Do przebywania źleby są bardzo złe, bo woda zabiera za każdą razą wszystko co w spokoju zostawione ułatwiaćby mogło pochód, a przytém prógi wysokie często w źlebach napotykanne ucinają wszelką możliwość dalszej drogi. Otóż jeden z takich źlebów; wprawdzie w samym jego początku przebyliśmy po usuwających się za lada stąpnieniem kamieniach, co wcale niłego wrażenia nie sprawia, gdy spód jego ginie gdzieś niewidomie w przepaści. Krawędź, do którejśmy dotarli, ostra, wysoka na kilkanaście stóp w jednem tylko miejscu pozwala wspinać się na wierzch przez wąską szczelinę. Przewodnik wskazał nam w skale zakłęśnięcia do nczepienia się rękami i nogami, sam najprzód się tam wydostał, położył się na skale i każdemu z nas podawał ręce ku pomocy, radząc nie patrzeć w bok siebie na prawo, gdzie była przepaść. Rzeczywiście mała ta przeprawka wcale do łatwych się nie zalicza, zważywszy, że pod sobą mieliśmy najwięcej trzy stopy kwadratowe powierzchni głazu poziomego, a poza nim właśnie opisany ów źleb przepaścisty. Tu przed wydostaniem się na grzbiet, wskutek porady Sieczki, pozostawiliśmy wszystko, co nam dalej niepotrzebném było; wszelkie torby, kije, toporki przeleżały aż do naszego tędy powrotu.

Krawędź; raczej wąski grzbiet zwany w górach granią, co nam dotąd zasłaniała widnokrag od południa, gdyśmy się na nią wdrapali, rozwinęła przed nami cudowne panorama, przedsmak tego, co nas czekało na szczycie Świnnicy. Dolina Pięciu Stawów,

z których tylko dwa całe było ztąd widać i łańcuch najwyższych turni tatrzańskich czarujący, olbrzymi tworzyły widok. Nim się w nim rozpatrzyć mogliśmy, spostrzegłem kozicę bardzo blisko, bo zaledwie 50 lub 60 kroków od nas siedzącą na skale. Równocześnie i ona nas ujrzała, wstała, przypatrzyła się poważnie i popędziła całą siłą w przeciwną stronę w turnie Zawratu, a potem Granatu; łoskot kamieni strącanych przez nią dolatywał naszych uszu. Co to za chyżość a śmiałość tego zwierzęcia! Po przepaścistych urwiskach biegła jak po równym polu. Bywają podobno wypadki, że czasem chybi kozica w skoku, wtedy naturalnie ginie w przepaści bez życia. Sieczka poznał w widzianej kozicy samca, a cieszyło go niewymownie, ześmy goście mogli się przekonać naocznie o skuteczności jego zabiegów koło ochrony zwierząt. Sieczka bowiem i Wala, chociaż dawniej należeli do najzaciętszych skryto-strzelców na dzikie kozy i świstaki, dziś mianowani przez Komisję Fizjograficzną Krakowską ich strażnikami, z największą gorliwością strzegą powierzonego im dobra.

Szczyt Świnnicy sterczał nad nami jak wieża, przestraszająco oddziaływując na umysł; jeszcze pół godziny zeszło, nim się go dobiliśmy po nader stromiej pochyłości ponad dolinę Pięciu Stawów, pełzając na czworakach to po trawniku, to po głazach. Wierchołek sam w kształcie korony z wystającymi cyplami granitowemi, gdym się mu coraz bliżej przypatrywałem, stawał się zagadką, jakim tam sposobem człowiek wdrapać się może. Pod samym wierzchem pierwszy z mego towarzy-

stwa stanąłem, zapytując Sieczkę, którądy dalej? On mi wskazał lekkie zwarcie skały, które za wschodki mi służyć miało. Czepiam się ściany, ale z pod nóg usnwa się głaz, nogi mi zadrżały; podwajam siły i po chwili oparłszy się łokciami do połowy ciała byłem już na szczycie, a resztą zawisłem prawie w powietrzu, gdy moja żona stanęła już na szczycie z przewodnikiem. Sieczka użył fortelu dla zrobienia jój przyjemności, i aby mnie uprzedzić, wskazał mi niewłaściwą drogę, będąc pewnym, że i tamtą na wierzch się wydostanę, gdy nieco dalej od południa znajduje się szczelina sposobniejsza do przebycia, którądy on powiódł moją żonę, a za nią i siostra moja na szczyt się dostała.

Minęła godzina pierwsza, gdyśmy u celu podróży spoczęli. Czas był śliczny, ciepło, wiatr nieznaczny, a naokół widny świat wielki, olbrzymi, niczém nie zasłoniiony. Zaprawdę kto nie był nigdy na takim wyniosłym szczycie przenoszącym wszystko dokoła, ten nie może mieć pojęcia z opowiadania lub opisów, choćby najdokładniejszych o wrażeniu, jakiego się tam wtedy doznaje. Człowiek z swemi dziełami maleje, rozmiary przyrody swą olbrzymością przerażają, mimowoli dych korzy się, wielbi wszechmoc Stwórcy, natura ludzka bowiem im w większej czuje się zależności od żywiołów zewnętrznych, tem mniej ufa swojej sile. Obawa o życie czy w okręcie na widok bałwanów morskich, czy na urwiskach skał na widok przepaści, a zwłaszcza w czasie burzy nakłania każdy nmysł do oddawania się opiece Opatrzności. Myśli tego rodzaju nasuwają się każdej wznioślejszej dnszy, skoro wyrwana z jednostaj-

nego życia wzniesie się ciałem ponad poziom ziemi. Znam księdza Pl., wielbiciela pięknej przyrody, który w Tatrach, gdy się wydostał na jakie wzniesienie, zkąd natura w całym majestacie się objawia, padał na kolana i śpiewał *Te Denm*.

Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, po nasyce-
nin chociaż w części wzroku, następuje ciekawość, którą
gasić muszą gościom przewodnicy odpowiedziami na ty-
siącne pytania. Wówczas najczęściej kłamią góralscy
cyceroni, nie chcąc psuć sobie reputacji wszechwiedzy,
a rzadko znajdzie się między nimi tak szczery, skromny
człowiek, by się przyznawał do nieświadomości. Postać
swą góry zmieniają stosownie do miejsca, zkąd na nie
patrzemy, lecz niektóre z nich mają wydatniejszy kształt,
że je zewsząd łatwo rozróżnić wśród mnóstwa innych
szczytów, jak n. p. w Tatrach Krywań, Ganek, Gierlach,
Lodowy-Szczyt, Łomnica i t. d., które prędko można
rozeznąć, z dobrą zatem mapką stanawszy na jakim
szczycie podług pewnych danych da się rozpoznawać
z przyjemnością góry, doliny, przełęcz i t. d. Świnnica
w tym względzie należy do najwdzięczniejszych szczytów,
panując okolicy w znacznej rozległości, nasnwa przed
oczy takie bogactwo widoków, że trudno ich opisem
nużyć czytelników.

Całe Tatry przed nami jak na dłoni, na zachód od
Rohaczów począwszy, piętrzą się wierchy jedne nad dru-
giemi, wzdłuż południa schodząc ku wschodowi na Mn-
ranin i Hawranin. Od łagodnych grzbietów do naj-
dzikszych turni wszystko się nwydatnia, zaledwie kilka
tylko niskich szczytów nie widać, co się kryją za na-

przód wystającymi wierchami. Za szeregiem szczytów ziemia Liptowska, a za nią w dali sinieje znownu pasmo gór Niżnich Tatr. Poniżej naszych stóp doliny: Wierchcicha, Pięciu Stawów, Gąsienicowa i całe Podhala Nowotarskie, za niem Beskidy, Pieniny, lecz nie one ostatnie na horyzoncie, Kraków z swą ziemią aż po Częstochowę ginie w tle rozlegającej się równiny Wisły.

Bujał wzrok po świecie, a tymczasem czas chyżo biegł, godzina nam na szczycie przemknęła jak jedna chwila; jeszcze najwięcej pół godziny Sieczka pozwolił na pobyt na szczycie, bo czekało nas zejście z turni i daleki powrót do chaty. Głodnym, jeść się chciało, a z resztą spokoju nie było, bo często na urwiska łatwiejszy wychód, niż zejście, więc schodzenia się obawialiśmy.

Szczyt Świnnicy 7395 stóp wied. wyniosły, na który jak wspomniałem, dopiero Dr. Eug. Janota z Maciej-m Sieczką drogę wynaleźli, przenosi niższy czub zachodni o 64 stóp; powierzchnia jego około 10 stóp długa, a 6 szeroka, ze złomów granitu złożona mało zdoła osób pomieścić, tém bardziej, gdy skrajne głązy wisząc nad strasznymi przepaściami od wszystkich stron tłoczą ludzi na środek, z tego powodu bardzo skąpo jest na szczycie miejsca. Na niższym szczycie Świnnicy (7331') sterczy żerdka zatknięta przez oficerów kwatermistrzostwa, gdy tu pomiary robili.

Właśnie tam Dr. Eug. Janota nie mając nadziei dostania się na szczyt wyższy zajmował się pomiarem barometrycznym, gdy przewodnik Sieczka poprobował szczęścia dla dostania się na wyższy szczyt. Puścił się

jak koza granią turni, przeskakując rozpadliny ponad przepaściami z narażeniem życia, że Dr. Janota odwrócił oczy, nie mogąc patrzeć na takie lekceważenie życia człowieka mającego żonę i dzieci, a upominań zdawał się nie słyszeć, poczem zniknął mu z oczu. Pół godziny Sieczki nie było, aż się Dr. Janocie ukazał z dołu dążąc na szczyt niższy, którego na niego przyszli. „Jest już droga na Świnnicę!“ z radością wykrzyknął Sieczka i z Dr. Janotą puścili się na sprawdzenie. Pokazało się, że schodząc z wierzchołka odkrył wspomnianą już przezemnie szczelinę w krawędzi żlebu, dalej sposób przebycia żlebu, którego lepsze przejście odszukał Dr. Janota i tym sposobem stoi dziś otworem dla podróżnych najwyższy szczyt Świnnicy. Przyznał się Sieczka, że drugi raz nie odważyłby się przebywać grani łączącej szczyt wyższy z niższym.

Odtąd dopiero Świnnica warta podjęcia trudów, gdy na szczyt wyższy wejść można, poprzednio bowiem szkoda było fatygi, skoro wierzchołek wyższy zasłaniał najgłówniejszą stronę widoku do wnętrza Tatr i w dolinę Pięcin Stawów.

Gdym o tém nadmieniał w wydanym r. 1870 „Ilustrowanym Przewodniku do Tatr, Pienin i Szczawnic“, ksiądz proboszcz w Zakopanem zarzucił mi mylność mojego opisu opartego na opowiadaniu Dr. Eng. Janoty, o wynalezieniu drogi na najwyższy szczyt Świnnicy dopiero w r. 1867, gdy on (proboszcz) jeszcze przed 18 laty miał tam być z przewodnikiem Maciejem Rojem, którego mi na świadectwo przywodził i jego się rzeczy właściwej dopytać radził. Udając się na Krzyżne roku

1870, za przewodnika wziąłem sobie owego właśnie Macieja Roja, starego skryto-strzelca, słynnego w tém rzemiośle. Nie mówiąc mu nic o kwestji spornej, zagadnąłem go, czy był na Świnnicy. Stary gaduła wtedy z szczególną pamięcią określił mi całą swoją wycieczkę na Świnnicę z księdzem proboszczem zakopiańskim, jak szli, co widzieli, jak na szczycie zatkniętą żerdkę zastali, na której ksiądz proboszcz na pamiątkę swego tam pobytu litery swoje wyrzucił i t. d. A gdym go zaczepił o ów najwyższy czub Świnnicy, rozwiązał na moję korzyść zagadkę, mówiąc, że tam już nie byli, bo, jak się wyraził, „i koza dzika tamby się nie dostała.“ A że żerdka na zwiedzanym dawniej niższym szczycie tkwi do dziś dnia, rzecz się dostatecznie wyjaśniła i mój opis nie podpada wątpliwości

Pod głazem na Świnnicy składają podróżni kartki z zapisaniem imiου swoich, czasu tam przebytego i okoliczności dotyczących; w r. 1868 nasza tam zamieszczona kartka jest dopięro trzecią z kolei. Tworzy się tym sposobem kronika tego szczytu i warto, aby zawiniątko papierowe zamienić na słoј szklany, któryby lepiej chronił owe zapiski od wpływu niszczących żywiołów, bo przed ludźmi nic ich nie uchroni, jak się pokazało na Łomnicy. Od wielu lat składane na jęj szczycie kartki i starannie przechowywane zniknęły roku 1870, ale że w Szmeksie istnieje album, gdzie się wpisują podróżni, co zwiedzili Łomnicę, więc zniknięcie aktów ze szczytu nie pociągnęło za sobą zatraty wszelkich tego rodzaju wiadomości. Jak mi opowiadano, posądzenie pada na jakichś Prusaków, z którymi ostatni

raz na Łomnicy oglądał przewodnik zapiski, a zapisków już nie zastał, gdy się na Łomnicę wybrał z następnymi gośćmi.

Trzecia godzina się zbliżała, trzeba się było oderwać od prawdziwie cudownego widoku i niemiło się zrobiło spojrzawszy w szczelinę, którą się z wierchołka mieliśmy spuszczać. Zawadzał w drodze sterczący ostro głaz wśród owęj szczeliny. Sieczka postanowił go zepchnąć, ale wszystkich sił musiał użyć, aby celu dopiąć. Rozparł się całym ciałem i odwalił złom granitu, który potoczył się w przepaść; zgiął nam z oczu, dołatywał tylko łoskot kruszącego się po drodze w kawałki, nim ugrzązł w dolinie Pięciu Stawów.

Gdzie źle i niebezpiecznie schodzić grzbietem na czworakach zsuwając się na dół, można zewsząd bez szwanku dobrze zejść, najgorsze są w takich miejscach wielkie głazy, gdy je trzeba mijać lub spodem obchodzić. W jednym miejscu położył się Sieczka z rękami wyciągniętymi, aby w razie wypadku potknięcia się, można się było na nim zatrzymać. Im niżej, tym nam weseliej było, bo bliżej lepszej drogi; powoli przebyło się ową szczelinę ponad żlebem, sam żleb, a potem zwaliska głazów. Przybywszy na przylączkę między Świnnicą a pośrednią Turnią, mogliśmy z największym spokojem o dalszą drogę, zasiąść do obiadu na wysokości 6589 stóp przy ślicznej pogodzie. Wspaniała zaiste uczta, chociaż z najprostszych potraw złożona, a tryumfalna dla płci żeńskiej, którą niesłusznie odstraszają mężczyźni od śmiałych wycieczek, aby swoją

tchórzliwość zataić. Raz bowiem puścił się do Morskiego Oka pewien guwerner, zostawiwszy swego elewa na wsi, gdy minąwszy Zmarzle miał Zawrat przebywać, drząc uwiązał się na pasku do swego przewodnika i modlił się gorąco, aby się cało z pustyni głazów wydostać, a jednak tędy co rok wiele kobiet przechodzi bez żadnych obaw. Właśnie opowiadania podróżnych trwożliwych, albo umyślnie blagerje drugich, odstraszają niejednego, a miałowicie płeć piękną od poznawania cudów natury bez narażenia zdrowia i życia; zresztą kto się dobremu przewodnikowi powierzy, ten go bezpiecznie sprowadzi i wwiedzie, choćby na najgorsze miejsce.

Zupełnie tą samą drogą zdążaliśmy do Zakopanego, którą rano szliśmy na Świnnicę z tą różnicą, że prędzej, bo ciągle z góry na dół własnym parci ciężarem musieliśmy powstrzymywać rozpęd, przyczem nogi mocno bolały w kolanach. Zdawało się, że przez ciągle zrywanie ścięgna popękają. Widoki te same wydawały nam się wcale odmiennemi z powodu przeciwnego oświetlenia. Słońce chyliło się ku zachodowi i nim minęliśmy dolinę Stawów Gąsienicowych, następnie halę Królową, zmierzchno się. Boczań czy w górę czy na dół z powrotem, zawsze dokuczliwy; łatwo w jego skrętach, dziurach, pośród drzew korzeni nogi powykręcać. Dopiero stanąwszy w Kuźnicach odetchnęliśmy z całą swobodą, bo do samego domu czekała nas równa droga. O wpół do 10tej godziny syci zadowoleniem z szczęśliwie odbytej wycieczki, a cheiwi spoczynku, zawitaliśmy do chaty. Błogo było wówczas usieść, popijać herbatę

i pod wrażeniem doznanych uroków gwarzyć wśród swego domowego kółka. Sen klejąc powieki, zakończył nam dzień pełen miłych wspomnień z dopięcia wymarzonej wyprawy, na popasie przed karczmą w Białym Dunajcu. —



Zakopane.

Do niedawna, bo zaledwie lat kilkanaście, kto chciał zwiedzić Tatry, wybierał się do nich, jakby na wyprawę do źródeł Nilu. Nowy Targ, miasteczko u stóp Beskidów, bywało miejscem zborném, z kąd przedsiębrano wycieczki do Tatr, udając się wprost ztąd do celu n. p. jeśli do Morskiego Oka: doliną Białego Dunajca przez Poronia i Bukowinę, a jeśli do doliny Kościeliskiej, to doliną Czarnego Dunajca zawsze powracając do Nowego Targu. Gdy się liczba zwiedzających Tatry powiększyła, odległość Nowego Targu $3\frac{1}{2}$ mili od podnóża tatrzańskiego okazała się zbyt daleką, tém samém niezmiernie utrudzającą, a dla bliższego rozpoznania gór zupełnie niewłaściwą.

Zakopane (około 2600'), wieś bardzo rozległa, z świeżo, bo w r. 1847 ufundowaném probostwem i nowo zbudowanym kościółkiem, pod samemi Tatrami od północnej strony stała się stalém, letniém siedliskiem gości przybywających tu dla zwiedzenia gór, dla picia żętycy lub szukających wytchnienia wśród uroczej przyrody.

Od tego czasu do dni naszych Zakopane znacznie się podniosło, ale tyle tylko, ile zdziałał lud, zostawiony

samorodnemu przemysłowi bez żadnej pomocy inteligencji okolicznej. Owszem kładziono temu tamę, uważając w tym względzie własną materialną i moralną szkodę. Lud wiejski przestawał zależeć od właściciela dóbr, miewając od przybyłych sposobność zarobku, a przez obcowanie z ludźmi wykształconymi, wyrabiał się moralnie, nabywając rozmaitych wiadomości.

Kto ma poznawać północną polską stronę Tatr, udaje się do Zakopanego i tam zamieszkuje, czyniąc ze stałego miejsca pobytu dowolne wycieczki. Wieś ta górską, aby odpowiedziała swemu celowi, posiada wszelkie warunki, ale tak jak dziś, jest dopiero zawiązkiem ku temu. Rozpatrzmy się w jej otoczeniu.

Od południa piętrzy się łańcuch Tatr; mają one sobie tylko właściwy charakter; dlatego kto ich dobrze nie poznał, pomimo znajomości innych gór w Europie, nie może o nich prawdziwego wydać sądu bez narażenia się na zarzut kłamstwa, na lada słowie bowiem złapać go łatwo. Z tego to powodu często napotyka się takie brednie o Tatrach nie tylko w pismach ulotnych, ale i w dziełach naukowych, iż nie wiedzieć, czy się śmiać czy gniewać trzeba na nieświadomość autorów. Nabrały już nawet w literaturze obywatelstwa tak oczywiście błędne mniemania, że je każdy własnymi zmysłami może sprawdzić, a jednak trudno bardzo walczyć z uporem, gdy ludzie wolą plotki niż prawdę.

Nie miejsce tu na prostowanie wielu, bardzo wielu podrukowanych fałszywych wiadomości dotyczących Tatr, témbardziej gdy przy téj sposobności przyszłoby się powadzić z niejedną nawet na inném polu znakomitością

literacką. Najwięcej plotek roznoszą ci literaci i literatki, co bez odpowiedniego wykształcenia w dziale przyrodniczym, zajrzawszy do Tatr rozpisują się potem o nich, a w określeniu niedość poznanego przedmiotu braki uzupełniają własną fantazją.

Już samo położenie Tatr jest nader oryginalne. Patrząc na nie z Krakowa sądzićby można, że góry Karpackie piętrząc się już ztąd powoli, coraz wyżej się wznoszą docierając bez przerwy do łańcucha śnieżnych szczytów. Dlatego z wielkiem zdziwieniem podróży zapuściwszy się doliną Raby do wnętrza gór, przebywszy potem ich grzbiet przez Luboń, Habówkę i Obidową spostrzega gdzieś w dali sine, olbrzymie, nowe pasmo, oddzielone równinami — to dopiéro Tatry.

Przestrzeń dzieląca Beskidy od Tatr zowie się Podhalem lub Nowotarską doliną. Przerzynają ją Dunajec Czarny i Biały, łącząc się w jedną rzekę przy Nowym Targu, a zaludniają górale Podhalańcami zwani, zamieszkali w przeszło 40 wsiach i jednym miasteczku Nowym Targu, znanem na całym Podhalu pod imieniem „Miasta“. Są podania i uczonych mniemania, jakoby dolina Nowotarska była pierwotnie jeziorem, które jakimś może wulkanicznem wstrząśnieniem znalazłszy przez wąwóz Pieński ujście dla swych wód, spłynęło, utworzywszy słynne, cudownie piękne koryto Dunajca, które dziś jest sławą ziemi Polskiej.

Podhale jest falistą równiną, ze znacznymi wzniesieniami, które jednak wobec grzbietu Tatr zaledwie za pagórki mogą uchodzić. W odległości pół mili od stóp Tatr jest wzgórze Gubałówka, nad poziom Zakopanego

900 stóp wzniesione; między niém a Reglami, które się z szeregu gór wysunęły naprzód pod linię prostą, leży właśnie rzeczona wieś Zakopane, tworząca niejako osobną tej samej nazwy dolinę, zwróconą ze wschodu na zachód, o której nawet na myśl przyjść nie może jadącemu po raz pierwszy z Beskidów, bo kryje się zupełnie przed wzrokiem patrzącego. Droga z Nowego Targu wzdłuż Białego Dunajca zdaje się, że rośnie w miarę posuwania się ku Tatrom. Przybyłemu do Poronina powiadają górale, że jeszcze mila do Zakopanego, bo mając przed sobą ciągle turnie tatrzańskie, co chwilę się wydaje, żeśmy już u celu podróży, nim wreszcie z pośród grupy domostw ponad drzewami ukaże się krzyż kościółka Zakopiańskiego.

Zakopane, o 2500 ludności rozciąga się szeroko i długo, czepiając się wzgórzy, to brzegów potoków, przybierając nazwy osobne; lecz powoli wyrobiły się dwa punkty ciężkości. W Kuźnicach, koło dworu, w dolinie Bystrzej gromadzi się wszystko, co zależne od właściciela dóbr, a koło kościółka jednoczy się życie gminy. Tę część zwykli zajmować goście przybywający w lecie z różnych stron Polski. Jest już i kolonja żydowska, szybko wzrastająca; handel tu jak u nas wszędzie dzieją oni w swoich rękach.

Skoro wtoczy się wózek z podróżnymi o jakimkolwiek czasie do Zakopanego, znajdzie się zaraz wszystko, czego dla nich potrzeba. Zbliża się ten lub ów z górali z twarzą wesołą, szczerze wita nieznanomych, gotów do każdej usługi, a chociaż gość nie potrzebuje informacji, mimowoli się ich nasłucha. Serdeczne przyjęcie,

jakiego się za pierwszym stąpieniem w Zakopanem od ludu doznaje, chociaż ono głównie pochodzi z nadziei zysku, bądź co bądź zawsze wielką jest dla gości przyręta. W innych krajach zimno przyjmą, a swoją drogą porządnie kieszeń oskubią.

Dom duży, niedawno tuż za kościółkiem zbudowany dla gości przez Krzeptowskiego, majątnego górala z Kościelisk, stał się wśród Zakopiańskiego rynku punktem zbornym. Naokoło domu są lawki, zasłonięte obdasznicą od deszczu, co sprzyja niemało gawędzie, wewnątrz domu restauracja od roku dopiero zaprowadzona, kilka pokoi gościnnych i sklepik żydowski z najrozmaitszymi towarami lichym, a drogim. Minać tego domu nie można, bo jedyna tylko przez wieś tędy wiedzie droga, więc samochcąc zaczepia się o to, co nam potrzeba.

Jeżeli pora ładna, to w lipcu i sierpniu gości hywa dużo, nie trudno spotkać grono ludzi tu i ówdzie gwarzące swobodnie, a wśród nich łatwo o znajomego: jeśli zresztą z dalekich kto stron Polski, prędko z nieznanymi do znajomości przychodzi. Właśnie w Zakopanem pobyt odznacza się swobodą, nie ma koterji, a dla pokonania form etykiety łącznik się zawsze tu znajdzie.

Zajechawszy przed obatę, która nam ma użyczyć schronienia przez czas pobytu w górach, zagroda góralaska przyjemne musi wyrzeć wrażenie, jest w całości jakiś miły rozkład jak na włościańskie gospodarstwo. Podwórko małe okalają oprócz mieszkalnej chaty zabudowania gospodarskie, stodoła, obora, szopa, stajnia, dachy u nich z obdasznicami pozwalają krążyć naokoło nich w czasie słoty, bez zmoczenia; płyty zaś kamienne

pokładzione w najpotrzebniejszych miejscach wyglądają na brukowane chodniki. Okna we wszystkich chatach w Tatrach są zwrócone na południe, znać z tego, jak im słońce pożądanę. Rozkład chaty góralskiej wszędzie prawie jednaki. W pośrodku domu drzwi do sionki, z nięj w prawo i lewo dwoje drzwi, jedne wiodą do izby świetalnej, zwanęj świetlicą, która góralom służy na przechowanie stroju, wszelkiego majątku i na odbywanie uroczystości rodzinnych; drugimi drzwiami wchodzi się naprzeciw do izby stale zamieszkiwanęj przez rodzinę właściciela chaty. Jest tu wielki piec z przypieckami naokoło, łóżka przy ścianach, w powietrzu na sznurach u stragana od powały wisi kołyska, na drążkach podręczna odzież; w górze ścian półka ozdobna na talerze, w rogu szafka z półkami, wzdłuż ścian ławki, na środku stół i kilka stolców właściwęj góralom struktury; a po ścianach obrazy, obrazki z odpustów lub jarmarków naznoszone. Okna małe i niskie drzwi nie przypadają do naszego smaku, bo w izdebkach mało światła, a głowy tłuc zwykliśmy o odrzwia, przyzwyczajeni do wysokich drzwi po miastach.

Gdy goście całą chatę zajmują, gospodarze przez ten czas mieszczą się w stodole, a sypiają po strychach. Z biegiem czasu napotyka się tu niektóre ulepszenia, znajdzie już w izbach piece z blachami, sprzęty różnego rodzaju, a nawet poczęli Zakopianie budować nowe domy dla gości wyłącznie przeznaczone, z oknami i drzwiami większemi niż w zwykłych swoich chatach, z większą liczbą pokoi, po dwa z obudwu stron domu, z pokoikiem na pięterku, zwaném u nich zwyżką. Jeżeli przed chatą

jest łączka, miejsce sposobne do posiedzenia, a widok na szczyty niczém niezasloniony, pożądańsza taka kwatery niż inne, bo kto tu przybywa nie dla zajrzenia, lecz dla wytchnienia po całorocznej pracy, miło mu go użyć przed chatą nie szukając pięknego widoku jedynie na wycieczkach.

Bywają w Zakopanem tak slotne czasy, jak n. p. r. 1870. w lecie, że pogoda zjawiskiem w Tatrach; mgła kryje wszystko naokoło, deszcz leje bezustannie, potoki wezbrane szumią, można powiedzieć huczą, tocząc mętną, spienioną wodę, a z nią kamienie, krzewy, drzewa i t. p. Lada ściek zamienia się w strumień, drogami płyną wody, wszędzie błoto, mokro gdzie stąpać; wtedy wolny czas od czytania i pisania schodził mi na gawędzie z góralami. Trzeba przyznać, że górale posiadają dar opowiadania, przyczem zwykli gości i ruchami całego ciała dopełniać słowa. Najwięcej zaczerpnąć wiadomości można od starych górali, zasób u nich spory wiedzy dotyczącej ich stosunków i miejscowości.

Do każdego gór przywiązane są opowieści o rozbójnikach; Tatrom ich nie brak, co mnie się w tym względzie dotąd udało zebrać, tu podaję.

Pominąwszy dawnego opryska tatrzańkiego Janosika, który z swą bandą żyje w piosnkach, o ostatnich rozbójnikach w Tatrach opowiadał mi stary gazda, Paweł Janik Gąsienica z Zakopanego. Przed 40 laty czterech zbójników (tak tu zowią opryszków) rozbijało po Tatrach. Dwaj pochodzili z Liptowa, a dwaj drndzy z Zakopanego. Byli oni straszną plagą okolicy, napadali po drogach, po domach, po karczmach i po szła-

sach. Drżeli przed nimi ludzie i ze strachu wykonywali ich rozkazy, bojąc się ich zdradzić. Po halach żywili się żętycą, sérem, zarzniętymi owcami, a nawet krowami. W zimie przebrani za ubogich, szli w niezbrane okolice niby dla zarobku, a właściwie dla przezimowania, gdzie przebywali porę tę niepoznani.

Na hali Królowej była ładna dziewczyna, do której owi czterej rozbójnicy często zaglądali i wówczas u stawów Gąsienicowych juhasował właśnie opowiadający mi tę rzecz Paweł Janik. Zbójnicy posłali dziewczynę do szafasu Gąsienicowego aby im na brzezek doniesiono żętycy i séra. Szafasnicy wszyscy się bali iść, więc owego Pawelka jako najmłodszego wysłali z żadaną przesyłką. Szedł powoli ze strachem, gdy ujrzał zdaleka na pniaku siedzącego zbójnika, który krzyknął na juhasa: „chodź sporo“ (prędko). Chłopak pobiegł, oddał żętycę w gielecie, a w szmacie sér, zbójnik kazał mu w to samo miejsce przyjść po naczynie i zawiniątko i dał mu kawał wielki gotowanego mięsa. Gdy Pawelek później przyszedł w naznaczone miejsce, znalazł giolet i szmatę, a z ludzi nikogo nie zastał.

Zbójnicy ci ubrani byli zupełnie po góralsku, w białych guńkach z tą różnicą, że u koszuli rękawy i rąbki koło szyi mieli gęsto wybijane świecącymi guzikami, kapelusz także wysoko obity guzami metalowemi. Przez plecy każdemu wisiała strzelba, boki obejmował pas bardzo szeroki, bogato ozdobny, a za nim mieli pistolet, jeden lub dwa, i nóż wielki, szeroki, a oprócz tego w ręku ciupagi (toporki). Aby ich lupiestwa ukrócić, posyłano ze Sącza wojsko, które naturalnie jak zwykle

nic nie zrobiło, bo zbójniki nie byli głupi przychodzić wtedy do szałasów, gdy żołnierze tam siedzieli objadając biednych górali. Szałasnicy na tém najgorzej wychodzili, bo żywić musieli jednako obrońców i napastników. Czyniono na tych zbójników obławy, lecz i to skutku nie przynosiło, bo lud pod strachem zemsty robił to, co musiał, a pobytu rabusiów zdradzić nie mógł wiedząc, że gdyby się wyprawa ze wszystkiém nie powiodła, stałby się przedmiotem zemsty opryszków.

Ogłoszono tedy tych samych zbójników za wyjętych z pod prawa i każdemu wolno ich było zabić. Pewnego razu czterech ludzi, między nimi jeden leśniczy, wybrało się w lasy Bukowińskie (przy dolinie Białki) przeciw opryszkom. Rano przed świtem jeden z nich wyszedł na drzewo, aby zobaczyć, czy się gdzie nie dymi, bo zbójnicy zwykli gotować mięso i nocować przy ogniu, i postrzegli dym w stronie Rusinowej Jaworzyny, poczem wszyscy ruszyli w wytkniętym kierunku otaczając legowisko zbójników naokoło. Padły strzały, pierwszego położono trupem, herszta bandy, a za nim po dzielném a nagłym natarciu polegli wszyscy zbójnicy. Działo się to koło roku 1830.

Potém trafiali się jeszcze w Tatrach rabusie, ale już nie opryszki w właściwém tego słowa znaczeniu, lecz zwyczajni złodzieje nocą podkradający się do bogatych ludzi, gdzie brali, co się udało.

Bandą takich urwisów dowodził przed 20 laty nie-aki Gesłajda, wałęsając się po halach. Koło roku 1850. spotkali się z nimi w dolinie Koperszadów X. Józef Stolarczyk. proboszcz z Zakopanego, przewodnik Maciej

Roj i całe grono osób zdążające na Łomnicę. Zbójnicy ujrzawszy towarzystwo czmychnęli w las, chociaż nikt ich z podróżnych nie gonił.

Podobnego rodzaju złodziei bandę w ostatnich latach wytworzyła jedna rodzina z Zakopanego, Matejowie, ojciec z siedmioma synami. Nocami czynili wyprawy na bogatych handlarzy, karczmarzy, zwłaszcza na Węgrzech. Raz miał ich góral z Zakopanego podpatrzeć, gdzie pieniądze chowali, i zabrać im je, co gdy zbójnicy wysledzili, przyszli do sprawcy po odbiór pieniędzy, kiedy go w domu nie było. Zastali w izbie dziewczynę, którą, gdy jednego z nsmolonych rabusiów poznała i po imieniu nazwała, zadusili, aby ich nie wydała. Zbrodnię tę popełniono w lecie roku 1866. Sprawa wyszła na wierzch, a sprawców jój powięziono. Właśnie przewodzącę tój zgrai, Mateję, przed samém popełnieniem morderstwa powyższego miałem sposobność poznać w roku 1866, gdy jechał na jarmark do Nowego Targu. Piękny to i niezmiernie silnie zbudowany mężczyzna, włosy miał ciemne, postawę sympatyczną, rysy twarzy bardzo kształtne, jakby antykowe greckie, spojrzenie pewne, a ubrany był po góralsku w świątecznym stroju. Chata jego przy ujściu doliny Strążyskiej stoi teraz pustką, bo jój gospodarz zdaje się z więzienia już nie wyjdzie.

Życie pasterskie po górach usposahia do zbójectwa, zaprawiając młodzież do próżniactwa, a że apowiadania o zbójnikach podniecają młode umysły, czyniąc w ich oczach z prostych zbrodniarzy bohaterów, zatém jedynie silna władza bezpieczeństwa publicznego zdolna powstrzymać lud od demoralizacji na tój drodze. Przecież

przed dwoma laty dwu chłopaków, synów zamożnych gospodarzy z Kościelisk, Krzeptowski i Stopka, jego krewny, przybrawszy sobie jeszcze dwu towarzyszków, jednego z Olczy, a drugiego podobno z Jurgowa, niczém do tego niezmuszeni udali się na tak zwany u nich „zbój“ w upatrzone miejsce do Niedzicy nad Dunajcem dla zrabowania żyda karczmarza. Napadłszy na dom, zamknęli całą rodzinę do piwnicy, a sami wzięli się do roboty, lecz w czasie rabunku żyd córeczkę wysadził przez okno na pole która pobiegła po pomoc. Nadbiegli ludzie z żandarmami i otoczyli karczmę. Wówczas rabusie wyskakiwali oknami, a Krzeptowski strzelił do żandarma. Ujść im się udało, ale i tak sprawców odkryto, związanych odstawiono do więzienia. Krzeptowski chociaż po nieudanej wyprawie zbiegł do domu i schował się gdzieś na Orawie, i tam odszukany do kryminału się dostał w Lewoczy na Spiżu. W r. 1870 zapadł wyrok w tej sprawie, na mocy którego skazani zostali rabusie na kilkoletnie więzienie, a Krzeptowski na 12 lat za strzelenie do żandarma. Po wyroku przewieziono go do Munkaczowa na Węgrzech.

Dziś przy ogólnej zmianie stosunków i w Zakopaném zbójnictwa czas minął, odkąd bywam w Tatrach nie słyszałem, aby gościom się co złego stało, lecz jak mówi przysłowie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże“ dla zapobieżenia przypadkowi w czasie pory letniej, gdy goście do Zakopanego przybywają, oprócz zwykłej straży stałej, wsiowej, w nocy gazdowie dobrowolnie po dwóch pełnią na przemian służbę stróżów nocnych.

Od Zielonych Świątek do Matki Boskiej Zielnej

tchną Tatry życiem. Natura jest w rozkwicie, a po halach ludno. Hale należą do rodzin góralskich z całego Podbala, rzadko bardzo do właściciela dóbr. Bywa, że do jednego pastwiska mają prawa gazdowie z różnych wsi; pochodzi to z żenienia się, gdy gazda za żonę w posagu odziedzicza przywilęj paszy na tém lub owém pastwisku. Takie jednak osady pasterskie po halach zwane bacówkami istnieją w zupełnej od drugich niezależności; dla tego myli się p. Wincenty Pol w Obrazach z życia i natry, mówiąc, że hale w Tatrach wszystkie razem mają nad sobą zwierchnika.

Baca na szalasię jest najwyższym zwierchnikiem całej osady pasterskiej i wcale się innemi bacówkami nie zajmuje, rzadko ich nawet znajomość albo jakie stosunki łączą, bo hale po całym Podhalu mają rozrzuconych właścicieli. W dolinie n. p. Kościeliskiej hala Pyszna należy do Klikuszowej, wsi położonej na stokach Beskidów, cztery mile od Tatr odległej, a sąsiednia hala Smytnia w tej samej dolinie należy do Miętostwa, wioski przed Czarnym Dunajcem; Zakopianie znów jako potomkowie rodziny Gąsieniców posiadają dla paszy dolinę Gąsienicową i t. d.

W górach właściwie wiosny nie ma, bo w maju gdy śniegi stopnieją, naraz robi się lato. Bydło na paszę w hale wypędzają koło Zielonych Świątek, odbywa się to z wielką uroczystością. Drożynami z całego Podhala ciągną jak karawaną w Tatry pasterze z owcami, krowami, końmi i wszelkim sprzętem, psy owcze białe z rasy Liptowskiej pilnują, aby się owca z gromady nie wydzielała. Na rześkich konikach wierzchem jedzie



starszyzna pasterska; co rok obieralny baca dobiéra sobie sam juhasów, t. j. pasterzy, których ma żywić przez lato i dać każdemu sér z jednego podoju wszystkich owiec na hali. Kierdele t. j. gromady liczą różną liczbę owiec, od kilkudziesięciu bywa ich do 600 sztuk na jednej hali, roboty przy dojeniu dużo, a gazdowie właściciele owiec według umowy z bacą za czas paszy na hali dostają pewną liczbę funtów sera. Sér wyrabia sam baca i on odpowiada za całość powierzonego mu dobytku, juhasi zaś mają obowiązek paszenia owiec, dojenia i wszelkiej posługi w szałasie. Gdy owca zaginie, baca i juhasi winni zwrócić właścicielowi wartość straty; jeżeli się gdzieś w turniach zabije, ale owcę znajdą, to skóra z wełną przypada właścicielowi, a mięso pasterzom. Zależy to jednak od dobrej woli lub umowy górali, gdyż łakomy gazda i za mięso każe sobie zapłacić. Bał to i uczył w szałasie, gdy im się trafi mięso, które warzą w żętycy, ale się zdarza najczęściej śmierdzące, bo nie zawsze się im uda zaraz odszukać zguby, to nie zniechęca jednak szałasników do pożywania z radością i smakiem przypadkowego daru Bożego.

Bydło w górach, zdarza się, że ginie w czasie paszy. Owce, krowy, woły, konie zalazłszy gdzieś w miejsce, z kąd się wydobyć nie mogą, przy usiłowaniu wydostania się spadają w przepaść zdruzgotane na miazgę. Ze skał Kuścielca ponad Czarnym Stawem Gąsienicowym dwa woły się raz stoczyły, z których na dole znaleziono bryłę mięsa pomieszanego z kamieniami. Po spędzeniu owiec na podój przed szałasą juhasi zawsze liczą ich ilość, aby wcześniej się zguby dopatrzeć i jeśli się da,

odszukać. Bywa bowiem, że owca zabłąka się w przepaściste turnie i nie wie jak wrócić, to znów czasem skaleczy nogę, więc beczy wołając o pomoc, i znosić ją trzeba.

Jak konie, woły, tak i barany pasają się samopas po górach zupełnie zostawione Boskiej Opatrzności Barany, żeby gdzie nie zaszły w inne strony, sprowadzają górale w takie miejsca, do których jedna ścieżka wiedzie, a tę zastawiwszy, w spokoju je zostawiają, czasem przeliczając dla kontroli. Zowie się to zastawianie baranów w górach „zacinaniem.“

Z ludzi pochłonęły już Tatry pewną liczbę; z podróżnych wiadomo mi tylko o jednym wypadku, bo ci zwykle ostrożnością się odznaczają w przeciwieństwie górali lekceważących sobie niebezpieczeństwa, zatem pasterze wypełniają tę nieszczęsną kronikę śmierci. Łącząc ciągle z owcami dla paszy po urwiskach nabierają wielkiej śmiałości, której nadużycie przyprawia ich o utratę życia lub zdrowia. Przy zwiedzaniu gór wdając się w rozmowy z szalaśnikami, wszędzie napotykałem wspomnienia smutnych wydarzeń, a nawet zdarzało mi się pokaleczonych świeżo oglądać. W Czerwonych Wierchach koło skały zwanój Ratuszem zginęła dziewczyna a dopiero pies leśnego odnalazł już z niej kości. W dolinie Pięciu Stawów śnieg spadły w lecie przeciął powrót kilku jagniętom, które się zabłąkały w turniach Buczynowych. Poszedł po nie juhas, ale przy sprowadzaniu spadł tak gwałtownie, że go pas gruby skórzany szeroki, którym się o skałę zaczepił, od śmierci nie ochronił. Potargane straszliwie zwłoki

odnalazł drugi juhas i tam nanosiwszy żwiru, za-
grzebał.

Z podróżnych tylko junaki, lekceważący wszelkie
przestrogi doświadczeni złych następstw z tego powodu,
gdy prawdziwie przypadkowych pokaleczeń bardzo ma-
łoby się dało zebrać. Wrodzona obawa o życie zmu-
sza każdego do ostrożności na każdym niebezpiecznym
miejscu, gdyż to już samo przez się na umysł silnie
oddziaływa. Czasem zły przewodnik lub niesłuchanie
rad dobrych stają się dla podróżnego przyczyną nie-
szczęścia. Lat temu może 15, gdy pewne grono osób
ze Szmeksu udało się na Łomnicę; między niemi był
jeden akademik, syn magnata węgierskiego. Wyprzed-
dził on towarzystwo, a że ścieżki na szczyt wiodą za-
krętami, znikł im raz z oczu, co jednak nie zwróciło
uwagi towarzyszy, aż na wierzchołku góry. Poszuki-
wanie rozwiązało zagadkę, znaleziono bowiem na urwi-
stym miejscu ślad odzieży ponad okropną przepaścią,
ale zwłok nie było. Zawiadomiony ojciec zaginionego
naznaczył sutą nagrodę za znalezienie ciała, czém gó-
rale zachęceni poczęli śledzić i z pomocą lin zapu-
ściwszy się w przepaść, znaleźli biedaka potarganego
do niepoznania.

Gdy trawa na górach pożółknie, traci pierwiastek
pożywczy dla owiec, a nastają żniwa we wsiach, scho-
dzą pasterze z hal z owcami i krowami, konie tylko
i woły zostają na pastwiskach do jesieni. W końcu
wszystko w doliny schodzi, góry stoją pustką, jedyni
mieszkańcami bywają tylko dzikie kozy, zwane kozica-
mi, i świstaki, małe zwierzątka. Ani kozice ani świ-

staki nikomu nic złego nie robią, są ozdobą gór i nigdzie ich w całych Karpatach nie ma oprócz w Tatrach; zdawałoby się, że żyją w turniach z zupełną swobodą, a jednak człowiek, najdrapieżniejsze stworzenie na świecie, i tam im nie daje spokoju. W Tatrach tak się na te biedne zwierzęta zawzięto, że o mało ich ze szczeniem nie wytępiono.

Właściciele dóbr tak z polskiej jak z węgierskiej strony tłumnami wyprawami, a wiejscy skrytostrzelcy pojedynczo lub we dwu, tak zaciekle ścigali kozice, że już całe Tatry więcej ich niż 60 sztuk nie liczyły. Wówczas dwóch rozgłośnie znanych w świecie naukowym uczonych, Dr. Eug. Janota i Dr. Maxym. Nowicki, miłośników przyrody, wystąpiło z całą energią i wytrwałością przeciw tępieniu tych zwierząt. Jako członkowie komisji Fizjograficznej Tow. Nauk. Krakowskiego w jej imieniu działali dla dobra fauny krajowej. Mieli do czynienia z ciemnotą ludu i z zaślepioną uamiętnością polowania właścicieli Zakopanego. Łatwiej im przyszło pokonać ciemnotę górali niż uamiętność tak zwaną inteligencji. Wpływ moralny chronił prześladowane zwierzęta od skrytostrzelców, ale jawnych łowczych zapędy pohamowało dopiero prawo na sejmie uchwalone, a przez cesarza sankcjonowane, które pod karą aresztu do 20 dni lub grzywny do 100 zlr. zakazuje łapać lub zabijać kozice i świstaki. Sprawa ochrony zwierząt tatrzańskich ma swoją historję brzydką dla pp. Homolaczy, do której dostarczają wątku roczniki komisji Fizjograficznej w Krakowie oraz akta w jej archiwum zebrane lecz dotąd nie ogłoszone. Obecnie po

kilkoletnich trudach i z własnej kieszeni ponoszonych kosztach na utrzymanie straży dla opieki pomienionych zwierząt miłośnicy ojczystój przyrody cieszą się owocami swych usiłowań. Tak kozice jak świstaki rozmnażają się i osadzają tam, gdzie ich od kilkudziesięciu lat nie było.

Strażnikami dla ochrony zwierząt w Tatrach mianowano dwu najznakomitszych przewodników, przedtém najslynniejszych skrytostrzelców, Jędrzeja Wałę i Macieja Sieczkę. Pełnili oni przyjęte obowiązki z wszelką energją i starannością, z narażeniem się na prześladowania pp. Homolaczów, dopóki Zakopane z wszelkimi przyległościami nie przeszło na własność p. Eichborna. Komisja Fizjograficzna umiała w tym celu ludzi wybrać; Wala i Sieczka zapobiegali wszelkimi środkami tępieniu kozic i świstaków, sprawców chwyтали lub broń im odbierali. Jednego razu w jesieni wybrali się obaj w okolice Morskiego Oka dla obejścia dobrze im znanych myśliwskich stanowisk. Gdzieś koło turni Mnicha znaleźli oklepce, t. j. paści używane do łapania kozic, któremi chwycona, ginęła śmiercią głodową po krwawych mękach dobywania się z żelaznej paszczy. Wala i Sieczka zabrali z sobą oklepce i wracali do domu z zdobyczą, gdy Sieczce przyszła myśl; „Mamy oklepce, rzekł, ale tego nie mamy, co je tu założył.“ Postanowili więc czekać na czatach, wyszukawszy sobie ochronne od deszczu stanowisko. Czekali cały dzień i całą noc, gdy się im ukazał góral o te czasy w turniach niemożący mieć innego celu, jak łapanie kozic. Poszedł on prosto do mijśca, gdzie były oklepce, i przy szukaniu

ich strażnicy go ujęli. Związawszy mu ręce, wiedli go do Zakopanego wraz z narzędziem łowczém. Zapewne przez drogą morały kładzione w uszy przestępcy popierali dotykahiejszymi argumentami, można tak sądzić, znając nasz lud wiejski. Odstawiono go potem do sądu w Nowym Targu, gdzie odsiedziawszy sześć dni aresztu, wrócił do domu, mając w pamięci takich strażników, jak Sieczka i Wala.

Dziwną osobliwością jest w Tatrach wiatr halny; przypada on w jesieni, lecz nie każdego roku. Gdy się pojawi, powala najstarsze nawet drzewa, zrywa dachy, porywa i roznosi szopy i szalasy, a jeżeli zbiory jeszcze po polach nie zebrane, wydziera ze szczętem wszelki plon i roznosi po świecie. Zakopianie poznają go po sprzedających znakach. Wieje on z południa od hal, ztąd halnym zwany, wypędza małe chmurki szybko z za wierchów, gnając je wprost na północ, nim się sam przedstawi w postaci istnego huraganu, niszcząc wszystko, co napotka. Górale się go bardzo boją i dlatego skoro się pierwsza zapowiedź jego na horyzoncie pojawi, chronią się z wszystkiém do domów, nawet spędzając bydło z pola.

W Zakopaném zbiera się wśród lata wprawdzie nieliczne, ale zato dobrańsze niż indziej towarzystwo. Przyjeżdżają tu ludzie głównie dla zwiedzenia gór lub wytchalenia umysłowego, ci zaś, co szukają zabawy, interesów, odgrywania jakich tonów, choroby na panów, marnowania majątku jadą do kąpiel, Tatry dla nich dziką pustynią. Tu poznają się osoby, co się tylko z imienia znały, nie znać kordonów dzielących Polskę,

na pogadance czas miło schodzi, więc chociaż i słowa nastanie, nudzić się może ten, co się umysłowo zająć nie potrafi, co nie umie lub nie chce towarzystwa sobie poszukać. Spotykając w Zakopaném nieraz wśród znakomości artystycznych, literackich różnych zawodów i wszelkich odcieni wymoczków salonowych śledziłem przyczynę pojawienia się takich okazów na jałowym ęła nich gruncie; badania przekonały mnie o istnieniu mody, o warunkach dobrego tonu zajrzenia chociaż raz w Tatry, które się im barbarzyńskimi wydają z braku wygod i komfortu. Grymasy ich śmieszne; bywa, że z pierwszej lepszej wycieczki jak barana przewodnik na plecach do wsi przynieść, a potem opowiadają nie stworzone rzeczy o Tatrach i prawią o niesłychanych przygodach, w czém albo bardzo mało albo wcale prawdy nie ma. —



Giewont i Czerwone Wierchy.

W grupie gór, u których stóp legło Zakopane, sterczy pyszna olbrzymia skała, wyróżniająca się od wszystkich wierchów swoim kształtem tak oryginalnym, iż nikt jój raz widząc zapomnieć nie może; miano jój Giewont. Ulubieniec to poetów, artystów i w ogóle gości Zakopiańskich, wznosił się jak wódz tatrzańskich turni. od północy stromy, jak wieża, grzbiet jego, jak w koronkę dzierzgany, a w szczycie wyłom, szczyrba olbrzymia, która go dzieli na dwa niedostępne wierzchołki. Dawniej na zachodni szczyt Giewontu wchodzono, nim wpływ czasu nie wygładził turni, tak, iż już nie można myśleć o wydrapieniu się na niego, wędrowki zaś na wschodni szczyt o mało nie przypłacił życiem X. J. Stolarczyk, proboszcz w Zakopanem. Siedząc jak na siodle, po grzbiecie turni posuwał się granią od wschodu naprzód, napotykając szczeliny. Przebywszy taką jedną, którą ze wsi widać w kształcie małej szczyrunki, znalazł się w miejscu, z kąd naprzód, ani w tył ruszyć dalej nie mógł, wisząc nad przepaściami z dwóch stron. Z potarganą odzieżą, po-

krwawiony na ciele zawisł X. St. na wysokości koło 5900 stóp z małą nadzieją ocalenia życia. Nie pozostało mu już nic innego, jak krzyczeć, co sił starczy, aby go nśłyszał jaki juhas szczęśliwym zdarzeniem z owcami w te strony zagnany, i pomocy użyzył. Tym razem szczęście zabląkanemu posłużyło. Juhasi posłyszeli głos, przybiegli na ratunek i z pomocą liny wydobyli z matui swego proboszcza. Szczyt więc najwyższy Giewontu (5959') pozostał dziewiczym, nikt już potem na niego się nie wdrapał, a zresztą prawdę mówiąc, niema tam po co się spinać, skoro sąsiednie mu Wierchy Czerwone wysokością go przenoszą, a w drodze na nie karku nie trzeba łamać. Sławę swoją zawdzięcza Giewont kształtowi swemu i szczęśliwemu położeniu; dla Zakopanego tworzy on tło majestatyczne, a w owęj szczybie, dzielącej jego wierzchołki, mają zegar górale, bo skoro słońce przez nią rzuci promień w dolinę Strażysk, środek wtedy dnia, południe. Czarowna dolina Strażysk wiedzie z Zakopanego wprost pod jego stopy, które zalega śnieg wieczny, ale tędy na Giewont ani myśleć nie można o wyjściu, bo ściana jakby pionowa, ztąd tój góry nazwę wywodzą jedni, co z niemieckiego zwykli wywodzić wszystko, od Gehe Wand, stroma ściana; drudzy od nazwiska rodziny góralskiej, Giewontów, zapewne niegdys jój właścicieli, bo w Tatrach nazwy gór pochodzą od właścicieli, lub nazwiska właścicieli od posiadłości, nowe jednak przypuszczenie w tym względzie, o ile mnie się zdaje najwięcej ma za sobą prawdopodobieństwa. Dr. Jan Radwański, z zamiłowaniem oddający się lingwistyce, śledząc wyrazn staropolskiego na wyrażenie prostopadłości, wy-

raznie ukutego dla użytku naukowego, napotkał u ludu w górach w tem znaczeniu wyraz giew, gwy, giewy, giewa, prostopadły, spadzisty, co nam jasno pochodzenie nazwy Giewontu rozwiązuje.

Z poza Giewontu od zachodu widać trawą porosłą górę, ze stromo ściętymi skałami od dołu, jest to grupa wierchów Czerwonych, ztąd dla oka jedną tworzących całość, a na ich tle rysuje się szczyrbaty, skalisty Giewoncik lub mały Giewont (5245') Patrząc z Zakopanego trudno pojąć, że podróznemu gdy stanie na szczycie Czerwonego Wierchu zniknie gdzieś pod stopami ów dumnie sterczący Giewont; najbliższy mu bowiem Małołączniak przenosi go o 744 stóp. wied.

Szcześliwe położenie Czerwonych Wierchów względem innych gór i droga na nie, nie połączona z żadnymi niebezpieczeństwami, jest powodem, że je najwięcej goście zwiedzają. Nazwa ich pochodzi od czerwonej barwy wysokiej trawy, która porasta cały grzbiet Czerwonych Wierchów. Szczytów w tej grupie jest 7, z tych środkowy najwyższy, Krzesanica 6768' potem Małołączniak 6703'. Upłaz 6475', Kopa lub Wierch Kondracki 6337', Ciemniak 6658' Ciemniak zachodni 6561' i Rzędy (dotąd nie mierzone). A że cała ta grupa gór jest odosobniona od rdzenia Tatr, od najwyższych i najdzikszych szczytów, tem więc pożądanśze posiada warunki, bo widok z nich niczem nie zasłoniiony, rozległy, a tém samem wspaniały. Giewont najwięcej na północ wysunięty a przełęczę z Czerwoncami Wierchami złączony, jako najbliższy krewny tworzy z niemi jakby jedną rodzinę, ztąd naraz go zwiedzać zwykli podróżni z Czerwonemi Wierchami.

Różnemi drogami wychodziłem już na Czerwone Wierchy, nieznaną mi jeszcze była jedna, zachwalana dla krótkości, przez Przysłop i dla jej poznania w r. 1869. wybrałem się w gronie kilku osób na rzeczony wierchy. Za przewodnika mając Macieja Sieczkę, przy pięknej pogodzie, wyruszyliśmy 22 lipca o 6 godz. rano w drogę.

Idzie się na zachód od Zakopanego, minawszy szereg domostw, wiedzie droga wśród wonnych łąk pełnych różnobarwnego kwiecia, poczem nastaje kawałek lasu, kilka małych potoczków przerzyna równinę a w pół godziny przybywa się na brzeg doliny, której środkiem z łoskotem toczy się potok, niewiedzieć dla czego Cichą zwany. Droga jedna wiedzie dalej w las ku Kościeliskom, myśmy zaś skręcili ścieżką w dolinę ujście Małej Łąki. Chłód owiał nas z jej wnętrza, co na nas mile oddziało, po dotychczasowej przechadzce wśród skwaru słońca.

Drożyna wije się koło potoku przez las, czasem po spadzistych gładzach, napotykałiśmy ślady jezdnej niegdyś drogi tu i owdzie; pogniłe belki z dawnych mostków zdradzały istnienie niegdyś ludzkiej komunikacji. Opuściliśmy w krótkce potok, zboczywszy na zachód w las w górę na Przysłop, na polanę Miętusią. Stawaliśmy często dla odetchnienia. bo zbocze było strome, w tem doleciały nas wesołe okrzyki, a po chwili njrżeliśmy dziewczęta biegnące żwawo z żętycą w dzbankach, niesioną dla gości w Zakopanem. Z dziwieniem nas powitały; jedna z nich była Hannusia córka Janikowej gospodyni, cośmy u niej mieszkali, napała nas żętycą dla nas niesioną, i popędziła za drugimi do domu.

Ciągłem dążeniem pod górę trochę już utrudzeni radzi byliśmy, gdy się nam z pośród drzew grzbiet Przy-słopu (4276') pokazał, a nim wążką ścieżką przez bujną łąkę dotarliśmy do szałasu, przybycie gości oznajmiły psy całej osadzie Miętusiańskiej. Owiec przy szałasie nie było, juhasi je popędzili w turnie na paszę, jedno jagnie słabe pasło się koło szałas, uwiązane na długim sznurku. Z szałas uchodził dym z dogorywającego ogniska, bo już żętyca była odgotowana, i sér zrobiony; haca i kilku juhasów na gawędzie przy fajeczce czas spędzali, gdy nas usłyszeli, wyszli na powitanie. Baco-wał wtedy na Miętusiej hali Klimas Miętus, gazda z Miętóstwa, wioski koło Czarnego Dunajca, idealny typ górala tatrzańskiego. Młody, może 27 lat liczący, po-tężnie zbudowany, rozumny, jak na górala wykształcony, gdyż przebył kilka klas gimnazyjalnych, żołnierz z po-wstania r. 1863. o czym z chlubą wspomina, przyjął nas z szczerością właściwą naszemu ludowi a grzecznością miejską. Spotkanie takiej postaci wśród ludu, wśród turni, chwytą za serce, rozmowa żwawa i ohoacza rozwi-nęła się prędko. Mój towarzysz Władysław Cz. uczest-nik ruchu z roku 1863. tem bardziej się uradował, zua-lazłszy tu, gdzie się tego najmniej spodziewał, kolegę z szeregów narodowych. Gościł nas baca, czem mógł, serem i żętycą, a my jego cygarami i tytoniem, bo i ja, chociaż nie palę narkotyku wschodniego, jadąc w Tatry zaopatruję się w tytoniowy materiał, gdyż górala niczem tak nie uraczy, jak cygarami lub tytoniem. Juhasi, coś-my ich w szałasie zastali, byli już lat podeszłych, młodszy łążąc za owcami, hukali sobie po turniach. Odgłos

przeciągłych okrzyków „uuu... cba!“ rozlegający się po skałach powtarza się, ma to coś w sobie nader oryginalnego, zupełnie odpowiedniego dzikiej górskiej przyrodzie, dodawszy do tego szczekanie psów, brzęk dzwonek zawieszonych u szyji owiec, utworzy się mowa turni w czasie lata, gdyż w inną porze głuchą, ciszę przerywa jedynie poświst wichru lub huk burzy.

Po krótkiej pogwarce ruszyliśmy dalej, żegnani przez pasterzy szczeremi życzeniami szczęśliwej drogi w dzisiejszej wycieczce. Dostaliśmy się do lasu najprzód dróżyną wygodną aż do zarzuconych bań (kopalń rudy), potem przedzierać nam się przyszło z trudnością między świerkami, po kilkodniowej słońce tak przepełnionemi wilgocią, iż każda dotknięta gałąź sownicie nas wodą skrapiała, a po zaklęśnięciach grzęzliśmy w błocie. Jak wszystko na świecie tak i to złe minęło, wyszedłszy z krainy lasu dostaliśmy się na otwarte zbocze żwirem łupkowym pokryte, a następnie o wpół do 9tej godzinie na skałę zwaną Kobylarzem.

Turnia ta z wierzchu równa, pięknym trawnikiem porośła, boki ma ostro ścięte, przepaściste, a widok ztąd bardzo dziki na dolinkę Litworową. Złomy wapienne zalegają dno dolinki smutnej, głuchej bez szmeru potoku, bez roślinności. Ztąd, gdym się obejrzał na grzbiet Czerwonych Wierchów, na cel naszej wycieczki, dobrze widoczny żleb wydał mi się najsposobniejszą drogą do wyjścia na górę, przewodnik zaś inną mi wcale drogę wskazał. Zdziwiony, ale zaufany w naszego Macieja, udałem się za nim ku wschodowi i niebawem się przekonałem o niebezpieczeństwie chodzenia po gó-

rach bez przewodnika, bo idąc za swoim mniemaniem byłbym zaszedł w straszne turnie przepaściste, gdy wskazaną a wcale mi niedomyślną drogą dosięgnęliśmy grzbietu bez żadnej szkody. Wprawdzie ów żleb wiodący koło skały zwanój Ratuszem nie jest wcale zachwycający, lecz przy ostrożności niebezpieczeństwem zupełnie nie grozi, jednakże dla tego kawałka drogi wychodzenia na Czerwone Wierchy przez Przysłop wszystkim gościom polecać nie mogę, mając przykład na moim towarzyszu. Kto bowiem wprawny w chodzeniu po szczytach, żleb Ratuszowy różnicy mu nie robi, ale nienawykłemu dokuczy do żywego. Jak zwykle w żlebach, drapać się trzeba było po nasypisku różnej wielkości kamieni, stromo bardzo w górę, za pomocą kija a czasem ręki, gdzie się dało, czepiając się od prawej strony ściany turni. Głazy się obsuwały, góry jakby nie ubywało, a za nami ziemia się gdzieś chowała. Uprzykrzył nam się przeklęty żleb; trud wyciskał obfity pot, oddech trzeba było łapać często odpoczywając t. j. postawiając, w końcu przecie wierzch się grzbietu pokazał bującą zielonością pokryty, ale aby się tam dostać, wypadło jeszcze na czworakach przepelzać po kawałku litój skały poczem można było swobodnie usiąść. Towarzysz mój Władysław, po wydostaniu się ze żlebu zbladł jak trup, osłabł, żeśmy się o niego wylękli. Było to za wielkie na pierwszy raz dla nowicyjusza tatrzańkiego wysilenie; po chwili wypoczynku na miękkim posłaniu z wysokości trawy, winem pokrzepiony i zapewniony, że już w całej dzisiejszej wycieczce nie

natrafił na drugą podobną przeprawę, przyszedł do siebie.

Grzbiet, gdzieśmy odpoczywali jest granią urwistą od północy, wiodącą prosto na Wielką Turnię (5922) dobrze widną z Zakopanego, z ścianami prostopadłymi do doliny Małej Łąki. Idąc w górę niedługo koło 10 godz. przybyliśmy nad głęboką skalistą otchłań, jakby obszerną studnię, do której sączyła się woda ze źródła tryskającego kilka kroków wyżej z pośród żwiru. Na wysokości 5937 stóp. źródło należy do szczegółów, smak jego wody wyborny, zimna + 2^o₂₄ Rm. że zęby trętwieją, a do herbaty dobra, jak się zaraz przekonaliśmy. Tu miał być nasz pierwszy główny odpoczynek; Sieczka pobiegł gdzieś niżej po gałęzie kosodrzewiny, bo już znajdowaliśmy się w krainie bezleśnej, przyniósł materjału palnego, rozżarzył ogień, wody naczepał z owego źródła, nastawił w naczyniu a tymczasem, oczekując posiłków dla żołądka, rozkoszowaliśmy się widokiem. Południe całe, a więc łańcuch Tatr zasłaniał nam szczyt Małolączniaka, na który dążyliśmy, właściwie tylko północ stała nam otworem, pod naszymi stopami dolina Małej Łąki, nieco na wschód turnie Giewontu, z tyłu widziane, dalej dolina Zakopanego zasiana domostwami, następnie całe Podbale przerzniete Czarnym i Białym Dunajcem, ginące koło Nowego Targu, miasteczka z błyszczącą blaszaną wieżą kościoła farnego, powyżej pasmo Beskidów a za tem wszyskiem siniał horyzont z okolicą Krakowa.

Poschodziło się do nas kilku młodych juhasików z psami owczarskimi z rasy liptowskiej, które na nas

ciągle njadały, chłopaki zaś, chciwe pogadanki, wdali się w rozmowy. Jeden z nich pokaleczony, poobwijane miał nogi, ręce i widoczne rany po głowie. Zapytany wskazał opodal „turniczkę“ (ostrą skałę) na którą mu się piąć zachciało, niewiedzieć po co i spadł z niej; drugi z pastuchów opowiadał o innym ze swoich rówieśników, który ciekawością zdjęty, coby było na dnie otchłani poniżej źródła, przy którym spoczywaliśmy, zanadto się nachyliwszy, wpadł do wnętrza. Bóg łaskaw na tych hultai, bo i ten ciekawski się nie zabił, lecz tego potłukł, z kąd go za pomocą liny wydobyto. Ocalał głównie z powodu, że duo owój gardzieli zalegał jeszcze wtedy śnieg, którego już nie było, gdyśmy tu przybyli. Nie docieczono dotąd, gdzie uchodzi woda z téj czeluści, domniemują się ludzie, iż na Małej Łące z pod kamieni się wydobywa.

Półtoréj godziny zbiegło nam w tém miejscu, nie wiedząc kiedy, herbata wydała nam się nieocenionym nektarem, napoju tego żaden inny zastąpić tu nie zdoła, górale sami również ją wysoko oceniają, chociaż do herbaty nie nawykli. Sieczka z nami zasługi herbaty w górach bardzo wynosił. Postępując w górę po trawistym zboczu, w 3. kwadransie od odejścia od źródła, stanęło moje towarzystwo na szczycie Malołączniaka i tam zostało, ja zaś, bokiem, stroną zachodnią puściłem się z przewodnikiem na Krzesanicę najwyższy szczyt (6768') z całej grupy Czerwonych Wierchów, gdzie jest punkt triangulacyjny.

Granica węgierska znaczonej kopcami biegnie samym wierzchem grzbietu. Gdyśmy wsięśli na złomach wapienia,

jaki zalega szczyt Krzesanicy, świat na około niczem nie zasłoniony rozłożył się majestatycznie przed naszymi oczami. Nie minęła nas nagroda dzisiejszych trudów, mgła nie kryła żadnego szczytu. Nie podobna rozwodzić się tu nad wspaniałością widoku, jaki się zewsząd tłoczy, i jakie wrażenia wywiera, bo rzeczywistości się nie dorówna, a wyobraźni nie zaspokoi. Wierchy gołe, odarte, śniegiem ubrane piętrzą się po nad sobą, porozdzielane dolinami, za niemi równiny z błyszczącymi jak srebro strumieniami, wsie, miasteczka, znowu drugie góry, zamykające horyzont naszych oczów.

Pod stopami Krzesanicy jest dolinka, raczej kotlina dzika, pusta, kamienista zwana Rozpadlicą, a poniżej ciągnie się wielka dolina ze wschodu na zachód w okrąg, Wierchcichą nazwana od Wierchu Cichego, który południowy jej bok zalega. Najwyższym szczytem na zachodzie Czerwonych Wierchów jest Bystra (7230') przez turystów zwana Pyszną od hali tej nazwy, u jej stóp rozłożonej, zaś na wschodzie Świnoica (7395') rozpoczyna szereg szczytów tworzących rdzeń Tatr. Właśnie tego roku o tej porze śnieg tak mocno jeszcze pokrywał Świnnicę, że nie mogło być mowy o wychodzeniu na nią. Na południu od nas królował Krywań (7913'), a z pośród tłumu szczytów wschodnio-południowych, wznosząc się jak hetman po nad wszystkie wierchy, wychylał łysinę Gierlach (8414'). Słońce dopiekalo, wiatr znów chłodził, byłem zajęty rysowaniem szeregu gór od zachodu, gdzie są Bystra, Stara Robota, Rohacze i t. d. a Sieczka biegał za pajakami, które zbierał dla Komisji fizjograficznej Tow. Naukowego Krakowskiego, to-

warzystwo zaś moje, przełęczą oddzielone, na szczycie Małolącziaka czyniło obserwacje. Mając już wracać, zawiódł mnie Sieczka w stronę Rzędów, pokazał dwa stawki w głębi doliny u stóp Tomanowej od Węgier, poczem ruszyliśmy do swoich, gdzie znowu zdejmowałem rysunek całej głównej grupy Tatr od południa. Zaledwo zdążyłem widok ów nakreślić, z obłoczków wcale przedtem nieznaczących utworzyła się warstwa mgły, która powiększając się równoległe do poziomu, jakby strychulcem zakrywała szczyty od wierzchu, począwszy od najwyższych, schodząc do coraz niższych. Dobrze można było widzieć, rzeczywistą wysokość szczytów. Wylączając perspektywiczne złudzenie oczów ludzkich, po kolei chowały się w mgłę wierchy coraz niższe. Szczyt Gierlacha tonął już we mgłę, gdy jeszcze wszystkie inne czysto się rysowały na tle nieba.

Nie było już tu co dłużej robić, przed 3 godziną rozpoczęliśmy odwrót do domu, lecz zupełnie inną drogą. Przed sobą ujrzelśmy, jakby mrówki coś żyjącego dążącego ku nam na Małolącziaka z Kopy Kondrackiej; za pomocą lornetki rozróżniliśmy dobrze osoby, dwóch z nich było moich znajomych, jak się pokazało przy spotkaniu X. Ig. z Litwy i p. Gl. Lecz zdziwiło mnie spotkanie ich tu o tak późnym już czasie; opowiedzieli mi, że z Zakopanego idąc przez Kuźnice na Kondratową w celu wyjścia tędy na Czerwone Wierchy utknęli w oberzy i wino spijali kilka godzin. Przewodnik ich zwany Tadziokiem, istny gawron, rad, że mu wina dawano, nie naglił do drogi nieświadomych wycieczek po Tatrach, i przez to późno zdążywszy na

wierchy, nim dosięgli szczytu Małolęcniaka, mgła już nietylko wierzchołki gór, ale ich samych objęła. Była dopiero 3 godzina po południu. Przystęp ciasne mieli obowią, nogi im poodzierało, szli w szkarpetkach, przeto schodzenia po skałach wcale im nie można było zazdrościć. Wkrótce straciliśmy ich z oczów, szliśmy przełęczą (5484) łączącą Giewont z Czerwonemi Wierchami, ale nam się nie chciało na jego wierch pod górę drzeć bez celu, skoro za podnózek Czerwonym Wierchom może służyć.

Dawniej byłem na wierzchu Giewontu w owęj szczybie pomiędzy dwoma jego wierzchołkami; strach bierze, jak się ztamtąd spojrzy w dolinę Strażysk, tak jest stroma przepaść. Śniegu płat zalegał małe pod szczytem zagłębienie, ciekącą ztąd z topnienia wodę czerpaliśmy spragnieni, lecz jak deszczówka bez smaku tę tylko zaletę posiadała. że była zimną. Oprócz najwyższego czubka Krywania ztąd już nie widać wierchów ani Spizkich ani Liptowskich, jedynie północ ztąd widoczna, a więc Podhale, a za niem Beskidy.

Z wspomnianej przełęczy Kondrackiej między Giewontem a Kopą Kondracką puściliśmy się na dół po stromem zboczu do Piekła, ale nie ewangelicznego. Tak się bowiem tu zwie, trudno wiedzieć dla czego, kotlina u stóp Giewontu od południa, gdzie się poczyna dolina Kondratowa. Napotkaliśmy w drodze ściekającą wyborną wodę z niepodal tryskającego źródła + 208 Rm, dalej strumyczek się powiększał, nowemi wypływami zasilany, nim w dolinie zniknął pośród żwiru.

Opierając się parciu własnego ciężaru, biegliliśmy

prędko na dół, a przed nami w dolinie Kondratowej szalasy, różne szopy oznajmiały siedlisko ludzi. Bydło się pasło, ale ludzi znać nie było, zeszła się osada pasterska do szalasu, z kąd nas głos kobzy dolatywał. Jakiś jubas wygrywał na niej, dobywał tonów, jakie tylko mógł, pomimo tego nudny to bardzo instrument, jeżeli śpiewkami nie urozmaicony. Powitano nas ochoczo, poczęstowano żętycą, pogwarzono o tem, co się dzieje w świecie, bo górale chciwi wiadomości, o polityce radzi gadają; w końcu po miłym odpoczynku puściliśmy się w dalszą drogę już po 5 godzinie.

Dolina Kondratowa zamknięta na około górami, sama w sobie nic szczególnego ani pięknego nie zawiera. Polanę niszczy góralom lada większa burza, zamulając trawę żwirzem wapiennym niesionym wodą z sąsiednich wierchów. Potok, który się dopiero koło Kalatówek z pod ziemi wydobywa, przez Kondratową płynie niewidomie w głębi żwiru.

Minąwszy polanę Kondratową weszliśmy w las nie dróżyną jednak jezdną lecz ścieżkami powiódl nas przewodnik dla uproszczenia drogi. Napotkaliśmy w lesie ślady strasznej burzy; drzewa stare olbrzymie sterczały u dołu pni poodzierane głazami wodą toczonemi. Spore koryto, głazami zawałone, zupełnie suche, dawało nam pojęcie o sile żywiołów, jeżeli złomy, które aby dzwignąć, nie wiem, ileby ludzi potrzeba, woda unieść zdołała. Wpół godziny wyszliśmy na drogę jezdną; ciszę dotychczasową przerwał nam szmer zdale dolatujący, coraz silniejszy w miarę postępowania naszego naprzód, aż wreszcie ukazał się sprawca hałasu. Staliśmy na

brzegu drogi, a poniżej z pod stóp naszych z pod ziemi, z pośród głazów wydobywał się silny potok spadający na dół po kamieniach stóp może 40. Nagłe to zjawisko u osób, co tu pierwszy raz przychodzą, budzi wielki podziw i ztąd czynią goście z Zakopanego wycieczki wyłącznie w to miejsce, do tak zwanego źródła Białego Dunajca, a właściwie Bystrój. Uczeni zaś uważali go nie źródłem lecz wywierzyskiem Bystrój, bo strumień nie poczyna się tu dopiero, lecz wydobywa z pod skał, płynąc już jakąś część pod pokładem ziemi. Źródłem Białego Dunajca w żaden sposób nazwać tego nie można, bo nazwa ta strumienia powstaje dopiero we wsł tego nazwiska przeszło o milę od Zakopanego po połączeniu się potoków, które dotąd płyną pod swojemi osobnemi nazwami, jak właśnie ten, co ztąd się toczy, zowie się Bystrą, a nie Dunajcem. Niech się zresztą nazywa jak chce, źródłem czy wywierzyskiem, to bynajmniej nie ujmuje wspaniałości zjawiska przyrody. Głazy zielenią porośłe, kwiatami, mchami umajone płucze o kryształowem przezroczu woda zimna (+ 3° Rm. na wysk. 3660') w smaku wyborna, nim, piejąc się śnieżną białością, w biegu na dół spływie potokiem. Najwspaniałej wygląda to źródliisko z dołu z po za potoku.

Po nasyceniu się wodą i jój widokiem ruszyliśmy w drogę, która nas po kilkudziesięciu krokach wywiodła oą piękną polaną od jój właścicieli Kalatów, Kalatówkami zwaną. Rozkoszne jój położenie na wzoiesieniu (3652') pod grzbietem Giewontu z otwartym widokiem na Wierchy koło Magury i Goryczkowej, którądy

konfederaci barscy armatki przeprowadzali, uchodząc do Węgier.

W głębi lasu huczy potok, dopiero co z uwielbianego przez nas źródlika uszły. Szopy na siano, a po nad łąką szałas pasterski urozmaicają okolicę; wieczorem gdyśmy wracali, roiła się polana ludźmi, drogą toczyły się wózki drzewem naładowane, a było zganiano do podoju. Po zwykłych pozdrowieniach według zwyczaju, po kilku słowach żartów, o jakie łatwo w górach przy wesołości i gadatliwości górali a zwłaszcza góralek, minęliśmy Kalatówki, zdążając ciągle już odtąd na dół, lasem po głazach do doliny Bystrój po nad Kuźnicami. Napotkaliśmy tu mnóstwo źródeł, co kilka kroków nowe, wszystko to składa się na potoki, które poruszają Kuźnice, rozsiane po dolinie Bystrój. Odtąd znaną nam już drogą, w poprzednich wycieczkach opisaną, szliśmy do chaty wzdłuż Kuźnic, potem lasem aż w końcu wychylił się szereg domostw zakopiańskich koło kościółka. Dolina Zakopanego nie uśmiechała się pogodą, Giewont znów począł przybierać groźną minę, o jego czoło rozbijała się mgła, która już sąsiednie wierchy w zupełności zakrywała. Koło 7 godzin przybyliśmy do chaty szczęśliwie, bo mgła wierchów się uczepiła, gdyśmy już z nich schodzić zaczęli, a więc cel wycieczki osiągnęliśmy, wróciwszy przytem sucho bez deszczu do domu.



Dolina Kościeliska w Tatrach.

Skreślił Dr. E. Janota.

Miluj naturę a ukochasz Boga
i nauczysz się wyrozumiałości.
Gordon.

O Tatrach już nie mało u nas napisano, z oschłością naukową i z polotem poetyckim, z gruntowniejszą rzeczą znajomością i z powierzchownością i lekkomyślnością prawdziwie francuzką, posuniętą aż do przekręcania nazwisk i widzenia rzeczy takich, jakich nie ma, lub widzenia ich tam, gdzie ich nie ma. Zdarzało się to przedewszystkiēm piszącym nibyto z natchuieniem, piszącym w upojeniu i oczarowaniu, nie mogącēm przy pierwszym wrażeniu wydobyć się z sfery wykrzykników ach i o! Nie jestem z kamienia i luhię góry, ale gdy raz ktoś wyszedłszy w Pieninach na miejsce, z którego widać u stóp ich kawał Dunajca, na widnokręgu południowym Tatry a przed niemi kęs Spiża, upadł na kolana i rozkrzyżowawszy ramiona, zaczął gadać jakieś androny, odwróciłem się, aby się nie rozśmiać i nie przerwać tego nabożeństwa, które zdaniem mojęm różnwało się szczerością kubek w kubek niejednemu in-

nemu, i nie mogłem pozbyć się podejrzliwej myśli, że widok półmiska z smaczną przekąską i niektórych innych jeszcze rzeczy ten sam byłby sprawił skutek. Ktoś inny ujrzał od pięciu stawów polskich Kraków. Prawda, widać go, ale ze Świnnicy w dzień bardzo pogodny przez lunetkę; od pięciu stawów Pieniny i Czorsztyń gołem okiem każdy zobaczy, a Kraków chyba wtedy, gdyby ciekawego podniesiono za uszy przynajmniej na jakie 650 metrów w górę, bo szczyty zasłaniające widok właśnie w stronę Krakowa wznoszą się nad stawy na 600 i więcej metrów. Gdyby Tatry nawet szklane były, to od Pięciu Stawów Krakowa nie zobaczyłby nikt. Jeszcze ktoś inny już w Mogilanac i doznał zachwycenia i został porwany w trzecie niebo, ujrzał bowiem nie tylko zamek lanckoroński, który ztamtąd każdy inny śmiertelnik i pospolity grzesznik zobaczyć może, ale zarazem objawił się mu zamek berwałdzki i dobczycki. I jeszcze komuś innemu wapienna skała Pisana zwana w dolinie Kościeliskiej zamieniła się w piaskowiec, szczelina Kraków w pieczarę, a na górnej granicy świerków urosły jarzyny. Że ptaki jedzą jarzębinę, to wiadomo; i człowiek jeść ją może już dla właściwego mu zakresu smaku tak rozległego, jak u żadnego prawie innego zwierzęcia, co przyrodnicy włożyłoby powinni między charakterystyczne cechy i własności człowieka, a że ledwie jedno zwierzę zbliża się w tym względzie do niego, nie przewyższając go jednak, więc ta wszystkożerność powinna być także policzona do własności, wynoszących człowieka nad resztę stworzeń ziemskich. Atoli czy krzewiasta jarzębina, rosnąca

miejscami w kosodrzewinie bardzo obficie, rodzi owoc, tego nie wiem, nie widziałem go przynajmniej, chociaż jednego roku w drugiej połowie września często przechodziłem w Tatrach koło takich gąszczów jarzębinowych. Jeżyny na tej wysokości także nie ma. Może być, że autorka, mówiąc o jarzynie rosnącej na górnej granicy świerka, miała na myśli owce, krowy, konie lub jakie inne zwierzęta. Taby oczywiście rzecz zmieniło. Nie powiedziawszy tego atoli wyraźnie, z swemi pojęciami botanicznemi czytelnika w błąd wprowadza. W codopiéro wydaném pisenku niemieckim pewien autor jezioro popradowe czyli Rybie pleso Słowaków umieścił na szczycie Wysokiej, a zatém o 1024 m. wyżej nad rzeczywiste położenie swoje. Cóż dopiéro mówić o tych pisarzach, którzy podróżnych z Łomnicy spuszczała zawiniętych w niedźwiedzią skórę, lub których wózki wraz z końmi górale przenosili przez przepaści?

Myłki te i zmyślenia umyślne i nienmyślne pochodzą zwykle stąd, iż ten i ów przybywszy do Tatr, nieraz na czas zhyt krótki, zająrzawszy i tu i tam, ale lotem tylko, olśniony pięknością tych gór, spisuje doznane wrażenia z pamięci, nieraz po upływie dłuższego czasu, bez zapisków dokładnych na miejscu robionych i z pomijaniem dotychczasowej literatury Tatr, jak wycieczkę przedsięwzięto bez przygotowania. Byli nawet i tacy, którzy pisali o Tatrach, a wcale ich nie widzieli lub tylko z daleka się im przypatrzyli. Wszakże co dotąd napisano u nas o Tatrach, jakimkolwiek ono jest, świadczy, jak silne wrażenie sprawiają te góry na każ-

dym, który je widział, świadczy, jak pożądaną byłaby dokładna i wyczerpująca monografia, jak potrzebna szczegółowa mapa Tatr.

Piękna mapa, zrysowana według najnowszych zdjęć naziomu znajdujących się w Instytucie jeograficznym wojskowym w Wiedniu, kosztem Komisji jeograficzej Tow. Naukowego Krakowskiego a staraniem jednego z jej członków w r. 1865, dotąd nie została wydana. Nie ma funduszu na nakład, nie przenoszący 800 złr. w. a., któryto wydatek tém pewniejby się wrócił, gdyż tak obfita niemiecka literatura map prócz niedostatecznej mapy Korzystki nie posiada żadnej dokładnej mapy Tatr, zaś sekcje G₂ i H₂ wychodzącej w Instytucie jeograficznym wojskowym wiedeńskim specjalnej mapy Węgier obejmujące Tatry mimo pięknego wykonania są o jedną piątą mniejsze od mapy komisji fizjograficzej.

Naukowe badania, przedewszystkiém zbieranie szczegółów do opisów topograficznych Tatr, są bardzo mozolne, z licznymi połączone niewygodami i kosztowne, a mecenasów wspierających naukę jest u nas zbyt mało. U tych zaś, którzy mają najwięcej sposobności do zbierania przydatnego nauce materiału, mianowicie treści etnograficznej, i topograficznej, jużto usposobienia, już też ochoty do takiego zajęcia nie ma. Zresztą niepodobna wymagać wszystkiego od wszystkich, owszem najlepiej nie wymagać od nikogo niczego. Miałem w szkołach kolegę, który po ostatnim egzaminie ułożywszy w stosik książki i bazgraniny pożyczone, był bowiem za skąpy, ażeby je kupić, a do pisania wielu nie dosta-

wało mu rzeczy, w obec wszystkich współuczniów swoich uroczyście uczynił ślub, że już żadnej nie tknie się więcej książki. Nie słyszałem, ażeby nie był dotrzymał tego pięknego ślubu. Że bardzo wielu u nas czyni takie śluby przy zejściu z ławy szkolnej, choć nie jawnie, to w duszy, o tém wiedzą najlepiej księgarze i autorowie. Jeden kupuje chociaż nie wieś, to przynajmniej pole, lub je w procencie w wieczny bierze zastaw, ma więc potrzebę wynieść i oglądać je; drugi kupił pięć jarzm wołów i idzie ich doświadczyć; trzeci pojął żonę i przeto trzeba go mieć za wymówionego; czwarty kupił sobie szafkę Wertheima, juźcić nie na minerały lub zielniki zebrane w Tatrach; piątemu nie może wyjść z pamięci ów piękny wierszyk: *Est deus in nobis, agitante calescimus illo*, i tak dalej. Nic więc dziwnego, że Alpy zajmujące przestrzeń około 2536 mil kwadrat., nie licząc południowo-zachodniego skrzydła od przełęczy pod górą Cenis aż po wybrzeża morza śródziemnego, są daleko lepiej znane, zbadane, pomierzone, opisane, zrysowane, fotografowane, niż Tatry zajmujące z najbliższém Podbalem po rzeki przecinające cztery walne doliny u stóp Tatr, Dunajec, Poprad, Wag i Orawę, nie więcej jak 65 mil kwadratowych. Ztąd odważę się wyprowadzić wniosek, że poniżej podane szczegóły o dolinie Kościeliskiej zwiedzającym takową zastąpią prostego przewodnika, nie umiejącego zwrócić na nie uwagi podróżnika.

Dolina Kościeliska jest tedy dla przybywających do Zakopanego dla zwiedzenia Tatr w kilku dniach jakby Mekką. Prócz nięj trzeba tylko jeszcze zobaczyć tak

zwane źródło Białego Dunajca (właściwie wywierzyisko Bystrój pod Kalatówkami, polanę powyżej hut zakopiańskich i Morskie Oko czyli Rybie, i otóż stało się zadosyć gorącemu serca pragnieniu a poniekąd nawet wymaganiu mody, widziało się Tatry, można o nich rozprawiać i pisać wierszem i prozą. Tacy zastosować mogą do siebie nie słowa: *Dixi et salvavi animam meam*, lecz: *Vidi et salvavi animam meam*. W polskiej części Tatr dolina Kościeliska jest tém, czém dla przybywających do Szmeksu (szczaw sławkowskich biorących nazwę od wsi Sławkowa, Gross-Schlagendorf, w której obrębie leżą), dolina Wielka (w zwykłym u Niemców przekręcaniu nazw słowiańskich Felką zwana, a jeden z tych lingwistów zrobił z niej nawet dolinę ludów, *Völkerthal*) albo mięguszowiecka (tak nazwana od wsi Mięguszowiec, Mengsdorf, do której należy), lub wreszcie dolina Zimnej Wody (*Kalzbacher Thal*, z której Niemcy zrobili dolinę potoku jużto węglanego lub kapuścianego, *Kohlbacher Thal*, już téż lysego, *Kahlbacher Thal*).

Przybywający z Zakopanego do doliny Kościeliskiej spuszcza ją się z dosyć stromego stoku północno-zachodniego ramienia Jaworzynki, wznoszącej się nad doliną Miętusią i Kościeliską, do niewielkiej międzygórskiej kotliny, rozpostartej nad strumieniem przybywającym z doliny Kościeliskiej, więc od południa, pospolicie za Czarny Dunajec uważanym, na północ zamkniętej Palenicą (1194'9 m.*), a przeciętej od wschodu na zachód przed

*) 1 metr = 3'078 stopom par., 3'16375 wiedeńskim, 2'655 stopom dziesiętnym pruskim.

samém ujściem doliny Kościeliskiej drogą prowadzącą z Zakopanego do Witowa. Część téj kotliny na południe od pomienionej drogi jest piękną trawiastą równiną, tworzącą wniście do doliny Kościeliskiej, od wschodu i zachodu lesistemi objętą czubami, zwężającą się ku południu. Bok wschodni, jak namieniono, tworzy ramię Jaworzynki, w boku zachodnim widać trzy czuby lasem porośłe, Kopkami zwane. Po krańcu wschodnim prowadzi droga, na krawędzi zachodniej płynie między smrekami potok kościeliski, którego sporą część puszczone na tracze. W pobliżu traczów i tuż przy drodze do Witowa jest leśniczówka. Jeden z tych traczów wybudowano za byłych właścicieli Zakopanego, teraz wybudowano drugi. Dzierżą je żydzi orawscy, dwór zakopiański dostarcza pewnej liczby tramów, deski wywożą do Węgier. Mówiono, że do pierwszego tracza przyszli żydzi skutkiem pożyczki zaciągniętej przez byłych właścicieli na pokrycie wydatków połączonych z festykiem urządzonym przy odsłonięciu ostatniego z kilku pomników wzniesionych koło dworu zakopiańskiego arcyksiężętom austriackim jako członkom panującej rodziny. Przy Morskiem Oku znajdował się także pomnik postawiony na cześć jednego z byłych gubernatorów Galicji. W roku 1848 rozbito go i utopiono w Morskiem Oku. Były o to jakieś dochodzenia i złożono winę na robotników przy kuźnicach w Jaworzynie spiskiej, jakoby ci pomnik ten byli ukradli. I cóż za powód do wznoszenia tutaj rzeczonych popiersi? Otoż były to stopnie i grzędy do wlezenia do herbarza, gdyby zmartwychwstał Paprocki, Niesiecki lub jaki kuzyu ich. Figle te,

srowadzanie o mil kilkanaście i więcej najwyższych dostojników rządowych, wojskowych i duchownych z liczną ich świtą, podejmowanie ich w drodze i na miejscu, obwożenie po Tatrach i odwożenie napowrót, niemale wyciągały wydatki. W czasie pierwszej podróży cesarza do Galicji, chciano go ściągnąć do Zakopanego. Jużci Karol Radziwiłł mógł w Albie podejmować Stanisława Augusta, ale Zakopane nie było i nie będzie Nieświeżem, pomijając jeszcze niektóre inne różnice. Były prostsze drogi do zadowolenia téjto próżności swojej, zaszczytniejsze dla próżnych a użyteczniejsze dla okolicy i kraju, ale ich nie dostrzeżono i dążono do celu pochlebstwem.

Zwróciwszy się wyżej wspomnianą drożyną ku południu w dolinę, mija się tuż pod górą maleńką chatkę uhlarza (węglarza). Przy niej wystaje kawał gołej skały, na którą przewodnicy lubią zwracać uwagę zwiedzających dla nadzwyczajnego mnóstwa skamielin tworzących tę skałę. Dla podobieństwa niektórych z nich do drobnych pieniążków numulitami je nazwano, wapieni zaś jest dolomitem. Górale zowią te skamieliny jarcem (jęczmieniem jarym. bo ozimego zboża nie sieją i nie mogą siać). Bywa, że ten lub ów zabiera z sobą kawałek téj skały na pamiątkę a pamiątkę tę spotyka los wszystkich prawie pamiątek, które się czas jakiś poniewierają u posiadacza, a wreszcie bywają precz wyrzucone.

Na południe w prawym czyli wschodnim łoku doliny widać stopniami wznoszące się skały, jużto mura-
wnikiem pokryte, już téż kosodrzewiną, niżéj smreczyną

porośle. Jest to ramię Czerwonego Wierchu upłaziańskiego, zwane Wyranką. Nazwa ta prawdopodobnie to samo znaczy, co Wyzranka, iż ramię to wyziera ku dolinie, tak samo jak w Beskidach zachodnich w Ujsołach slyszalem wyraz ślew, w Tatrach mówią źleb (*Runse*). Za Wyranką widać w tyle zbiegający ku dolinie grzbiet trawiasty jednego ze szczytów otaczających od wschodu górną część doliny; na prawo, w południowo-zachodnim rogu wznosi się Bystra, pospolicie, lecz mylnie Pyszną zwana, Pyszna bowiem jest bała w południowym końcu doliny, Bystra dosyć wysokim szczytem wysuniętym z grzbiegu głównego ku południu i należy już do Liptowa.

Opisane wniście do doliny Kościeliskiej należy do niżniej Miętusiej kiry. Miętustwo jest część wsi Cichego, pierwotnie sołtystwo. Miętusowie najdawniejszymi są posiadaczami dolnej części doliny Kościeliskiej i po nich nazwaną doliny Miętusiej.

Nieco dalej ku południu dolina znacznie się zwęża, skaliste ściany obu boków zbliżają się tak do siebie że tylko dla potoku wolne zostaje miejsce, zwane Bramą. Po nad potokiem za pomocą sąsiek z tramów sporządzonego i do potoka wpuszczonego i ponarzuconych do tego sąsieką głazów urządzono przejście i niby drogę, bo kilkosażniowej przestrzeni zarzuconej skalem, jak takowe padło, bez ułożenia porządnego, bez zasypania z wierzchu drobnym kamieniem i zwirem, przecież nie można nazwać drogą. Jak koniętom góralskim dziwić się należy, iż z rzadką zręcznością umieją przebywać takie miejsca bez połamania nóg, tak nie-

dbalstwo górali a zarazem właścicieli Zakopanego, mogących ścierpieć takie drogi, nie jest do pojęcia ani do darowania. Drogi w Tatrach w czasie pobytu była w halach są bardzo uczęszczane już przez samych górali, zwożących nabiał do wsi na koniach jucznych i wózkami. Prócz tego temi drogami zwożą siano z polan, drzewo, rudę, czasem węgle, a w porze letniej liczni goście zwiedzają Tatry, zostawiający rok rocznie nie mały grosz między ludem. Nieraz dosyć znaczne przebywać trzeba przestrzenie, na których nie ma wiele do widzenia, a przynajmniej na jednoby wyszło, czyby po nich rozglądano się z wózka, czy idąc pieszo. Prócz tego zyskanoby na czasie, gdyby takie miejsca wygodnie na wózku przebyć można. Tymczasem jazda po tych drogach daleko więcej zmęczy i utrudzi, niż odbycie ich pieszo. Dla tego też drogę do Morskiego Oka odbywają teraz mężczyźni zwykle pieszo przez Zawrat, odkąd ten przesmyk przestał być strasznym, a na powrót od Roztoki popod Wołoszyn i przez Waxmundzką jak na Tatry dobrymi szedłem ścieżkami tak, że ruszywszy po godzinie 12 od źródelka przy drodze nieopodal Morskiego Oka i uczyniwszy po drodze kilka pomiarów barometrycznych, co mi najmniej 2½ godziny czasu zabrało, stanąłem jeszcze za dnia przy Jaszczurówce, wózkiem zaś do odbycia drogi z Zakopanego do Morskiego Oka lub na powrót przez Bukowinę, wynoszącej na mapie mało co nad 4 mile. w rzeczywistości z 5 mil, potrzeba jeżeli nie więcej to nie mniej czasu, jak ażeby z Zakopanego przez Waxmundzką zejść do Jaworzyny spiskiej. Ja przynajmniej wybrawszy się raz

z Zakopanego około 9tej przed południem, przed 4ta z południa byłem w Jaworzynie. Mężczyźni zatem nie mający nóg od samej tylko parady, choć ze stratą czasu tak kosztownego na wycieczkach górskich woła tam nawet iść pieszo, dokąd przy lepszych drogach możnaby jechać. Najgorzej na tych jazdach wychodzą kobiety, które chcąc nie chcąc najbezpieczniejsze przestrzenie przebywają na wózkach.

Można czasem słyszeć, że w tych górach niepodobna utrzymać dróg w porządku, gdyby je nawet założono. Deszcze nawalne i strugi ściekające z boków gór psują niezawodnie bardzo drogi międzygórskie; lecz gdyby je raz urządzono, jak się należy, mając wszelki do tego potrzebny materiał pod ręką, kamień mianowicie i drzewo, szkody te nie byłyby tak znaczne i z łatwością naprawićby się dały, byleby nie lenistwo i obojętność na własną wygodę, na własne bydło i sprzęt własny. W Żywiecczyźnie, w dobrach arcyksiążęcych, w kilku miejscach widzieć można drogi ciągnące się daleko w góry lasem nad potokami, drogi zbudowane umyślnie do ułatwienia zwozu drzewa z wyrębów, tak równe i porządne, jakich w Tatrach nie spotka się nigdzie, a przecież narażone na te same uszkodzenia, jak drogi tatrzańskie. Jak indziej, tak i pod Tatrami lud ogląda się na dwór, a dwór na gminę, urzędy autonomiczne na nieautonomiczne i na odwrót, więc jak wiele innych rzeczy dotyczących się dobra pospolitego, tak téż drogi, mosty, szkoły peruczone są opatrności boskiej.

Roku 1867 Biały Dunajec wezbrawszy w skutek

niezwykłej nlewy około 10 lipca, zerwał most powyżej Szaflar. Ktokolwiek raz tylko przejechał tamtędy do Tatr, wie, jak uczęszczana jest droga między Nowymtargiem a wsiami bliżej Tatr położonemi, wie, jak niewygodna jest przeprawa przez rzekę (Biały Dunajec) w bród z próżnym wózkiem i przy małym stanie wody, bo przy najmniejszym wezbraniu staje się niebezpieczną a nawet niepodobną, wie, jak niewygodny objazd przez wzgórze na zachód od Szaflar, t. j. przez Bańską i Skrzypne. I otóż od zerwania wspomnianego mostu w lipcu 1867 nie upłynęło ani mniej, ani więcej czasu, jak tylko lat cztery, nim postawiono nowy, a co najlepsza, toż to, że pierwsza skuteczna pobudka, jak mówiono, do tej roboty miała wyjść od prostego górala Zakopianina. Dnia 29 czerwca tego roku (1871) woda nowe utworzywszy sobie koryto, most ten zostawiła na boku. Pytanie, ile lat będzie potrzeba, aż nowy stanie most, lub aż za pomocą tamy i podebrania dawnego koryta, teraz kamieniami zawałonego, woda zostanie zwróconą do dawnego łoża.

W wzorowym nieporządku utrzymuje także stolica Podhala, Nowy targ, w obrębie swoim drogi do Szaflar i do Waxmunda, a kałuża potężnych rozmiarów zalewająca przy lada deszczu między ostatnimi zabudowaniami miejskimi od płotu do płotu drogę do Szaflar i nie pozwalająca zaduym sposobem obejść się ani objechać, świadczy wymownie o wielkiej wzajemnej miłości trzech władz rezydujących w Nowymtargu, magistratu miejskiego, rady powiatowej i urzędu powiatowego, i rzecz oczywista, że utrzymanie między sobą do-

brego porozumienia sąsiedzkiego i przykładowej zgody cbrześciańskiej więcej ma wartości, niż usunięcie rzezonój kałuży, tém więcej, gdyż ani konie, ani żadne inne bydło czworonożne nie chodzą w butach, więc ich téż nie potrzebują zdejmować dla przebycia jój, w zimie zaś kałuża ta, gdy zamarźnie, dla chłopców uczęszczających do szkoły miejskiej i innych lubowników ślizgania się, jeżeli ich posiada Nowytarg, jest nader wygodnym miejscem do ślizgania się bez najmniejszego niebezpieczeństwa utonienia na wypadek załamania się.

Po tych kilku uwagach o drogach na Podhalu i w Tatrach wracam do Bramy w dolinie Kościeliskiej, namieniając jeszcze, że przystęp do niej, niby ulica między zbliżającymi się do siebie z obu stron skałami, zwie się między ściany. Do belek ułożonych w kształcie skrzyni lub sąsięka między naśladowaniem, a raczej ironją drogi i potokiem były leśniczy kościeliski Kocyan przybił łatę w celu uważania stanu wody w potoku. Uczciwi górale zerwali łatę dla wydobycia gwoździ, któremi była przybita.

Za Bramą dolina znowu się rozszerza, tworząc piękną, zewsząd lasem otoczoną polanę, tak zwaną wyżnią Miętusią kirę. Zachodnią ścianę tworzą Kopy, o których już wspominałem, po wschodniej stronie wygląda z lasu turnia Jaworzynka, 1278'85 m. wysoka i spiczasta, przepaścista turnia Kończysta wznosząca się do 1311'61 m. Na południe wznosi się po wschodniej stronie doliny Twardy upłaz do 2049'8 m. Położyste, trawą porośłe stoki pasterze tatrzańscy i w ogóle górale beskidowi upłazami zowią. Jak na innych polanach,

t. j. łąkach górskich, które się koszą a potem dopiero nieco spasają i uprawiają, tak też na Miętusiej kirze nderzą wważnego wędrowca rzędami i jakby za sznurem kładzione kamienie. Są to tak zwane miedze czyli granice pojedynczych działów mających osobnych właścicieli. Stąd też większą, niż się zdaje być potrzebną, na tej polanie widać liczbę szop. Są to stajnie krowie, w których mała przegroda niby komora służy za mieszkanie doglądającym bydła, inna zaś jest schowkiem dla nabiału. Na strychu składają siano. Krów doglądają dziewczęta, kucharkami zwane, miejscami mężczyźni sami lub wraz z kobietami. Najweselej na polanie podczas sianozęci, odbywając się w dobrych latach w drugiej połowie lipca lub pierwszej sierpnia. Upatrzwszy czas pogodny, przybywają właściciele polany z czeladzią, aby się z robotą czempredziej uporać i nim nastąpi zmiana pogody, trawę skosić, nsuszyć i złożyć na szopach. Trawa skoszona przy sprzyjającej pogodzie schnie szybko, a skoro nieco przeschnie, dziewczęta grabiami bezustannie ją rozrucują i przerucują, przyspieszając i ułatwiając wyschnięcie. Dla tego też górale sianozęć zowią robieniem siana. Siano tak zrobione jest zieloninteńkie i wonne, więc też dla bydła wyborne. Na noc, gdy już nieco przeschnło, składają je w kopy, ażeby nie namokło od rosy obfitej w górach w nocach chłodnych i dłuższych niż na równinie. Jakoż w dolinach ciasnych lub wysokimi otoczonych szczytami słońce nieraz o kilka godzin później wschodzi a o kilka wcześniej zachodzi, niż na równinie. W dwóch dniach, jeżeli pogoda sprzyja, siano jest zrobione i składa się na

szopach. W tym celu wyjmują z dachu dwie lub trzy tarcice, nie gąkami bowiem, lecz tarcicami szopy, a po części nawet domy mieszkalne są kryte, a tarcice nie gwoździ, lecz kołkami poprzybijane do łąt i krokwi. Tym otworem wrzucają siano na szopę; po ukończeniu roboty tarcice wyjęte znowu się przybijają.

Właściwa góralom ruchliwość i wesołość uwydatnia się także przy sianożęci, mianowicie gdy pogoda pracę ułatwia i ochotę podnieca. Polana jest jakby mrowisko; nie ma tam tego leniwego łożenia, téj ospałości i ociężałej nieruchawości, jaką odznacza się przy robocie lud równinowy; u górali, mianowicie u Podhalan, zbiorki odbywają się w lot, w skok. Zmusza ich poniekąd do tego pośpiechu niestałość i zmienność pogody, a opieszalém ociąganiem się i mitrzeniem naraziliby się bardzo łatwo na utratę i tak nader skąpych plonów. Więc gdy potrzeba tego wymaga, uwijają się na łąkach i roli do późnej nocy przy świetle księżyca lub latarniacb. Widziałem téż, jak uczciwy sąsiad nocą pobiegł na pole powinowatej wdowy, wiązać owies, aby go deszcz nie zmoczył. Co do panującej przy robocie wesołości wspomnieć należy, iż byli i są ludzie, którzy ponurym napojeni ascetyzmem średniowiecznym zabraniają ludowi przy pracy wesołych śpiewek i w wiecznie milczących chcą go zamienić trapistów. Wprawdzie nie wszystkie piosenki Podhalan są nienaganne. Zabranianie takich nie więc nie wadzi; ale czy na poskromienie téjto swawoli nie ma innego sposobu, jak przytłumienie wrodzonej temu ludowi wesołości umysłu, będącej podstawą niejednego pięknego przymiotu w życiu towarzyskiém?

o niechaj osądzi nieuprzedzony czytelnik. Są inne wady w usposobieniu i życiu Podhalań; przeciwko tym niecbaj występują rzeczeni reformatorowie.

Uprawianie pćlan uskuteczniają dwojakim sposobem. Gdzie mają owce, tam po skoszeniu trawy i uprzątniczeniu siana koszar, w którym je na noc zgromadzają, posuwają z miejsca na miejsce; krowy widzieć można rzędem na noc poprzywiezywane do palików. Nawóz zostaje więc na miejscu i nie trzeba go dopięro wynosić na polanę, jakkolwiek zostawianie bydła na dworze w nocach chłodnych a nawet zimnych, częstokroć dżdżystych, nie może być dlań pożyteczném. Wreszcie kolo szop i szałasów nagromadzony gnój przed opuszczeniem polany i powrotem do wsi rozrzucają po polanie.

Zarzucić jednak można i należy Podhalańom, iż dla bydła swego czyli statku, jak mówią, owiec (drobnego statku) i krów (hrubego t. j. grubego statku), nie okazują wcale téj staranności, jakiej wymagają ludzkość i wzgląd na własną korzyść. Owce prawie wszędzie zostają dniem i nocą, tak podczas największego skwaru południowego, jak podczas najniegodziwszój szarugi i zimna pod gołém niebem w błocie po kolana między kamieniami. Po stronie liptowskiej widzieć można dachy na słupach, pod które w czasie upału południowego, podczas słoty i na noc spędzają owce. Krowy zaganiają na noc zwykle do szop, miejscami, n. p. przy stawach Gąsienicowych, do nędznych, z kosodrzewiny, mchu, kory świerkowej i kamieni posklejanych szałasów. Ale i tu bydło żadnej nie ma wygody. W szałasach wspomnianych bydło stoi na gołéi. rozdeptanej,

rozbłoconej ziemi, w szopach są wprawdzie podłogi, ale nie z tarcic, lecz z okrągłaków. Pościółki nie widziałem nigdzie; biedne krowiny stoją i leżą więc na onych niegodziwych klawiszach i w własnej mierzwie, którą rano po wyjściu bydła na paszę wygarnują. Podój ranny odbywa się w zanieczyszczonej stajni. Nic więc dziwnego, że bydło tak pielęgnowane nie może być doborowem, owszém jest nędzne, a ktoby sądził, że w tychto alpach naszych gospodarstwo nabiłowe na wysokim zostaje stopniu, mocnoby się mylił. Zaniedbane bydło nie wiele też daje mléka, jakoż sam na własne przekonałem się oczy, że u jednego z najzamożniejszych gospodarzy Zakopanego na południe kilka podoić musiano krów, aby otrzymać kwartę mléka. Przedstawienia, że trzymanie mniejszej liczby krów, ale lepszego gatunku, roślejszych i mléczniejszych, większe przynosiłoby korzyści, nie odnoszą żadnego skutku. Do przełamania tego lenistwa i zakorzenionych przesądów trzeba by usilnego działania i wpływu z góry. Tego nie ma, owszém tam, skądby ten wpływ najwłaściwiej i najskuteczniej powinien i mógł wyjść, raczej obojętność na dobrobyt ludu spostrzedz się daje, niż jakakolwiek myśl podniesienia go. To wstrętne zjawisko z łatwością wytłomaczyć sobie można; własny byt dobry bez pracy czyni ludzi obojętnymi na powodzenie drugih.

Przybytek ludności na Podhalu, idąca za nim coraz większa trudność wyżywienia się, ubóstwo ziemi, często chybające zbiorki, brak zarobkowania zachęcaćby powinny i lud i stojących między nim jakby na świeczniku do szukania nowych sposobów zarobku i ułatwia-

nia takowego. Dałyby się one i wynaleść, gdyby nie wspomniana bojaźliwość a czasem i gnuśność Podhalan, nie licująca dobrze z ich wrodzoną bystrością umysłu. Kapelusze, których używają Podhalanie, są wyrobem obcym, bo orawskim, jak mi mówiono; pojawiające się tu i owdzie obuwie, tworzące coś pośredniego między kierzcem a trzewikiem, pochodzi także z Orawy; najpospolitsze sprzęty, n. p. stolki i naczynia drewniane zwożą na jarmarki do Nowegotargu od Jordanowa, więc ich na Podhalu nie robią; tak pięknie i zgrabnie zrobionych konewek, dzieżek, cebrzyków z szerokiemi, płaskiemi obręczami, jak je widzieć można na Morawie, na Śląsku i na Orawie tu i owdzie, nie spotka na Podhalu, albo téż przywędrowały z Orawy. W wielu okolicach Niemiec i Szwajcarji, w Czarnym lesie badeńskim, w Alpach bawarskich, w Szumawie czeskiej i w Kikonoszach lud znaczny ma zarobek i dochód z strugania bawidełek i rozmaitych innych rzeczy wytworniejszych, ramek do obrazów, z toczenia pudełek, słoiczków, czarek, strugania lub toczenia cygarniczek i t. d. Mieszkańcy doliny grüdeńskiej w południowym Tyrolu dla swych wyrobów drewnianych struganych w Hiszpanji i Portugalji, utrzymywali do niedawna 22 domy składowe i handlowe. Wyroby drewniane z Berchtesgaden w Bawarji słyną daleko. Mieszkańcy Kikonoszwów i gór czeskich z kosodrzewiny rozmaite wyrabiają rzeczy, które podróżującym i gościom kąpielowym w okolicy sprzedawają. W wszystkich wsiach około jezior nowiduńskiego (Thun) i bryenckiego (Brienz), tudzież w dolinie Hazli (Hasli), tutaj mianowicie w Guttannen, bar-

dzo wiele rodzin żyje tylko z strugania i snycerstwa drzewnego. W Brienz do 800 ludzi, t. j. prawie cała męska ludność téj wsi, zajmuje się tém rzemiosłem. Zatrudnienie to w tych okolicach tak jest rozwinięte, że w pewnych miejscach lub pewne rodziny jednym tylko gatunkiem roboty zajmują się. Tak n. p. w Iseltwaldzie robią tylko domki, w Oberriedzie tylko grahki, noże i łyżki do sałaty, indziej tylko skrzyneczki (kasety), zwierzęta, kwiaty i t. d. Zakład braci Wirth w Brienzie, zatrudniający do 250 robotników, wyroby swoje wywozi do Genewy, Paryża i Londynu, gdzie niektóre przedmioty, mianowicie sprzęty rzeźbione, po 600 do 800 franków (243 do 324 złr. w. a. srebrzem) płacą. Inną gałęzią tego rękodzielnictwa jest wyciwanie piłeczkami skrzyneczek, koszyczków, linji i t. p. Przemysł ten, dziś tak korzystny, nie jest weale dawny. Twórcą jego ma być niejaki Krystyn Fürst z Brienzu około r. 1815. Rząd kantonu berneńskiego wspieraniem, zakładaniem i urządzaniem szkół rysunkowych podniósł tę gałąź przemysłu do znaczenia sztuki. Rusini spiscy z Folwarku i Lipnika w okolicy Szczawnic zajmują się plecieniem koszyczków, robieniem pudeł i innych rzeczy drewnianych do użytku domowego i między gośćmi szczawnickimi dosyć tego towaru zbywają. Biedni Rusini z Bilowieży pod Bardyjom z koszykami i przerwinnym drohiazgiem drewnianym jeżdżą w głąb Węgier, do Jas i do Warszawy. W Krakowie widziałem ich nieraz. Szwajcarzy do swych wyrobów drzewnych biorą zwykle drzewo klonowe (*Acer platanoides*) i przekładają je nad jaworowe (*Acer Pseudoplatanus*). Naj-

kosztowniejsze rzeczy do składów paryskich i londyńskich są z drzewa orzechowego. Czy w górach naszych nie ma drzewa? Orzechów wprawdzie nie ma, ale kosodrzewiny ma każdy zadarmo ile chce; limhy należałoby z największą starannością rozmnażać i pielęgnować, tak samo cisy, klony i jawory. Aptekarze krakowscy, a niezawodnie i inni w kraju, chętnie hraliby drewniane pudełka od górali naszych, gdyby ci dostarczali takowych. Pieniądze zostałyby w kraju, które dziś idą za granicę. Jeden z aptekarzy krakowskich posłał tój wiosny do Zakopanego nasiona niektórych roślin aptekarskich, któreby w tamtych stronach dały się chodować. Wygadam się tutaj i z tém, że kilku zacnych ludzi w Krakowie nosi się z myślą zaszczepienia na Podhalu bednarstwa, tokarstwa i snycerstwa, że gotowi są łożyć na wyuczenie jednego lub dwóch młodych Podhalan tych rzemiosł i wysłanie ich w tym celu nawet za granicę. Rzecz ta zajmować powinna samych Podhalan, zajmować powinna przede wszystkim Radę powiatową nowotarską, zajmowałyby powinna jeszcze kogoś innego.

Są jeszcze inne źródła dochodu dla górali naszych, gdyby ich zachęcano do korzystania z nich, a zarazem podano im możność odhytu. Tak w Wirtembergji i Turyngji w okolicach obfitujących w jałowiec znaczną ilość jagód jałowcowych wywożą do Indji wschodnich. W Szwajcarji w niektórych okolicach zbierają do wywozu horówki w znacznej ilości, znakomity przytém mając zarobek. W Szumawie czeskiej brusznice zaprawne winem w haryleczkach daleko rozsyłają.

Do charakterystyki naszych Podhalan niechaj posłuży

jeszcze następujący szczegół. Tój wiosny widząc się z pewnymi Zakopianami, nakłaniałem ich do strugania wykłówców do zębów, dzisiaj tak powszechnie używanych. Według tego, jak w Krakowie za nie płacą, okazało się, że mający jaką taką w struganiu zręczność, narobiłby ich dziennie za 30 do 50 centów. Przyrzekłem postarać się o zapewnienie odbytu, narzędzia potrzebne do strugania sam kupić chciałem. Zakopianie nie zjawili się więcj, a wykłówacza nie dostarczyli ani jednego. W Nowym Jorku lepsze restauracje wypotrzebują dziennie 600 do 1000 sztuk wykłówców. Sprowadzają je z Chili, a tutaj robią je z drzewa pomarańczowego. Jeden robotnik nastruga w godzinie 500 sztuk, a za 1000 płacą 45 cent. srebrem. Jeden tylko dom kupiecki w Nowym Jorku sprowadza tych wykłówców rocznie 5 do 6000 beczek. W Niemczech już zwrócono uwagę na ten przemysł. Trzmielina bardzo przydatna na wykłówacze rośnie na Podhaju nowotarskiem, spiskiém, (aż po Łączmark) i liptowskiém (aż po Hradek). Do Krakowa srowadzają ten towar ze Szląska pruskiego.

Lecz czas ruszyć z Miętusiej kiry. Minąwszy tedy tę polanę, przechodzi się przez mostek*) na zachodni brzeg wody kościełiskiej. A dla czego nie Czarnego Dunajca, skoro wszyscy ten strumień tak zowią? Otóż dla tego, że jeszcze żadnego nie słyszałem dostatecznego

*) Por. Roman Kaulfuss, die Slaven. Berlin 1842. Str. 9.

*) Die Central-Karpathen. Pest, 1863. Ungarns Urwälder. Pest, 1865. Zipser Auzeiger. Leutschau, 1866. Nr. 1-3.

powodn, aby ta woda miała być Czarnym Dunajcem. Na mapie katastralnej, jeżeli się nie mylę, tę samą nazwę ma potok płynący przez dolinę chochołowską. a ma ją jeżeli nie z większym, to przynajmniej nie z mniejszym prawem, jak woda kościeliska. Potok doliny chochołowskiej wypłynąwszy z gór, zabiera na wschodnim brzegu mniejszy płynący z doliny Lejowej (między doliną kościeliską a chochołowską), a nieco niżej łączy się z wodą kościeliską. Stąd dopiero należy się obu połączonym strumieniom nazwa Czarnego Dunajca, tak samo, jak potok płynący od hut zakopiańskich nie jest Białym Dunajcem, lecz Bystrą, a nazwę Białego Dunajca dostaje dopiero od Poronina, po połączeniu się z Cichą, płynącą na północnym rąbku Zakopanego pod Gubatówką i z Poroncem pod kościołem w Poroninie. Skąd zaś jedna z tych rzek, t. j. zachodnia, zowie się Czarnym, druga, t. j. wschodnia, Białym, nie trudno wytłumaczyć. Zjeżdżając z południowego stoku Górcza — tak zowią Podhale Beskidy, zamykające od północy wyżynę nowotarską — z Niwy do Nowegotargu, Czarny Dunajec płynący już od wsi Czarnego Dunajca między niskimi, torfiastymi brzegami czyli borami, wydaje się jak ciemna, zielona smuga, podczas gdy Biały Dunajec, mający spadek znaczniejszy a łożę zasłane daleko grubszym odtokiem granitu jasnej barwy, niż Czarny Dunajec, skądkolwiek z góry widziany, przedstawia się jakby wstęga czystego srebra. Co do samego Dunajca zaś nie nlega wątpliwości, że ta nazwa nic nie znaczy innego, jak toń, głęboka woda lub w ogóle woda.

Przed wspomnianym mostkiem widać boczną dro-

żynę, zwracającą się na wschód w las nad potokiem wpadającym nieopodal mostku do wody kościeliskiej. Drogą tą dostać się można na polanę Zahradziska i do Miętusiej doliny, tndzież na Uplaz. Przez wyłom, który namieniony potok z Miętusiej doliny utworzył w wschodniej ścianie doliny kościeliskiej, widać po prawej ręce (po stronie południowej) tak zwaną Wielką Turnią, t. j. skaliste, przepaściste ramię Czerwonego Wierchu, wprost ku wschodowi wygląda między świerkami piramidalna czuba Giewontu, na lewo (po stronie północnej) sterczą Konczysta i turnie jaworzyńskie.

Od mostku wspomnianego zaczynają się małe Kościeliska, Murawniki i porozrzucane gromadkami po dnie doliny smreki i jarzębiny koło drogi sadzone tutaj jeszcze czasem owocujące, upiększają tę część doliny. Przy samej drodze między drzewami jest mała kapliczka, koło niej są ławeczki. Szkoda, że gdy ją stawiano, nie było nikogo, coby się był o to postarał, ażeby była gustowniejszą. Nie wiem zresztą nic zajmującego o niej, chyba to, czego jednak nie nazwę zajmującym, że raz kłódkę, którą zamykano drzwi kratowe kapliczki, i obrazki, któremi zdobią jój ściany, pokradziono. Mam wielką ochotę o kradzież kłódky posądzić Kościeliszczan. Z wielkiem nieraz zbudowaniem i większą jeszcze przyjemnością nasłuchiwałem się ich wrzasków, gdy w dni targowe lub jarmarczne na pół lub całkiem pijani w późnej nocy wracali z Nowegotargu, pędząc na złamanie karku. Nie byłbym wcale załował, gdyby który z nich był rzeczywiście kark skręcił, hiednych koniąt atoli zawsze załowałem. Jeden z owych obrazków ukradł

dziad jakiś, chodził z nim między ludzi i mówił, że mu się objawił, a ludzie głupcy wierzyli oszustowi i karmili go, aż pewien leśny poznał obraz i dziada obił. Wspomniana kapliczka ma stać w miejscu, w którym dawniej większa stała kapliczka czyli kościółek.

Poniżej kapliczki przy dolnym końcu dawnej przekopy zaczynają się stare Kościeliska, i tutaj niedaleko od kapliczki widać szczątki dawnego dworu i leśniczówki, przed niewielką latni jeszcze zamieszkałej, dalej ślady kuźnicy (istniała do r. 1841), powyżej stał młyn i tartak, naprzeciwko jest rozwalająca się karczma i rozwalony czardak. Po tej stronie drogi stało kilka chat hutników. W pobliżu leśniczówki są dwie piękne lipy, oczywiście sadzone, prawdopodobnie jedyne wśród Tatr okazy. Według Fuchsa lipa ustaje na wysokości 802'5 m. W dolinie Kościeliskiej mamy ją wyjątkowo 971 m. nad pow. morza. W alпах szwajcarskich wznosi się do 1200 m.

Dotąd dojeżdża się zwykle wózkami; dalej lepiej iść, niż jechać, chyba komu nie żal wózka, konia i własnych kości. W karczmie odpoczywali dawniej strudzeni dalszemi wycieczkami na Smytnią, Ornak, lub nawet na Bystrą, a przemoknięci, o co w Tatrach nie trudno, suszyli się przy ogniu roznieconym na nalepie. I ja w tej karczmie w 1846 roku miałem nader przyjemny nocleg. Przyhywszy pod wieczór pieszo z dwoma współuczniami do doliny Kościeliskiej, strudzeni całodziennym pochodem nie pragnęliśmy niczego jak kawałka chleba lub ziemniaków z masłem lub mlekiem, a na posłanie trochy słomy lub siana. Atoli prócz gar-

ści jakiegoś berłogu i dwóch czy trzech suchych kukiełek nie dostaliśmy niczego. Po trochę mleka leniwiej karczmarce, jeżeli go nie miała, do bliskiego szalaszu nie chciało się posłać. Ta uprzejmość wzniciła w nas pewne podejrzenia co do bezpieczeństwa osób, a przynajmniej zawiniątek naszych. Naprzeciwno szynkowni t. j. po drugiej stronie sieni odkryliśmy izdebkę brudną, wilgotną i zatechłą. Zajęliśmy ją na noc i otrzymawszy garść siana czy słomy, dwóch z nas położyło się na tém wyborném posłaniu, podparłszy wpoprzd drzwi drągiem, ja zaś wsunawszy zawiniątko pod głowę, położyłem się na gołym stole. Było to moim zwyczajem, ile razy mnsiałem nocować w byle jakim karczmissku, a czyniłem to dla spokoju od robactwa. Na domiar naszego niepowodzenia dzień następujący był tak piękny i powabny jak ta karczma, niebo tak czyste, jak szyby w jój oknach, szczyty naokoło zamglone, a gdyśmy ruszyli ku Pisanój, przywitał nas rześisty deszcz, zmusił od Pisanój do odwrotu i drogę zabłocił. Tak skończyła się pierwsza moja wycieczka do doliny Kościeliskiej. Rzecz prosta, że odtąd do téj karczmy nieprzewyciężony miałem wstręt i na wszystkich późniejszych wycieczkach unikałem jój starannie. Przed kilką latni znaleziono karczmarkę pewnego poranku zamordowaną w izbie. Odtąd nikt nie miał ochoty osieść w niej; nie było téż dla kogo i po co, mianowicie odkąd strażnicy opuścili sąsiedni czardak.

Pominawszy kawałek drogi w Bramie, utworzony akby dla doświadczenia zręczności gimnastycznej przechodzących tamtędy ludzi i koni, resztę drogi aż do

karczmy jak na Tatry dobrą nazwać trzeba, bo lepiej nie ma tutaj istotnie nigdzie. Dno doliny równe, drobnym zasypane żwirem; większe odtoki glazu widać tylko kolo potoku i w nim. Gdyby nagły spadek strumienia nie przekonywał o znaczném pochyleniu doliny ku północy, mniej uważny łatwoby pomyślał, że jest do poziomu ułożona.

Kto zna tę drogę lub pozna ją kiedy, gotów posądzić mnie o zmyślenie, gdy mu teraz powiem, że na wyższej Miętusiej kirze na téjto drodze na samym środku zapadłem się nagle wraz z koniem i wózkiem, wprawdzie nie po same uszy, lecz koń po sam brzuch, wóz po osi. Rzecz miała się tak. W roku, nie pomnę już którym, nadzwyczaj dżdżystym, bawiłem kilka tygodni w Zakopaném. Był tam na kuracji profesor teologii z Tarnowa. Pobyt ten w Tatrach tak dobrze mu posłużył, że przed odjazdem postanowił zwiedzić przynajmniej Mekkę i Medynę tatrzańską, t. j. dolinę Kościeliską i Morskie Oko. Do doliny Kościeliskiej wybrał się ze mną i mieliśmy wyjść na Bystrą. Ranek był dosyć piękny; szliśmy więc pomalu, ażeby się nie zmęczyć i ja zbierałem rośliny po drodze, z czego można się już domysleć, żeśmy nie doszli na Bystrą, bo jakkolwiek z Zakopanego na ten szczyt na mapie są tylko dwie mile, łatwiej je zmierzyć cyrklem, niż nogami i piersiami czyli płucami. Gdyśmy dochodzili do ujścia doliny Kościeliskiej, rzut oka na Babią Górę nie zapowiadał nam nic pocieszającego. Wszystkim mieszkającym w obrębie widnokregu téj staréj czarownicy wiadomo, że jéj oblicze jest najpewniejszą skazówką po-

gody lub niepogody. Jest to grymasna piękność z no-
 skiem pełnym much i foch, co się nieraz i u młodziech-
 nych córek Ewy zdarza, a zatém u tak starłej panny,
 jaką jest Babia Góra, da się to tém łatwiej pojąć
 i wytłomaczyć. Gdy się zasepi i turbanem szarych
 mgieł zakryje połowę twarzy, wonezas nie poradna
 puszczać się daleko w góry, nie chcąc się narazić na
 porządną kąpiel natryskową. Ale myśmy nie raczyli
 zważać na złe usposobienie téj wszechwładnej rządzyni
 chmurnami i deszczem na całą okolicę i puściliśmy się
 dalej. Ta firecykowata zuchwałość nasza obraziła nie-
 zmiernie starą piękność, a że podobno piękności ziem-
 skie w wszystkich okresach bytu swego, przed rozkwi-
 tem, podczas kwitnienia i po okwitnieniu lubią zawsze
 mieć własną wolą i wszystko tłoczą pod swoje stopy,
 więc i my zostali przykładnie ukarani. Rozdąsana wiel-
 komożna pozwoliła nam dojść prawie do samego sza-
 laszu na Pysznej, lecz gdyśmy się do niego zbliżyli, za-
 wyrokowała: dotąd, a nie dalej, i rześistym deszczem
 zmusiła nas schronić się do szalaszu. Było już po trze-
 ciój z południa, więc o Bystrój ani marzyć, ale i do
 domu wrócić nie było jako, bo nietylko deszcz nie usta-
 wał, lecz dla tém gruntowniejszego upokorzenia i spo-
 niewierania nas wziął sobie do pomocy krupy, śnieg
 i wicher. W tém smutném położeniu pocieszaliśmy się
 tylko tém, że psom i owcom na polu było jeszcze go-
 rzój, niż nam, i postanowiliśmy usłuchać mądrej rady
 bacy i juhasów i zanocować w szalasiu. Nocleg w sza-
 lasiu może być niekiedy bardzo romantycznym; o ile
 zaś do nas dalby się zastosować ten piękny przymio-

tuik, zaraz zobaczymy. Jeżeli gdzie w domu jakim dla złego urządzenia kominów dymi się, słudzy lub właściciel takich kominów zawsze gotowe mają tłumaczenie, wina nie spada nigdy na komin, lecz według okoliczności na słońce, na wiatr lub na słołę. Co do szalaszów, a raczej dymu w nich, nie słyszałem i nie spostrzegłem, a by słońcu jakikolwiek robiono zarzut, ale wichru i słoły przy najlepszej woli niepodobna obmyć z winy. Mru-galiśmy więc oczyma, dopóki było można; lecz gdy nam dym dojechał, a raczej dogryzł, zaczęliśmy przesiadać się z pod jednej ściany pod drugą, z jednego kąta do drugiego. W wyhorze miejsca dogodniejszego ograniczał nas deszcz przeciekający przez okopcony dach, t. j. pomiędzy tarcicami, zatém przyjemnej barwy tabaczkowej. Wreszcie usiedliśmy jak najbliżej ognia przy samej ziemi na stołeczkach, jakich nie znajdzie lada gdzie. Stołeczek taki jest to łupka drzewa długa na łokieć, przy której jednym końcu zostawiono końce dwóch konarów rozchodzących się, jak ramiona kąta. To są samorodne nóżki tych stołeczków. Siedząc tak milczący i patrzący w ogień, musieliśmy być podobni do indyjskich świętych lub chłopów oldenhurskich, którzy téż całe godziny umieją przesiedzieć przy ognisku z fajką w ustach, nic do siebie nie mówiąc i czasem tylko spluwając do ognia, co im jednak nie przeszkadza utrzymywać, iż się wybornie ubawili. Co do nas ta zachodziła różnica, żeśmy do ognia nie plwali, bo ogień u ludu rzecz święta, a plwać do niego jakby grzech, wreszcie żaden z nas nie twierdził nigdy, żeśmy się w tym szalasiu ubawili.

Kto się wybiera w góry, nie powinien obciążać się



niepotrzebnymi jukami, bo gdy przy pogodzie przyjdzie iść pod górę, człowiek nieraz z własnej wyskoczyłby skóry, jak gąsienica przy zamienieniu się w poczwarkę. Szkoda, że tego zrobić nie można, ja przynajmniej byłbym już mógł wszystkie gabinety anatomiczne zaopatrzyć w okazy całkowitej skóry ludzkiej. Przeświadczeni tedy o niepodobieństwie takiego rozbierania się, a zarazem wiedząc, że Bystra jest szczyt wysoki, a nie wzięwszy przewodnika, uważając go za niepotrzebny ciężar, prócz trochy chleba i sera nie wzięliśmy nic ze sobą; a gdy nam i te skromne zapasy zaczęły być niewygodnymi, przenieśliśmy największą ich część z kieszeni do żołądka, nim doszliśmy do szałaszu, rozumiejąc, iż przy mleku, serze i żętycy odbędziemy wygodnie jednodniową wycieczkę, a powróciwszy do domu, zastaniemy obiad i wieczerzę razem. W tęto rachubie naszej nie było najmniejszego błędu ani matematycznego ani loicznego; że w zastosowaniu okazała się mylną, nie sobie, lecz Babięj Górze winę przypisaliśmy. Żętycy i sera dawano nam więcej, niż serce nasze pragnęło, ale chleb się minął, a towarzyszowi memu cygara się wytlify. Wytrwałość naszą podtrzymywały przykładem swoim znowu jedynie psy owczarskie, które przez cały czas pobytu swego na halach karmią tylko resztkami żętycy i opłóczynami naczyn, w których była żętyca lub mleko, juhasów bowiem za przykład stawiać sobie przed oczy nie mogliśmy, gdyż im choć czasem przyniesie kto moskała (placek owsiany) lub miarkę ziemniaków; co do fajki zaś, radzą sobie bardzo oryginalnym sposobem. Wypaliwszy ją, wysypują popiół na dłoń, plwają weń, rozmięszawszy

kładą napowrót do fajki i wstawiają takową do żarzących węgli, a gdy się fajka rozпали, wygarnują ją, biorą na cybuszek i palą. Fajeczki te są gliniane i blaszką mosiężną okute. Można je więc bezpiecznie włożyć do ognia.

Prócz dymu rozganianego od wiatru na wszystkie strony, deszczu przeciekającego licznymi szparami w dachu a dziurami w ścianach, inne mieliśmy jeszcze rozrywki. Od czasu do czasu przychodził przemoknięty juhas, aby się trochę ogrzać przy ogniu. Woda ciekąca z niego proch w szałasie zamieniała w błoto, a słupy pary występujące przy ogniu z mokrej odzieży, wcale się nie przyczyniały do uprzyjemnienia naszego mimowolnego pobytu w szałasie pyszniańskim.

Nadeszła noc. Jak tu spać i gdzie? Najchętniej byłbym się położył na ławeczce przymocowanej do jednej z ścian szałaszu, gdzie deszcz najmniej przeciekał. Ale ławeczki te są zwykle tak wązkie, że chcący leżeć na nich musi wyciągnąć się jak struna albo umieć przenieść środek ciężkości do części ciała zwróconej ku ścianie, aby nie spaść za każdym poruszeniem się. Na dobitkę ławeczka ta nie była tak długa, aby było można wyciągnąć się na nią. Przytém spółność niedoli nie dozwalała żadnemu z nas szukać jakiegokolwiek wygody przed drugim. Uradzono tedy, ażeby juhas nałamał smreczyny z gęstego smreku, zatém nie bardzo mokrej. Tę rozesłano na ziemi nieopodal ognia, na niej rozciągnął baca święteczną gunię swoją, pod głowę dano nam siodła, było bowiem na hali kilka koniąt. Tak przeleżeliśmy noc, więcej udawając śpiących, aniżeli śpiąc rze-

czywiście. Ranek nie pocieszył nas wcale. Deszcz i śnieg nie ustawał. Czekaliśmy do popołudnia. Zaczęła się wreszcie urywać bohatera cierpliwość nasza; postanowiono więc, bądź co bądź dostać się do domu. Że zmokniemy do nitki, na to jużśmy się zgodzili. Ale czy obuwie nasze wytrzymałością swoją naszej wyrówna, o tém słuszna powstawała w nas obawa, gdyż blisko dwie mile mieliśmy iść nietylko w błocie, ale więcej w wodzie i po ostrych kamieniach. Więc pełen obawy, ażeby podeszwy obuwia naszego na tak ciężką, narażone próbę nie wypowiedziały nam w drodze posuszeństwa i nie kazały nam odbyć resztę drogi bez ich towarzysztwa, zapytałem jednego z juhasów: Macie tu konie; może macie i wózek? — A jest, zabrzmiała wdzięczna dla nas odpowiedź. — A możebyście go złożyli i odwieźli nas do Zakopanego? — Je, czemu nie, była wtóra odpowiedź jeszcze wdzięczniejsza od pierwszej; jeno musimy się spieszyć, bo potoki zbierają; mogłyby pozrywać mostki. — Rozumie się, że o godzeniu się za tę jazdę nie było mowy; rzekłem tylko, że dziś nie dam już wrócić góralowi na halę, lecz że zostanie w karczmie w Zakopanem na naszym łożdzie on i koń, ażeby deszcz zwolnił. W kilka minut wózek był gotowy, bacia i któryś z starszych juhasów pożyczili nam świątecznych guń, które będąc grube na ćwierć cala i jeszcze nie zużyte, chroniły nas choć nieco od deszczu. Minęliśmy szczęśliwie wszystkie mostki, a gdyśmy przez ostatni z nich wjechali na wyższą Miętusią kire, odetchnęliśmy głęboko, pewni, że nas już żadna nie spotka przygoda, gdy nagle na równiej zapadliśmy się drodze. Jak z procy wysko-

czyliśmy wraz z woźnicą na trawnik przy drodze, który się nie zapadł z nami, góral zwrócił i konia w tę stronę, który usiłując wydobyć się, coraz głębiej tonął, potem wyciągnęliśmy wózek osiadły na osiach i rozworze, i po łące objechaliśmy ostrożnie zdradliwą drogę. Takiej przygody z podróżującymi w Tatrach pewnie jeszcze nikt nie doświadczył.

Nim wytłumaczę ten wypadek, rzućmy jeszcze okiem na otoczenie starych Kościelisk i postąpmy o kilka kroków dalej w górę. Bok wschodni tej części doliny Kościeliskiej zwie się pod-Adamicą, sama bowiem Adamica jest lesisty czubek dalej w tył, t. j. na wschód położony. Zachodni bok tworzą tak zwane Stoły i wznoszące się za nimi Kominy.

Powyżej karczmy i nieopodal od niej, ale na wschodniej stronie potoku na małej równinie obfite bije źródło, zlewające swe wody dwiema strugami do strumienia kościeliskiego. Niedorzecznością zatem jest uważać je za źródło strumienia, który przybywając z góry, zabiera jego wody z sobą. Do źródła prowadzi kładka. W jakim ona dzisiaj jest stanie, nie wiem; atoli przed dwoma laty pod jednym z towarzyszących mi uczniów gimnazjalnych załamała się jedna jej połowa, a uczeń wpadł do potoku. Dawniej źródło otoczone było poręczą, na strugach, wprowadzających wody jego do strumienia kościeliskiego, są mostki, około niego było kilka prostych ławek i siedzeń z kamieni i darni sporządzonych, rozumie się samo przez się, że nie dla wygody zwiedzających te miejsca, lecz dla byłych wielkomożnych właścicieli Zakopanego. Że obmyślenie jakichkolwiek

wygód dla przybywających do Zakopanego, dla zwiedzania Tatr i ułatwienia im pobytu w Zakopanem powiększy ich liczbę, a tém samém przysporzy w ogóle niezamownym góralom dochodu, tego, zdaje się nie pojmowano, owszem mniemaćby można, że ubóstwo ludu wydawało się pożądanyszém, ażeby był zmuszonym przestawać na jak najlichszym zarobku, a ten jeszcze uważał za łaskę i dobrodziejstwo. Ciepłota wody w pomienioném źródle czyni tylko 4'08° R.

Zaraz nad źródłem dolina znowu się zwęża. Skały Wysranki czy Wyzranki i Kominów zbliżają się do siebie, zostawiając jak w Bramie tylko dla potoku i drożyny nad nim wązkie przejście zwane między krzesanice. Krzesanicami zwą górale skały bardzo strome lub całkiem prostopadłe, zatem nieprzystępne, więc jakby okrzesane czyli skrzesane.

Nim się puścimy w dalszą drogę, rzućmy okiem na część doliny kościeliskiej, dotąd przebytą. Na wyżnią Miętusią kirę ciasnym wstępuje się wylomem; stare Kościeliska zamyka taki sam wylom. Część doliny kościeliskiej położona między temi dwoma wylomami, od północy i południa zamknięta niemi, jest piękną kotliną podługowatą o dnie w ogóle równém, pochyloném ku północy. Że ta kotlina była kiedyś wielkim stawem górskim, nie podlega żadnej wątpliwości. Doliny górskie powstały, jak każdemu wiadomo, jedne równocześnie z górami, wśród których się znajdują. Są to smugi czyli miedze prócz ogólnego wzniesienia spólnej podstawy całego pasma lub gniazda górskiego najmniej dotknięte działaniem odśrodkowych sił wnętrza ziemi, któ-

rych czynności powstanie gór przypisujemy. Inne doliny powstały i tworzą się dotąd hezprzestannie przez działanie wód, deszczów, śniegów i lodów, gorąca i mroźów. Jeszcze inne doliny, a do tych należy właśnie dolina Kościeliska, tworzyły pierwotnie jedną lub kilka kotlin wypełnionych wodą. Wody ściekające z nich skutkiem ich przepełnienia tworzyły sobie na mniejszych lub większych przestrzeniach coraz głębsze i szersze koryta, biorąc wagę ku uściom dolin. Tak powstały wyłomy rzek nieraz przez całe pasma gór. Cztery takie wyłomy rzadkiej piękności mamy naokoło Tatr, świadczące, że Tatry były kiedyś wielką, z wszech stron wodami oblaną wyspą, na północnym wschodzie wyłom Dunajca przez Pieniny między Czorsztynem a Krościenkiem, Popradu przez Beskidy poniżej Andrejówki na granicy ziemi spiżkiej i Galicji, Orawy od Parnicy aż po ujście do Wagu, wreszcie Wagu poniżej Kralowanu. Doliny międzygórskie, jakimkolwiek powstały sposobem, hezustannym ulegają zmianom. Z skalistych szczytów osaczających doliny, jeżeli nie są porośte lasem, odrywają się i staczają do dolin odłamy skał wszelkiej wielkości, potoki wezhrane znoszą z górnych piątr odtok zawałający ich łoża. W wszystkich dolinach stromemi otoczonych skałami, drobniejsze odłamy, w Tatrach piargami zwane, zawałają stopy tych ścian do znacznej nieraz wysokości. Stosownie do wzniesienia swego nad poziom morza porastają te piargi z czasem trawą, krzewiną, kosodrzewiną lub lasem, zwiężając doliny po bokach, a podnosząc zarazem dno ich. Wały odłamów przegradzające doliny szersze od ściany do ściany, niemniej pagory złomów

skał wszelkich rozmiarów w środku dolin, są zabytkami okresu lodowcowego. Tatry dziś nie mają lodowców, ale że je kiedyś miały, nie ulega żadnej wątpliwości. W roku 1869 zastanawiałem się nad kilku ogromnymi świeżemi odłamami granitowemi wśród kosodrzewiny przy Morskiem Oknu. Oglądając się naokoło, aby dostrzedz z kąd spadły, w północno-zachodniej ścianie w znacznej wysokości ujrzałem plamę innej barwy od reszty skały. Ztamąd więc spadły te odłamy. Dziwiłem się jednak, jakim sposobem zatoczyły się tak daleko w kosodrzewinie gęstej, nie zatrzymawszy się w niej lub nie zostawiwszy w niej przynajmniej śladu odbytej drogi. Po śniegu w zimie aż tutaj stoczyły się te głazy, rzekł góral, inaczej nie byłyby się tak daleko zatoczyły.

Gdy obszerniejsze kotliny międzygórskie przez długi czas zalewała woda, nagromadzony w nich drobny żwir i piasek, roznoszony przez poruszenie wody po całej przestrzeni, zapełnił z czasem zagłębienia między większemi głazami i równe utworzył dno czyli płaszczyznę, która po nastąpieniu wód wnet bujną pokryła się roślinnością, tworzącą już to zbity murawnik, już też pyszne łąki górskie czyli polany. Wyżnia kira Miętusia w dolinie Kościeliskiej, środkowa część doliny Miętusiej, Mała Łąka, Kondratowa po za Giewontem, Jaworzynka pod Magurą Zakopiańską są takimi stawiskami. Jeżeli lite dno tych kotlin nie leży głęboko, a przy ich ujściu nieckowato się wznosi, w czasie dłuższych deszczów zagłębienia te zapełniają się wnet wodą do samego wierzchu, która bokami tylko ścieka, częścią w parę się zamienia a w części przez bujną roślinność bywa spotrze-

bowaną. Wówczas miejsca nieporośnięte trawnikiem a niasiękle wodą nie zdołają znieść większego ciężaru i łatwo zapaść się na nich, aczkolwiek nie tak głęboko, ażeby to miało grozić rzeczywistém niebezpieczeństwem.

Ktoby z czytelników zwiedził w czasie dłuższej pogody Małą Łakę i z niej podszedł ku przełęczy między Giewontem i Kopą Kondratową (Kondracką) lub między rzeczoną Kopą a Czerwouym Wierchem, spostrzeże, że tu i owdzie żlebkami sączą się strużki z boków gór otaczających górny koniec doliny Małej Łąki. Tę zaś zaden nie przerzyna strumyk. Dopiero znacznie niżej w lesie wydobywa się spory potok. Rzecz oczywista, że woda ściekająca namienionemi strużkami ginie w zwi-rze Małej Łąki, sączy się w nim i po calcu skalistym tworzącym właściwe dno doliny, aż wreszcie w miejscu znacznie niżej położoném wydobywa się na wierzch. Taki jest początek prawie wszystkich potoków tatrzańskich i licznych wywierzysk, n. p. głównego ramienia Bystrój pod Kalatówkami, potoku w Olczykach i wielu innych.

Tu jedno jeszcze pytanie: Zkąd wzięła nazwę dolina Kościeliska? dla czego jedna jej część, t. j. ta właśnie, która do niedawna była zabudowaną i zamieszkaną, zwie się Staremi Kościeliskami? — Od mnóstwa kości ludzkich porozrzucanych po dolinie od czasu porażki jakichś wojsk nieprzyjacielskich, która, jak mówi Goszczyński w swoim Dzienniku podróży do Tatr (str. 218) miała właściwie zajść w dolinie leżącej pod Giewontem przy drodze z Zakopanego do Kościelisk a zwaoćj dziś Biały Potok. Zdają się potwierdzać tę wieść rozrzucone

po niej kości ludzkie do niezliczenia, utrzymuje Goszczyński.

Wywód ten prócz przypadkowego podobieństwa imion nie ma za sobą. Że Mongołowie w czasie wtórego napadu swego na Europę (1241—1242) pustoszyli ziemie sandecką i spiską, na to są dowody dostateczne. Na Podhalu nowotarskiem w r. 1204 nie było jeszcze ani jednej osady, w tym bowiem roku Henryk, książę krakowski i szląski, Teodorowi, wojewodzie krakowskiemu, nadał prawo do osadzania Niemców w lesie koło rzek Ostrowska, Dunajca (białego), Dunajca czarnego, Rogoźnika, Lepietnicy, Słonój (teraz Słonki przy Rabce), Ratajnicy, Niedzielskiej i Stradomi. W r. 1234 istniał już Ludźmierz, w tym bowiem roku Wiśław, biskup krakowski, temuż Teodorowi, synowi Jana, pozwolił budować kościół w Ludźmierzu (Ludomer²⁾), a w roku 1237 wspominany jest Rogoźnik³⁾. Przywilej lokacyjny Nowegotargu jest z r. 1252⁴⁾. W nim wspomniany jest zamek szaflarski, wreszcie w dyplomie z r. 1254⁵⁾ wymienione są między innymi rzekami oba Dunajce, wielki i mały Rogoźnik, Leśnica, Piekienik, Poroniec, dalej góra Obidowa, wreszcie pola i łąki zwane Długiepole, Ludźmierz, Dębno, Ostrowiec. Na tych tedy opierając się dowodach, nim nowe, dotąd nieznanne zostaną odkryte dyplomy, słusznie utrzymywać można, że od Szaflar

1) Fejér, Cod. diplom. Hung. 4^o 90.

2) Fejér 3^o 416.

3) Fejér 4^o 83.

4) Fejér 4^o 151.

5) Fejér 4^o 282.

i Rogoźnika aż po same Tatry całe Podhale gęstym pokryte było lasem. O Zakopanem najdawniejszą wzmiankę znalazłem za Stefana Batorego. Dzianisz powstał dopiero około r. 1600; w aktach oryginalnych z r. 1630 znalazłem bowiem skargę Dzianiszan na szlacheckiego Pietrzykowskiego, osadcę swego, że ich do robót ponieważ, lubo im wola jeszcze nie wyszła. Komisarze królewscy uczynili ich przeto wolnymi od wszelakich robót, powinności i podatków. W północno-zachodniej części ziemi spiskiej, tworzącej orograficznie i hydrograficznie z Podhalem nowotarskiem całość jeograficzną, przed r. 1300 istniały Frydman (1073?), Nowa Biała i Krem-pach (1278), Łąpsz dolny (1274), Kaczwin (Katzenwinkel 1278), Starawieś (1300), Hannszowie (1236) i Lechnica (1278). Dopiero w XIV wieku wspomniane są Dursztyn (Dürrenstein? 1312), Frankowa (1320), zamek dunajecki (Niedzica, 1328), Rychwałd i Lipnik wielki (1334—38), Osturnia (1366).

Po obu brzegach Białki od Krompachu aż w Tatry w r. 1320 były lasy¹⁾. Jeżeli zatem na Podhalu nowotarskiem dopiero w pierwszej połowie XIII wieku zaczęto zakładać osady, czegoby tam byli szukali podówczas Mongołowie? w lasach bezdrożnych, poprzerynianych rwąciami rzekami i potokami? czego w dolinie Kościeliskiej albo zgoła w Białem pod Giewontem? Proszę zajrzeć do Białego a iść potokiem, nad którym atoli żadnej nie ma ścieżki, aby zrozumieć całą niedorzeczność twierdzenia Goszczyńskiego. Wreszcie jeżeli w Bia-

¹⁾ Fejér S² 289.

lém pod Giewontem była potyczka, jakimże sposobem miano Kościelisk dostało się nie téj, ale całkiem innéj, z kolei czwartéj dolinie, prawie o milę na zachód odlegléj? W Białém pod Giewontem Goszczyński nie był, więc kości ludzkich rozrzuconych po téj dolinie do niezliczenia sam nie widział. Powiedziano mu bajkę, a on jéj uwierzył. Albo je widział w dolinie Kościeliskiej? Wątpić należy, ażeby tam były mogły przeleżeć od czasów jakiegóś potyczki. Dopóki przeto więcej przekonywających nie dostarczy kto dowodów na wywód nazwy doliny Kościeliskiej od kości pobitych w niéj nieprzyjaciół, Szwedów czy nawet Tatarów, za bajkę uważać go należy. W kopalniach w Ornaku i w Pysznej pracowano z pewnością już za Zygmunta I, ale nie za Bolesława Chrobrego. W części doliny Kościeliskiej, zwanéj dzisiaj staremi Kościeliskami, górnicy mieli kościółek, który z czasem upadł, zostawiając nazwę miejscu, w którém się znajdował. W kościółku tym lub koło niego chowano może zmarłych górników. Jeżeli zatem na Kościeliskach znaleziono jakie kości ludzkie, dawnych górników kości to być mogły. Po zaniechaniu robót w pomienionych kopalniach górnicy opuścili swoją osadę w starych Kościeliskach, a na osadę późniejszą, powstałą u ujścia doliny w miejscu otwartszym między polanami przeszła nazwa Kościelisk. Kościeliszczan Zakopanie dotąd zowią ludźmi z polan. Jaka była pierwotna nazwa osady górniczéj w starych Kościeliskach, nie wiadomo. Wreszcie opowiadanie Goszczyńskiego przypomina zbyt żywo porażkę księcia rakuskiego Leopolda przez Szwajcarów pod Morgarten (1315).

Z zwężeniem się doliny powyżej starych Kościelisk ustaje także ta nazwa doliny. Ściany skaliste otaczające ten wąłom ciasny, wznoszą się miejscami wprost z potoku, są prawie wszędzie prostopadłe, gdzieniegdzie podzielone na piętra. Krzesanice zaraz po wschodniej stronie potoku zwą małemi organami, a dziury w nich zbójcekiemi oknami. Już w pierwszych dniach września dopiero o godzinie 10tej słońce zaziera w tę część doliny. Ogromna skała tuż przy drodze ma imię stołu zbójckiego. Wątpić jednak można, ażeby zbójcy kiedykolwiek byli jedli na tym stole. Przeszedłszy po mostku (2) na wschodni brzeg potoku, ma się znowu kawałeczek bezpiecznej drogi. Nie wzniesiona nad poziom wody ulega częstemu zalewaniu, a skutkiem tego psuciu. Co do mostków, będzie tutaj na miejscu następujące objaśnienie dla tych, co jeszcze nie widzieli mostków tatrzańskich. Dwa, trzy lub cztery tramy położone na poprzek potoku, końcami wsparte na brzegach, na nich sze reg okrągłaków nie poprzybijanych do tramów, na których leżą, zatém ruszających się pod stopami przechodzących, a podnoszących się kolejno pod końmi, jak nawisze fortepiann, oto mostek tatrzański. Gdy który z tych okrągłaków zgnije lub złamie się, nikt nie kwapi się zastąpić go nowym. Tym sposobem powstają mostki przezrocyste, które nie są wcale rzadkością. Człowiek wprawdzie po najgorszym z nich przejść może wygodnie, podziwiać atoli nalczy zrzeczność, z którą konięta góralskie przechodzą po nich, omijając dziury. Poręczy na tych mostkach nie ma.

Uszedłszy nie wielki kawałek drogi, dolina rozsze-

rza się znowu nieco. nie tworząc jednak równinki, jak na kirze Miętusiej lub w starych Kościeliskach, lecz spadając z obu stron ku potokowi dosyć stromo. Jest to polana Pisana. Nad nią wznosi się w ścianie wschodniej prawie w środku skała od ludu zwana Saternem, z czego w książkach zrobiono Saturna, słusznie czy nie, kto to wiedzieć może. Obok Saterna ku południu jest turnica zwana Straszakiem, ku północy dwie inne zwą się Nad zamkiem i Spadami. Po zachodniej stronie potoku trawiasty żlebek prowadzi po za Stoly i na Kominy.

Z polany Pisanéj schodzi się do łożyska w czasie pogody bezwodnego potoczka, przybywającego od wschodu z ciasnej szczeliny między ścianami to w tę, to w ową stronę nachylonemi. Dno téj szczeliny miejscami nie szerzej nad 2 metry, zawalone jest złomami skał naniesionemi w czasie nawałności z góry. Tu i owdzie znajdzie się połamany i otluczony picń drzewa. Szczelinę tę nazwano Krakowem. Na górnym końcu rozszerza się ona i rozczepia na dwa ramiona. Południowo-wschodniem wyjść można na skalisty grzbiet, tworzący północny bok hały Tomanowy, a dalej ku kopalniom w Tomanowie i na rzeczoną halę; ramieniem północno-wschodniem wyjdzie się na Czerwone Wierchy. Przechodząc tamtędy w r. 1867 znaczną przestrzeń na zachodnio-południowym stoku twardego upłazu, widziałem ogoloconą z murawnika skutkiem usunięcia się wierzchniej warstwy ziemi. Kiedy znowu płat ten ogromny pokryje się roślinnością i czy porośnie, to pytanie. Takie spustoszenia zdarzają się w Tatrach coraz czę-

ścięj; są one bezpośrednim skutkiem silnego przemoknienia cienkiej warstwy ziemi podczas nawalnych deszczów, a w wielu miejscach następstwem nierozsądnego wyrąbania całemi płatami kosodrzewiny lub nawet wypalenia jęj, jak to n. p. w górnym końcu doliny Raszkowej pod klinem (starorobociańskim), w dolinie Wierch-Cichęj i indziej widzieć można. W hali Kondratowęj wyrąbywano kosodrzewiny na sprzedaż, jak mi mówiono. Lud czyoi to nierozważnie dla rozszerzenia pastwisk halskich niewystarczających dla wielkiej liczby bydła, które po halach trzymają, a którą dla własnego dobra ludu ustawy ograniczyćby powinny. Nie baczą atoli, że przedewszystkięm na stromych i kamienistych zboczach niczem niewstrzymane strugi wód i uwożące się śniegi w krótkim czasie niszczą nietylko uzyskane powyższym sposobem pastwiska, ale zarazem niżej położone murawniki zrywają lub zasypują żwirem (piargiem) z góry spłókanym.

Kto bez trudu i namacalnie chce się przekonać o prawdziwości powyższych twierdzeń, t. j. że nierozważne wycinanie lub wypalanie kosodrzewiny i niszczenie lasu nietylko nie przysparza pastwiska, owszem takowe niszczy, niechaj się przypatrzy w dolinie Strążyisk zachodniemu bokowi Malęj Swinnicy lub północno-wschodniemu bokowi doliny Jaworzynki za hutami zakopiańskimi. Cały ten bok ogolocony z porostu drzewnego jest dzisiaj nieużyteczne jałowisko, zasypane piargiem drobnego wapienia, z sterczącymi tu i owdzie zwietrzonymi skałami podartymi, kruszącymi się i rozsypującymi bezustannie. Dążąc w stronę Magury przychodzi się

na piękną plasienkę (równinę) zwaną Wyżniem, okoloną z trzech stron lasem i tylko ku Magurze rozwartą. Dawniej pięknym, bujnym pokryta murawnikiem, teraz przysypana jest drobnym żwirem naniesionym przez wody od kopalń, na około których także aż na sam grzbiet wyniszczono kosodrzewinę i las. Tęj też okoliczności przypisać należy brak wody w tej dolinie.

Jak wszędzie tak i w Tatrach lud kieruje się jedynie widokiem chwilowej korzyści, nie myśląc wcale o dalszej przyszłości. Z góry mało kto szczerze go oświeca w sprawach własnej jego pomyślności, kościołów i szkół za mało, a te ostatnie w ogóle nic niewarte. Przy wrodzonej nam opieszałości, przy powszechném przestawianiu na tém, iż dawniej tak było, zapomniawszy atoli, że dzisiaj stósunki społeczne zupełnie zmieniły się, przy właściwej nam gorączkowości bez wytrwalości i rozsądnego obliczenia się, przy wielkiej gadatliwości i pobopie do hałasowania a opieszałości w spokojném a nieustającym działaniu, cóż dziwnego, że zło otaczające nas zewsząd wprawdzie widzimy, ale zaradzić mu nie umiemy, bo nie chcemy. Toć i z ludem podhalskim; zamiast wszelkimi sposoby godziwymi wpływać nań bezustannie, zniewalać go prawie do tego co dobrém, co pożyteczném, co rozumném, demoralizowano go najbezpieczniejszém wydzierstwém, wyuzdaną rozpustą, bezprawiami i gwałtami najohydniejszych i najbezwstydniejszych. Według wiarogólnych zapewnień osób dobrze rzeczy świadomych może nigdzie niema tak zagęszczonego bezecnego pieniactwa, jak na Podhalu. Niestety i tutaj ryba zaśmierdła od głowy. Pu-

ściwszy się raz w górę tą szczeliną, w miejscu spadzi-
stém znalazłem pod ścianą południową i wzdłuż niej
dosyć długi mostek, pokryty gałęzmi, mchem i darniami
a ugięający się pod nogami, jak gdyby się szło po sofie
dobrze wysłanej. To arcydzieło budownictwa alpejskiego
zdziwiło mnie; przekonałem się atoli niebawem, że tędy
owce wychodzą na paszę. Nie zazdrościłem im téj ro-
mantycznej przechadzki cztery razy co dzień, nie po
rzeszonym mostku, lecz po głazach zawalających dno
szczeliny. Że z czasem z szczeliny téj powstanie prze-
strzeńska i wygodniejsza dolinka, nie ulega wątpliwości,
ale ileż to czasu na to będzie potrzeba!

Minąwszy potok płynący czasem z tego tatrzańskiego
Krakowa, przechodzi się po mostku (3) na zachodni
brzeg potoku Kościeliskiego, gdzie tuż nad potokiem
z pomiędzy łomów wapieni luźne wydobywają się strugi.
Nieco wyżej droga wraca znowu na wschodni brzeg po-
toku (mostek 4), ku tak zwanéj Pisanéj. Jestto ściana
wapieona, ściekającą wodą bezustannie rozszona i dosyć
miękka, ażeby nożykiem wryć w nią imię na pamią-
tkę bytności swojej w tém miejscu, co téż wielu przy-
bywających w te strony skwapliwie czyni w przeczuciu
niezawodnego unieśmiertelnienia się tak łatwym sposo-
bem. Szkoda tylko, że świeżo napływające warstwy
zwiedzających powodowane tą samą żądzą szlachetną,
nie znalazłszy już próżnego miejsca do zostawienia po
sobie pamiątki, zeskrobują napisy pomnikowe poprze-
dników, ażeby po niedługim czasie ten sam los ich tak-
że spotkał pracę.

Z pod téj skały, z pieczary podobnej do czełusci

pieca obfity wypływa strumień wpadający o kilka kroków do głównego potoku. Ten strumień raczyli niektórzy piszący o Tatrach wynieść do godności źródła Czarnego Dunajca, jakkolwiek już Zejszner dostatecznie wyjaśnił, że on nie jest niczém inném, jeno ramieniem głównego potoku przepływającym szczelinami we wschodniej ścianie doliny. Już zmienna ciepłota wody w tej strudze powinnaby o tém każdego przekonać. Są atoli jeszcze inne widoczniejsze i jawniejsze dowody, okazujące, że z Pisanéj płynie rzeczywiście odnoga potoku głównego a nie źródło. Otóż zaraz powyżej Pisanéj dwa mostki (5 i 6) prowadzą pierwszy na zachodni, drugi na wschodni brzeg potoku. Przypatrzwszy się w czasie dłuższej pogody wodzie w głównym potoku między temi dwoma mostkami, widać, że na tej przestrzeni jest jój daleko mniej, aniżeli powyżej mostku 6 jak to w sierpniu i wrześniu 1867 roku kilka razy uważałem. Pytanie tedy, gdzie się podziewa woda potoku głównego w okolicy mostku 6? Naprzeciw tego mostku w ścianie wschodniej, popod którą płynie potok, widać liczne szczeliny. W nich gnie po części woda potoku, wydobywając się znowu w Pisanéj. W zimie, jak mnie zapewniali ludzie miejscowi, w potoku między temi dwoma mostkami woda prawie zupełnie wymarza, tak jój mało, a wszystka płynie pomienionymi szczelinami. Zresztą gdyby ten przepływ był źródłem, toć woda w nim zawsze musiałaby być czystą bez względu na zmaczenie jój w głównym potoku. Atoli tak nie jest, jak się sam przekonałem. Dnia 20 sierpnia 1867 gdym w towarzystwie dra J. Czerkawskiego i byłego leśniczego

Kościeliskiego szedł na Bystrą, nieopodal Polany Smytni napadła nas burza. Przeczekawszy ulewny deszcz częścią w lesie między smrekami, częścią w szalasiu smytniańskim, wróciliśmy do domu. Woda w potoku była nadzwyczaj zmaczona, jak gdyby kto gliny do niej uamieszał. Cały bok Tomanowy kolo przełęczy pokrywa glinka. Potok ztamtąd płynący naniósł tego kału. Ciekawy byłem, jaka będzie woda wypływająca z pod Pisaniej. Znaleźliśmy ją tak mętną, jak w głównym potoku, w źródle zaś czyli wywierzysku w starych Kościeliskach była zupełnie czysta. Baśnie, jakich nagadano Goszczyńskiemu, że pieczarę tę zwiedzano z pochodniami, że po długiej, trudnej i chłodnej podziemnej wędrówce dotarło nareszcie do ogromnej sali, ozdobnej kolumnami i sztukaterjami, z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby djamentowa, że w środku sali leży male jeziorko, właściwe źródło Dunajca, że tem podziemiem trzy dni i trzy noce iść potrzeba, aby dojść do źródła, że w końcu wychodzi się na szczyt jakiejś góry, lub też że tę salę wykuli górnicy dobywający niegdyś w tém miejscu srebra, że szperanie po tej pieczarze oburza ducha, mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszcza na dolinę chmury i ulewę, otóż te baśnie skloniły Goszczyńskiego do trzykrotnego zapuszczenia się w tę pieczarę, rozumie się, bezpożytecznie, a jednak wierzył, że śmielszy czy wytrwalszy lub szczęśliwszy od niego potrafi głębiej zapuścić się i odkryć te dziwa, o których podanie zapewnia.



Wycieczka do Morskiego Oka przez Zawrat.

Powiadają, że być w Tatrach, a Morskiego Oka nie zwiedzić, znaczy tyle, co będąc w Rzymie nie zobaczyć papieża. Zyskało ono bowiem tak rozgłosną sławę, że wielu turystów udaje się do Tatr jedynie dla zobaczenia Morskiego Oka, przybyli zaś goście w Łóry dla żętycy lub świeżego powietrza, nie zważając wcale na odstraszające przeszkody puszczają się do Morskiego Oka, chociażby to przyplacić mieli nadwężeniem zdrowia. Pod względem wygod, ułatwienia komunikacji Tatry to nie Alpy, gdyż rzekłbym są one jeszcze dziewicze; do wnętrza ich wdzierać się przychodzi z znaczym zapasem sił i wytrwałości, aby się nie zrazić lada przeciwnością. Nadaje to właśnie wycieczkom po Tatrach więcj fantastyczności, wrażenia z podróży uwydatniają się silniój a przez to dłużej tkwią w pamięci.

Bardzo ciekawa, pełna uroku jest wycieczka do Morskiego Oka, zwłaszcza odbywając ją pieszo przez Zawrat. Po większej części jednak podróży udają się tam wózkim przez wieś Bukowinę, nie czując się na

siłach przebywać kilka grzbietów, szczególnież Zawrat, pod względem trudności więcej okrzyczany, niż jest w rzeczywistości. Wielu podróżnych dla wyniesienia swęj odwagi lub po prostu z natury ludzkiej, miłującęj się w przesadzie, rozpowiada niestworzone rzeczy o niebezpieczeństwach przy chodzeniu po Tatrach, ztąd pochodzi owa sława Zawratu. Z płci męzkiej zwykle młode pokolenie ndaje się tędy do Morskiego Oka, zaś z płci żeńskiej żadna dotąd osoba nie przebywała Zawratu, spodziewam się jednak, że po przeczytaniu niniejszego opisu niejedna z pań ośmieli się w czasie pobytu w Tatrach pójść slynną drogą ku powstydzeniu niejednego lękliwego męzczyzny, a za trochę trudów znajdzie sntą nagrodę, bo zobaczy naraz przyrodę tatrzańską w całej okazałości*). Niech zaś nikogo nie odstraszą skreślone tu przygody, bo to była wyjątkowa wycieczka z powodu słotnej pory, którą się odznaczał rok 1869, tak, że w Tatrach nawet po całotygodniowym deszczu na 40 godzin nie można było być pewnym pięknej pogody.

Otóż gdy po czterech dniach bezustannego deszczu wreszcie dnia 4 sierpnia rozjaśniło się przed wieczorem, a słońce jaskrawo oświeciło Giewont i okoliczne szczyty, postanowiliśmy przywieść do skutku zamiar udania się do Morskiego Oka, bo można było przypuścić, że bę-

*) Z wielką uciechą już dziś mogę nadmieuić, że w rok po ogłoszeniu drukiem w Bluszczu (warszawskim piśm'ie) niniejszego opisu wycieczki do Morskiego Oka w lecie roku 1871 kilka pań puściło się tą drogą przez Zawrat i wcale zdrowia sobie nie nadwęgęły.

dziemy mieli kilka dni pięknej pogody, czego nam właśnie było potrzeba na odbycie tej wycieczki z Zakopanego. Następny jednak dzień zasepiony i niepewny, posłużył nam dla poczynienia przygotowań na drogę, dopiero trzeciego dnia wczesnym rankiem przed świtem stanęło kilka osób w pogotowiu do pochodu, przyjaciel mój Władysław O., siostra moja i ja, bo inni nie dotrzykali przyrzeczenia; za przewodnika wzięliśmy sobie Jędrzeja Wałę, syn zaś jego Józef podjął się nam zanieść grubszą odzież i żywność na miejsce noclegu łatwiejszą drogą przez polanę Waksmundzką, którą mieliśmy powracać. Ze sobą wzięliśmy tylko pożywienie do wieczora starczące i okrywki, które nas miały chronić przez dzień od chłodu.

Nim się ze wszystkiemi urządziliśmy, pomimo rychłego wstania czas tak zbiegł prędko, że 6 godzinami minęła, gdy ruszyliśmy na wózku w drogę, dokąd końmi mieliśmy dojechać. Koło kościołka Zakopiańskiego (2600'), z pomiędzy licznych szeregu chat, skręcając za mostkiem ku południowi wjechaliśmy drogą wiodącą do kuźnic na otwarte pole, idąc przed sobą las, za nim od wschodu na zachód rząd jakby na strzoży sterczących regli, t. j. gór wstępnych, pośród których rozciągają się doliny, a po nad nimi piętrzą się wierzchy coraz wyższe, które mamy przehywać. Doliny Bystrzej, dokąd dążyliśmy, od wschodu strzeże wierzch skalisty Nosal (3745 stp. wied.) a od zachodu lesisty Krokiew (4264'). Równinę przed Krokwią tworzą moczary poprzerzynane licznymi potokami, które złączone przebyliśmy po mostkach na skrócie drogi koło domu Sta-

szezka. Wjechaliśmy w las jak tu zwykle świerkowy; droga łączy się z gościńcem wiodącym wprost do kuźnic pobudowanych w dolinie Bystrój. Ciągłe jadąc pod górę napotykanymy mostek z okrągłaków złożony po nad częścią potoku Bystrój, odłączony dla zasilania wodą zwierzyńca dworskiego, co go tu poznać od zachodniej strony drogi po wysokim parkanie.

Na wstępie do doliny są pierwsze zabudowania; walcownia (2958') rozpoczyna szereg kuźnic poruszanych wodą. Potoki toczą się przez dolinę kilkoma stronami; droga główna wiedzie przeto w górę ku dworcowi, zaś uboczna, ku wschodowi tuż od walcowni prowadzi przez osadę zwaną Bystrem do Jaszczurówki. O istnieniu kuźnic zakopiańskich za Augusta II. r. 1701 pewna jest wiadomość; obecnie zeszyły one do bardzo nędznego stanu, co naturalnie świadczy niepocholebnie o dotychczasowych ich właścicielach; z rokiem 1870 przeszły Zakopiańskie dobra na własność pruskiego obywatela. Przez wycięcie lasów w powższych dolinach w zimie bywał brak wody w potokach, tak że kuźnice nie miały się czém poruszać.

Jadąc, ciągle w górę, mija się po zachodniej stronie huty, po wschodniej domy robotników, a w górze ku końcowi doliny obszerną murowaną karczmę (3116') za nią jeszcze wyżej dwór (3192') i mieszkania dworskich urzędników. Za odlewnią rozdziela się droga na dwie strony, ku zachodowi na polanę Kalatówki, gdzie jest wspaniałe źródło Bystrój, znane pod imieniem Białego Dunajca, na południe zaś doliny Jaworzynki i do kopalń rudy żelaznej w Magurze. Dla nas

skończyła się tu już jazda, wysiedliśmy z wózka po za karczmą, zaoszczędziwszy sobie w ten sposób blisko milę drogi.

Po wygodnej kładce przebyliśmy potok rozbijający się z hałasem o złomy granitu, ochoczo z świeżemi siłami dążyliśmy ścieżką ku lasowi, gdzie nas czekał zmudny kawałek drogi na wierzch Boczania. Idzie się krętą drogą lub prostą ścieżką lecz bardzo stromą, męczącą; tą razą Wala powiódł nas naprzód koło źródła wyborniej wody + 4° 4 Rm. (3,219') ścieżką wśród lasu, poczem napotkawszy drogę, już nią udaliśmy się ku wierzchowi, bo po słońcu trudno bardzo przychodziło nam się drapać po błotnistej powierzchni pośród korzeni i drzew powywracanych. Tu w drodze spotkaliśmy towarzystwo z kilku młodych mężczyzn złożone, z dwoma góralami, z których jeden kościelny z Zakopanego podjął się ich prowadzić do Morskiego Oka, a ztamtąd przez polski Grzebień do Szmeksu. Mingliśmy ich, nie mając zamiaru czynienia wyścigów w chodzeniu, bo to w górach najniedorzeczniejsze, a jeżeli gdzie wyraźniej, to tu sprawdza się przysłowie, że dalej zajdzie ten, co idzie powoli ale ciągle.

Stanęliśmy na wierzchu Boczania, las się skończył, ścieżka wiodła po grzbiecie gołego, odartego Opaleńca, gdzie nam się odłonił ku północy piękny rozległy widok: pod stopami mieliśmy dolinę Olczyk z dwoma polanami, szalaśkami, a szum potoku z niej dolatywał; w dali widać było dolinę Nowotarską a za nią Beskidy zamykały widnokrąg. Odetchnąwszy chwilę puściliśmy się dalej żwirową dróżyną ku Kopie Królowej (4,887');

była to niegdyś droga jezdna, lecz zębem czasu poszczerbiona, dziś tylko służy ludziom do przejścia i dla zapędzenia bydła na halę Gąsienicową. Królewskie miano dostało się dwom czubom góry od jój właściciela Podhalańszczyzny, co się zowie Królem.

W cieniu pod wierzchem Kopy Królowej południowej usiedliśmy, aby się nasycić wspaniałym widokiem. Była godzina 8, słońce pięknie oświecało całą przestrzeń ziemi, rozraczając swoje wdzięki przed naszymi oczami; wiatr chłodził ciało rozgrzane dotychczasową drogą, dzisiejsze pierwsze wrażenia świata górskiego mile duszę usposabiały, czuliśmy we wszystkiem świeżość i urok pięknej przyrody. Podhale Nowotarskie całe od Orawy po Pieniny u stóp naszych przedstawiało się plastycznie, doliny Czarnej i Białej Dunajca a na nich miasteczka, wsie, osady, lasy, pastwiska i pola orne. U podnóża Beskidów błyszczała wieżyczka kościoła Nowotarskiego, ku zachodowi łańcuch gór ginał gdzieś po za Babią górą a ku wschodowi kończył się Pieninami. Poniżej naszego stanowiska gdzieś w głębi zieleniała dolina Jaworzyńska, za nią sterczał Giewont w kształcie gotyckiej wieży, otoczony kotlinami; od zachodu Wielka Koszysta rozpoczynała szereg dzikich turni, które w dalszej drodze dopiero w całej okazałości się nam przedstawiły.

Spotkanie wśród pustych obszarów gór żywego stworzenia bardzo miłe robi wrażenie, czuje się wtedy ów łącznik, jaki istnieje między życiem, jakokolwiek się objawiającem w obec martwoty. To też dochodzące nas szczekanie psów owczarskich, odgłos dzwonek zawie-

szanych u szyi owiec, wyrwały nas z osamotnienia. Wkrótce ujrzelśmy stado owiec a za niemi kilku juhasów t. j. pasterzy. Przesunęli się nam w dali na drugą stronę góry i znów szum wiatru pozostał nam za towarzysza, nim dostaliśmy się do doliny stawów Gąsienicowych.

Szliśmy po równinie porosłej kępami kosodrzewiny t. j. krzewów karłowatej sosny, rodzaju najwyższej rosnącego z wszystkich drzew, ho poczyna się na wysokości 4,200 stóp wied. a kończy dopiero na 6,085'. Równinka ta jest halą Królową, dawniej stał tu szalas owczy, lecz dla wichrów przenieśli się z nim pasterze na dół do doliny Gąsienicowej. Ztąd zachwylił nas widok na łańcuch dzikich turni, które od południa zaległy jak ściana, zda się nieprzebyta. Turnie te gołe, odarte, miejscami płatem śniegu przystrojone, straszają widzów swoją dzikością i wielkością. Co do odległości wzrok nasz wszędzie w górach ulega złudzeniu niezmiernemu, przyczem i w oznaczaniu wysokości hardzo się mylimy. Główną tego przyczyną jest brak porównania: człowiek jest tu tak maleńki, że się guhi w olbrzymich rozmiarach natury i dopiero przez własne doświadczenie nabywa prawdziwego pojęcia o rzeczywistości.

Mijając halę Królową zastanawialiśmy się nad osobliwością niezwykłą: były to ogromne złomy granitu ponarzacane z przeciwnego grzbietu gór na wapień, który jest składową częścią grzbietu, na którym staliśmy, a przedziela go dolina stawów Gąsienicowych, gdzie pośredkiem widać linję zetknięcia się granitu z wapieniem. Zatem owe głazy granitowe dostały się tu alho

przez wybuch wulkaniczny lub w czasie potopu przez wodę. Przypatrując się takiemu szczegółowi, nie wie-dzieć kiedy ścieżką na dół wiodącą wśród kosodrzewiny zeszlśmy pod szałas Gąsienicowe.

Kilkanaście szałasów i szop zaludnia w lecie liczna osada, pochodząca z rozgałęzionej bardzo rodziny Gąsieniców w Zakopanem, bo do nich tutejsza hala należy. Dla odróżnienia ponadawano Gąsienicom przydomki, które dziś stanowią ich nazwiska, a wszyscy mają prawo do paszenia bydła na hali od nich nazwanój, od czego i Stawy Gąsienicowemi przezwano. Poniżej rozlegające się lasy należą do pana Ad. Uznańskiego, właściciela Szaflar i Poronina z przyległościami. Lud tego obywate-la bardzo wdzięcznie wspomina, że w hiedzie i w wszelkiej potrzebie ratuje ich, po ludzku się obchodzi, jakby w przeciwstawieniu dotychczasowych właścicieli Zakopane-go. Tu zaraz napotyka się dowody jego życzliwości, bo darował drzewa z swego lasu tyle, ile było potrzeba na wystawienie szałasu porządnego i tratwy na Czarnym Stawie. Szalas jest własnością Macieja Sieczki (4,900'), gdzie gość w razie potrzeby znajdzie porządną w stosunku do zwykłych szałasów nocleg. Jest to bardzo ważny nabytek dla pilnych zwiedzaczy gór, że w punkcie zbornym mogą się nie źle przespać, nie potrzebując wracać do Zakopanego; tędy bowiem idzie się na Koszystą, Krzyżne, Wołoszyn, na Granaty do Morskiego Oka przez Zawrat i na Świnnicę. Ciekawie i malowniczo wyglądają tutejsze kolidy czyli szopy na bydło, świadczą jednak o bardzo starożytnym sposobie chodowania bydła jak za czasów Abrahama.

Ściany takiej koliby ułożone są z kamieni wielkich za pomocą drzewa, a gałęzie kosodrzewiny tworzą dach. Do nich spędzają na noc tylko krowy, bo owce pod gołym niebem nocują w zagrodzeniu ułożonem z kosodrzewiny, woły zaś i konie żyją na zupełnej wolności; nie troszczą się o nie wcale właściciele ani we dnie ani w nocy; paszą się, gdzie chcą i na obranem miejscu według własnej woli spoczywają. Cóż to za wytrzymałe stworzenia, że przy tak nędznej opiece nie marnieją, przetrzymując burze i długie słoty bez żadnego schronienia! Z powodu znacznej ilości paszącego się na hali Gąsienicowej bydła o sér owczy, o żętycę tu nie trudno, a mleka pysznego, nie zbieranego, słodkiego lub kwaśnego znajdzie tu aż do przesytu.

Poszliśmy prosto przed szałas Sieczki; na nasze powitanie wybiegł juhas, zapraszał do wejścia, lecz woleliśmy na świeżem powietrzu odpocząć i spożyć trochę mleka, które nam z szałasu wyniesiono. Mając daleką i stromą drogę przed sobą, nmsieliśmy dla ustrzeżenia się od ociężałości zadowolnić się jak najmniejszą ilością mleka wybornego, o jakie trudno po innych halach.

Mały odpczynek przy szałasie posłużył nam do rozpatrzenia się w rozłożonym przed nami grzbiecie turni śnieżystych. W środku piętrzy się jak wieża spiczasty Kościelec, od wschodu u stóp jego widać wał jakby groblę, porosłą kosodrzewiną, za którą mieści się Czarny Staw Gąsienicowym przewany dla odróżnienia od innych Czarnych stawów po Tatrach. Nad stawem od południa sterczą Czarne Ściany (7,316'), dalej widać wierzchołki Granatów (północny szczyt 7,090' a południowy

7,101'), poprzedzając niemi Mała Koszysta (6,631'), którą stopami swemi ku wschodowi zwróconemi zakrywa przed nami dolinę Pańszczycę; za nią ukazuje się długi grzbiet Koszystej Wielkiej (7,047'). Gdy się znów zwrócimy od Kościelca ku zachodowi, zaimponuje nam olbrzymia turnia przepaścista, Świnnica, najwyższy szczyt w tym pasmie (7,395'). Dalej ku zachodowi przełęczami poprzedzielane widać Pośrednią Turnię (6,845'), Skrajną Turnię (6,630'), z której schodzi grzbiet na przełęcz Liljowe (6,165') Stokowiska pod Świnnicą i Pośrednią Turnią zajmując stawy Gąsienicowe.

Świerki rosnące w swej wyższej strefie wegetacyjnej wyróżniają się od swoich braci w równinach; gałęzie górskich świerków nie układają się na około pnia regularnie, lecz fantastycznie się grupują, a przytém świerk, zwany w Tatrach smrekiem, nim dorośnie, przetrzymać musi burze, wichry, mrozy i wszelkie żywioły górskie, a w końcu osiwiły sterczy jak szkielec, nadając dzikszemu wejrzaniu tatrzańskim dolinom. Takich właśnie starców świerkowych dosyć oglądaliśmy, podążając ku Czarnemu Stawowi. Od szaleńców Gąsienicowych wiedzie ścieżka część drogi na dół pośród bujnego kosodrzewu i złomów granitu, którego różne gatunki napotykalismy, barwy różowej, szarawej, żółtawej, z błyszczkami świecącymi metalicznie jak srebro. Ulepszyli ścieżkę tę przewodnicy najsłynniejsi na Podhalu, Jędrzej Wala i Maciej Sieczka, powycinawszy kosodrzew, gdzie zawadzał lub utrudniał przejście. Trudną mieliśmy przeprawę przez potok płynący z Czarnego Stawu, bo po deszczach więcej niż zwykle toczyło się wody po

kamieniach. Postępując coraz bystrzej w górę, po 3 kwadransach drogi od szaleńców przybyliśmy na wierzch wału, z kądem naraz ukazała się nam wielka powierzchnia ciemnej, gładkiej i połyskującej się jako zwierciadło wody, a okoliczne turnie pięknie się w nią odbijały. Był to Staw Czarny.

Na wysokości 5,263 st. przestrzeń 31 morg. 1168 sąż. kw. zajmuje staw wśród pysznego otoczenia, ubiegając się z Morskiem Okiem o pierwszeństwo w piękności. Wysepka, niedaleko brzegu stercząca po nad wodą i zielonością pokryta, urozmaica ciemną powierzchnię wody, w której głębiach nurza stopy swe spiczasta turnia, przewana od podobieństwa do kościoła Kościelcem. Wypoczynek mieliśmy tu wyśmienity, mchy i trawy bujne służyły nam wybornie za fotele lub kanapy, a przed nami widok wspaniały, upajający. Czarny Staw jednak ustępuje pierwszeństwa Morskiemu Oku z powodu braku drzew, czego przyczyną jest jego położenie wyższe od Rybiego o 803 st., gdzie już tylko kosodrzewina rośnie. Przy ujściu potoku ze stawu odszukaliśmy tratwę, gdzie ją pęd wody i wiatr zawiódł. Zbudowali ją znowu ciż sami przewodnicy, Wala i Sieczka, wywłócząc z wielkim trudem drzewo w górę z lasu. Tratwa, zbudowana dla studjów naukowych i dla zabawy gości, doznała zaraz opiekuńczej troskliwości o dobro drugich, bo dwóch artystów, malarzy krajoznanów, A. Sw. i Bg., którzy tu bawili jeszcze w jesieni, popłynęli tratwą tą na Czarnym Stawie po pod Kościelcem, tam na brzegu wysiedli, zostawiwszy ją już na zimowanie. Na wiosnę przy tajeniu lodów urwał się głaz

od turni i spadłszy na tratwę przedziurawił i taką późniejszą górą na bezpieczne miejsce przywiedli.

W drodze do Morskiego Oka tu odpoczywający podróżni, mając przed sobą olbrzymi, urwisty grzbiet skalisty a nie przypuszczając, aby go można przebywać, zwykli pytać przewodników o dalszą drogę. Przezorni górale odpowiadają wymijająco, nie chcąc straszyć gości, bo zdarzało się, że na widok tego tu pasma turni opuszczała odwaga niektórych turystów do drapawia się na wierzch grzbietu.

Bardzo mile zeszło nam kilka chwil po nad Stawem Czarnym; miejsce to usposabia poetycznie, bo oprócz pięknego widoku cisza i pustka robi na umysł wrażenie. Dla Władysława była tu jeszcze inna przyczyna zachwyty, bo po raz pierwszy w życiu oglądał jezioro tatrzańskie.

O godzinie 10 puściliśmy się dalej brzegiem wschodnim Czarnego Stawu, koło krzewów kosodrzewiny, przypatrując się po drodze wodom jeziora. Widać było zagłębianie się dna, bo im mniejsza przestrzeń wody dzieliła dno od powierzchni, barwa wody jaśniała, ukazując przez swoje przezrocze lada głaz, a przeciwnie na strasznych głębiach barwa wody aż do czerności ciemniała. Kamienie rzucane, uważając po bańkach powietrza wydobywającego się z wody, leciały długo, nim na spodzie osiadały. Po przybyciu do stóp turni po nad stawem przez toczący się potoczek od Zmarzłego czekała nas pierwsza trudniejsza przeprawa przy wydośtaniu się po tak zwanych dwóch olbrzymich Piętrach, przez złomy granitu, po litęj skale w coraz dzikszym

otoczeniu. Urozmaicał nam drogę Wala swojemi opowiadaniem przygód z różnymi podróżnymi; posiada on bowiem niewyczerpane źródło tego rodzaju wiadomości i dar skreślania ich z dotykającą mimiką. Ma to swoją korzyść dla gości, zwłaszcza w miejscach trudniejszych, bo przez taką gawędę odrywa się uwaga od upatrywania niebezpieczeństw, czasem nawet tam, gdzie ich zupełnie nie ma.

Im dalej postępowaliśmy, okolica dzikszą się stawała. Od wschodu kotlinę Granatów zalegają ogromne piargi t. j. usypiska żwirowe, tworzące się z kruszenia i obrywania skał, a zamiast jakiegokolwiek roślinności zalegają tu i owdzie płaty brudnego, wiecznego śniegu. Od zachodu i południa piętrzą się przed nami skały z roztworem, gdzie mamy wejść po nad Zmarzły Staw. Od północy tylko ma gdzie oko pobujać ku dolinie Nowotarskiej na Beskidy a pod stopami rozkłada się w całej rozległości Czarny Staw, którego właściwy kształt ztąd dopiero można zobaczyć.

Idąc ostrożnie tuż za przewodnikiem, jakoś tam się nie źle wyszło na wierzch, ale przy zboczeniu w lewo lub w prawo trwożyła przepaść wprawdzie nie wielka, mogąca jednak każdego pozbawić życia. Dla cierpiących na zawrót głowy już ten kawałek drogi jest niebezpiecznym. W godzinę po odejściu od Czarnego Stawu, spinając się czasem na czworakach, weszliśmy w roztwór koło płatu śniegu do dolinki Zmarzłej, nazwanej od stawu, który w lecie bywa jeszcze zamrożony; tą razą długie deszcze uprzętnęły ze stawku Zmarzłego lód jak i z wielu miejsc śnieg. Chociażby na najobojętniejszej duszy musi wy-

wrząc wielkie wrażenie kotlina koło Zmarzłego, bo za-
 prawdę, wszystko tu tak dzikie, urwiste, gołe, odarte
 z roślinności i pozbawione życia, że grozą przejęty
 umysł szuka przedmiotu, co by go mógł rozwscelić, na-
 tchnąć odwagą, chociaż nic na niego nie godzi. Czło-
 wick tu tak maleńki, że ginie w gruzach granitowych,
 odcięty od ludzi, potęgę swoją widzi upokorzoną, duch
 zaś rwie się gdzieś wyżej, bo zaległe turnie na wszyst-
 kie strony świat zasłaniają, nieba nawet nie wiele
 widać, zdaje się, że stoimy na miejscu okropnego zni-
 szczenia, straszego spustoszenia, jakby nazajutrz po
 potopie.

Spojrzawszy od wstępu do téj dolinki, mamy przed
 sobą w całej okazałości Zawrat. Jest to roztwór wązki
 pomiędzy dwoma wyniosłemi turniami zawratowemi,
 dokąd wiodzie droga spadzista po olbrzymiem usypisku.
 Od zachodu zamykają kotlinę turnie Zmarzłe, łączące
 Kościelec z Świnnicą, od wschodu po za turnią zawra-
 tową wznoszą się Czarne Ściany, dalej Granaty, między
 nimi jest dolinka zwana nad Zmarzłem (6,101'). Po
 za nami spód Granatu północnego zasłania skała, po
 którejśmy się tu wdrapali. Poniżej czerni się wśród
 zwalisk granitu Staw Zmarzły (5,670'), do którego
 spływa potoczek z dolinki pod Granatem.

Piękna pogoda, czysty błękit niebios wpły-
 wały mile na nas, odpychając wszelką obawę deszczu;
 ja rysowałem Zawrat a moje towarzystwo pod wraże-
 niem dzikiéj nad miarę okolicy rozglądało się we wszyst-
 kiém, co nas otaczało. Po niejakiem czasie usłyszeliśmy
 głosy ludzkie, byli to wzmiankowani turyści napotkani

przez nas na Boczaniu. Po pozdrowieniu się wzajemnym podążyli w górę bez odpoczynku, gdy w tej chwili dał się słyszeć grzmot a w kilka minut począł deszcz padać grubemi kroplami. W tém przykrém położeniu Wala poradził nam schronić się pomiędzy złomy granitu; przyjęliśmy jego radę z radością i w lot ją wykonaliśmy, wyszukawszy sobie najdogodniejsze szczeliny. Każdy z nas zajął osobne stanowisko odporne przeciw deszczowi. Żywność ulokowałem w najpewniejszym miejscu, obok niej sam się ułożyłem tak, żem zgarbiony, na pół stojąc na pół siedząc, wśród kilku głazów spoczywał zasłonięty od nawałnicy. Mój towarzysz niedaleko mnie znalazł sobie ukrycie, stojąc pod olbrzymim złomem, siostra zaś miała kącik najdogodniejszy w zwykłej pozycji siedzącej, a przewodnik nasz wsunął się do jakiejś nory, z której mu tylko pięty wystawały.

Zaledwieśmy się zdążyli schronić, zawyła burza straszna, o jakiej tylko będąc w górach można mieć pojęcie. Grom po gromie uderzał w skały. huk okropny rozlegał się w powietrzu, zdawało się, że się ziemia zawali, ulewny deszcz z trzaskiem rozbijał się w parę o twardą głazów powierzchnią, zewsząd szumiąc toczyły się strumienie, wodospady; niektóre z nich gdy się chwilami rozjaśniało, widzieliśmy, jak biegnąc w przepaść nie doleciawszy spodu ginęły zamienione w parę. Czasami ustawała nawałnica, już zdawało się, że spokój zapanuje w naturze, gdy znowu nowe chmury nadciągały, pioruny biły i toż samo powtarzało się ciągle. Ja mając z pośród dwóch złomów roztwór zwrócony ku Zawratowi, śledziłem podróźnych, co nas minęli; chwi-

lami dostrzegałem ich, jak się pięli po skałach, nie mając biedni nic innego do wyboru, bo już wyżej nie napotyka się takich szczelin między głazami, jakie nam tu służyły za schronienie.

Przez półtóry godziny srożyła się burza, tak długo nie mogły się ustatkować rozrzucone żywioty; wśród tego często przychodziła mi myśl, czy pierwszy lepszy piorun nie uderzy w kamień chroniący mnie od deszczu i nie zdruzgoce mnie na miazgę! Z jednego względu cieszyłem się, że mi mimowoli zdarzyło się nabrać wyobrażenia o strasznej burzy w górach i to w miejscu jakby naumyślnie ku temu wybraném, dzikiém i martwém; z drugiego zaś względu moje położenie nie było wcale do pozazdroszczenia, gdyż dokuczala mi niemożliwość zmiany pozycji jednostajnej a woda ściekająca z powierzchni głazów dostawała mi się za kołnierz, to znów do lewej kieszeni, a przytém temperatura obniżona nagle ziębiła nieruchome ciało. Mimo to dobry humor nas nie odstępował a ciągła nadzieja końca obecnego losu dodawała otuchy.

Wreszcie ustał deszcz, grzmoty przeniosły się gdzieś w inną stronę Tatr, dolatywał nas tylko ich głuchy odgłos; wszystko uciszało się, nawet szmer ścieków malał a z obrotu chmur po 2 godzinnych obserwacjach wywróżyliśmy sobie pewną nadzieję pogody. Po wyjściu z tak zwanych przez górali kolib i obejrzeniu ich wzajemném trzeba było ruszać w drogę, lecz brakło nam przewodnika. Wolaliśmy go na wszystkie strony lecz napróżno; rozbiegliśmy się go szukać pośród złomów, gdy po niejakićj chwili Władysław odnalazł go

w inszej niż przedtém szczelinie śpiącego wysmienicie. Burza w Tatrach nie była mu nowością, przyzwyczał się chodząc na kozice przetrzymywać prawdziwie smutne tarapaty, więc obojętną była dla niego ulewa z grzmotami. Przecież raz Wala z wyprawy na kozice wrócił ledwie po 11 dniach, oplakany przez rodzinę, bo zasypany śniegiem wydobyć się nie mógł i nacierpiał się głodu.

Błogosławiliśmy szorstką powierzchnię granitu, że po zmoczonych złomach lub wilgotnej skale można było bez obawy postępować, gdy wapień mokry staje się niedostępnym i niebezpiecznym bardzo. Minąwszy źródło nadzwyczaj zimne $+ 1^{\circ} 36$ Rm. odpływające do Zmarzłego Stawu, szliśmy po litéj skale, po głazach wielkich, koło śniegów lewą stroną stokowiska, nim nas wprowadził przewodnik we właściwy Zawrat, gdzie turnie przeciwległe tworzą ową olbrzymią szczelinę, którą trzeba się wydostawać na wierzch grzbietu. Ślady naszych poprzedników zupełnie zatarł ulewny deszcz, nie spotkaliśmy ich już nigdzie w drodze, aż wieczorem dopięro w szalasic u Morskiego Oka.

Postępuje się dalej z mozołem po gruzach różnej wielkości głazów granitowych, raz zbliżając się ku wschodniej, drugi raz ku zachodniej stronie, to znów samym środkiem roztworu, jak gdzie dogodniej, aby się utrzymać na usuwającej się z pod nóg powierzchni. Ściany wilgotne, gładkie, żadnej ulgi nie udzielają, bo się ich ucześcić nie można; wszystko polega na przeczorném stąpieniu, aby się utrzymać w równowadze i nie upaść z osuwającym się kamieniem. Dla wytchnienia

staje się co chwilę, umocowawszy się kijem lub czując pod stopami pewniejszą podstawę. Od Zmarzłego wyruszyliśmy zziębnięci, a tu już w pocie czoła przychodziło nam się drapać w górę z pomocą laski, to na czworakach; czasem usunięty z pod naszych nóg kamień potoczył się na dół rozbijając inne po drodze napotkane, nim gdzieś uwiązał. Jedyne to osuwanie się głazów jest przy przechodzeniu Zawratu wielkiem utrudzeniem, przytém ma się obawę ciągle, aby za sobą idącego towarzysza zrzuceniem kamienia nie uszkodzić. Ostatnią okoliczność można uważać za prawdziwe niebezpieczeństwo w téj drodze, co naturalnie przy roztropności i ostrożności podróżnych jest łatwem do uniknienia, bo zresztą wszystkie inne przeszkody są dla każdego do pokonania. Bojaźliwsi ludzie jak i nerwowi trwożyć się zwykli bardzo przy przechodzeniu Zawratu, bo zdarza się, że gdy stąpną na jeden kamień a ten się usuwa, stąpają na drugi, ale i z nim toż samo się dzieje, co jeszcze z kilkoma następnymi się powtarza, to więc wzbudza obawę, dobywają ostatnich sił, aby się wydostać na pewniejsze miejsce, w tém natężeniu silnie stąpają, przez co coraz więcej się porusza kamieni, rumot powstaje, nogi w kolanach drżą, krew uderza do głowy i w takim zdeorganizowanym stanie, przy braku tchu, z nadwężeniem zdrowia drapią się bez wytchnienia na wierzch, gdzie wylęknieni, opadli na siłach padają na ziemię, wyrzekając się na zawsze Zawratu; potém zaś opowiadają z doświadczenia własnego o niesłychanych niebezpieczeństwach w drodze takiéj, którą drudzy przebywają śmiało bez obawy, bez wytężenia sił, dziwiąc

się potem opowiesciom o podobnych niebezpieczeństwach jak powyższe. Jeżeli Zawrat śniegiem zawalony, przejście przez niego prędsze po schodach w śniegu wykrywanych toporkami, ale niebezpieczne.

Idąc z dobrym przewodnikiem, jak nam się to przydarzyło z Wala, uniknęliśmy wszelkich kłopotów w tém miejscu. Szedł on naprzód, wyszukując najpewniejszej podstawy, a gdzie było źle ostrzegał, podawał rękę i najzupełniej uczył nas chodzenia po takich usypiskach. Wykazywał nam płonność obawy o spadnięcie, gdyż w razie stracenia równowagi przy osuwaniu się kamieni przykłęknięcie wybawia od upadku i daje czas do nabrania sił. Siostrze méj szło w téj przeprawie najlepší z nas, bo była najlżejsza, a Władysławowi najgorzej z powodu największej objętości ciała: pod jego bowiem stopami ruszały się takie złomy, które pod kim innym ani drgnęły, więc porządnie się napocił a kilka razy zatrwożył, nim osiągnął cel.

Doszliśmy do skały, co w poprzek roztworu jak próg się rozłożyła już blisko szczytu. Chcąc tę może 5 łokci wysokości mającą ścianę minąć, spinać się trzeba po wschodniej jego stronie tuż koło bokn turni, czepiając się rękami i nogami szczerbów w skale jak kot a pomagając sobie całym ciałem. Wala pomagał, co tylko mógł, po za progiem jeszcze kilkadziesiąt stóp takiój samój drogi jak poprzednia mieliśmy do przebycia, aż wreszcie o 2¼ godz. stanęliśmy na wierzchu Zawratu wśród pięknej pogody.

A więc dla pći pięknej początek dany, gdy moja siostra bez wielkiój trudności weszła na Zawrat od

Zmarzłego, z kąd wychód najprzykrzejszy. Podobno pani H. z Krakowa przebyła Zawrat, lecz idąc na niego od Pięciu Stawów, co bez porównania jest łatwiejszą rzeczą, gdyż bok południowy Zawratu niższy dużo od północnego i trawą porosły. Wala wykrzyknął zdrowie méj siostry, co pierwsza z kobiet tędy podążyła do Morskiego Oka, i rad był, że jemu ją przyszło wodzić, zawsze bowiem dla turystów droga przez Zawrat liczyć się będzie do trudniejszych przepraw po Tatrach.

Z trudem się wprawdzie wchodzi na Zawrat, ale chociażby przyszło dwa razy jeszcze więcej mozółu użyć, wartoby było, bo widok z niego niezrównany, o tyle wrażliwszy od innych, że po kilkogodzinném spianiu się od Czarnego Stawu ciągle pośród kotliny, zamkniętej olbrzymiemi turniami, olśniewa zmysły nagle odsłonięty widok przepyszny, wspaniały. Stajemy tu jakby na progu do wnętrza Tatr. Do stóp naszych ściele się dolina Pięciu Stawów; w górnej części stawów widać tylko dwa, Zadni, zwany także Zmarzłym, i część drugiego zwanego Czarnym. Powyżej grzbiet okalający tę dolinę poczyna się na zachodzie od Świnnicy najprzód Walentkową, potem ciągnie się przez Kotelnicę, Gładkie, Przechybę a kończy się rozłożystemi Miedzianemi po nad Wielkim Stawem. Drugi grzbiet wychyla się na wprost nas Pośrednim Wierchem, który się wznosi aż do połączenia z Mięguszowskim Szczytem po nad Morskim Okiem, ku wschodowi piętrzą się ostre szczyty Rysów, najwyższego w całych Tatrach Gierlachu (8,414'). Trzeci grzbiet stanowią bardzo rozległe turnie Grubego Wierchu kończące się ostrym szczytem,

Basztą, dopiero po za tém wszystkiém od południa trochę ku zachodowi wznosi się imponująco Krywań, odznaczający się od sąsiadów oryginalnym swoim kształtem. Od niego bardziej ku zachodowi między grupą wierchów Koprowej i Wierchcichy gubi się oko w równiach Liptowa, świecą się wody Waagu a na ostatnim widnokregu sinieje pasmo gór na Węgrzech, zwane Nizniami Tatrami. Wschód zasłania nam turnia Zawratowa a zachód Świnnica, która ztąd tak się strasznie przepaścisto i urwisto przedstawia, iż trudno przypuścić, aby na jój szczycie ludzka stopa stanąć zdołała. Widok z Zawratu wzbogaciła nam jeszcze burza srożąca się w dolinie Koprowej koło Krywań; dolatywał do nas ciągły grzmot i w naszych oczach ten huragan alpejski przeszedł w turnie ku wschodowi. Oderwać się nie mogliśmy od obrazu, którego twórcą Bóg, więc też ludzkie słowa go nie określają; ale w końcu trzeba się było puszczać dalej. Spełniliśmy starym naszym zwyczajem toast na cześć obecnej chwili, przewodnik nasz nie mógł się dosyć nachwalić pieczeni husarskiej, którą nam żona moja przysposobiła na drogę, a obejrawszy się po za siebie w kotlinę Zmarzłego, miło się nam zrobiło, że drugiej takiej przeprawy nie mieliśmy odbywać w całej już drodze do Morskiego Oka.

Gdyśmy się mieli spuszczać na dół do doliny Pięciu Stawów, Władysławowi zdawało się, że najdalej za 5 minut staniemy w dolinie, tymczasem zeszło nam pół godziny, bośmy naraz nie widzieli całego zbocza góry lecz najbliższą krawędź, która zasłaniała dalszą. Zszedłszy z wielką ostrożnością po bardzo ślizkiej trawie lub

po rozrzuconych gdzieśgdzie kamieniach, przy pomocy kija przybyliśmy na jakieś zbiorowisko wody, obecnie deszczowej, z którą się źródłana łączyła. Staw pierwszy z pięciu, zwany Zadnim lub Zmarłym (11 morg. 1149 sąż. kwadr.), bo brzeg jego zawsze zalega lód i śnieg, obeszlśmy w oddaleniu, zdążając po wierzchu wielkich złomów granitowych koło turni północnej strony tej doliny. Dla wielu osób chodzenie po zwaliskach kamieni jest uciążliwem, stąpają bowiem bojaźliwie aby nie wpaść w szczeliny, nie potłuc się albo nogi nie złamać; lecz nabywszy wprawy, śmiało skacząc i przezornie po wierzchołkach głazów, prędko się przebywa przestrzenie zawałone złomami różnej wielkości, bo powierzchnia granitu szorstka daje dla nogi pewną podstawę.

Idąc za przewodnikiem, weszliśmy na skałę oddzielającą się od podnóża Koziego Wierchu; tu na tej drodze jedyne to miejsce, z kąd widać naraz wszystkie pięć stawów. Dotąd nam znowu sprzyjała pogoda, chociaż się coraz bardziej zachmurzało od zachodu; wkrótce deszcz zaczął padać, spieszo więc schodziliśmy na dół, aby się znów gdzie schronić. Drugi staw, Czarny (22 morg. 1077 sąż. kwadr.) mineliśmy, z niego płynie potok do Wielkiego Stawu, nie łącząc się z odpływem Zadniego Stawu, który osobno się toczy wprost także do Wielkiego. Deszcz się wzmagał, Wala wskazał nam dwa nachylone olbrzymie złomy granitu; woieglem tam najprzód, siostra za mną, lecz Władysław dobiegając spostrzegł, że wierzch tej nowej naszej koliby tworzy ogromny kamień będący prawie na łasce Opatrzno-

ści; radził więc wynieść się z pod niego. Upomnienie jego poparł w tej chwili huk grzmotu, bo w skutek silnego wstrząśnienia mógłby nas niespodziewanie kamień przykryć na wieki, udaliśmy się zatem pod drugi głaz, lecz było to nędzne schronienie, bo woda zciekała z kilku stron; uradziliśmy więc dalej ruszyć, nie dbając o niebieską rosę, która nas po grzbiecie nielitościwie skrapiała. Szliśmy zupełnie w wodzie, bo po dolinie zewsząd szumiały potoki, rozlewające się szeroko po trawnikach i po kamieniach. Wiedząc o istnieniu szałasu po nad Wielkim Stawem, chcieliśmy się do niego dostać dla osuszenia i chwilowego przy ogniu odpocznienia, lecz nas spotkał niemiły zawód. Wyszło mi z pamięci, że to Białczanie w nim tworzą osadę pasterską i że to szałas jak chlew, gdzie tylko białczańscy juhasi i im podobne istoty mogą przesiadywać.

Ściany trzy tego niby szałas ustermane są z głazów wraz z gałęziami kosodrzewu, dach tworzy kilka desek w poprzek położonych, kamieniami przyciśniętych, czwartą ścianą od przodu nie ma, ta więc stanowi wchód, wewnątrz zaś reszta miejsca zbywającego od ogniska i od sprzętów pasterskich służy do pomieszczenia całej osady szałasowej. Niechlujstwo tu kwitnie a pan taki, jaki kram. Baca i juhasi są ze wsi Białki, słynni z łakomstwa, cheiwości i zdzierstwa, a o siódmém przykazaniu Bożem nie lubią pamiętać. Na dobytek trafiliśmy na czas, kiedy było spędzone koczowało koło szałas a wszyscy juhasi koło ognia, ściśle mówiąc, natłoczeni, zajmowali cały ów zlepek. Brnąc po gnojn wśród stada owiec, dobiegliśmy zmoczeni i zziębnięci do

mniemaną przystani; na nasze pozdrowienie „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, odrzekli górale „na wieki“, ale mierząc nas okiem od stóp do głów jak towar wystawiony na sprzedaż, zdradzali swoje usposobienie. Znać, że z powierzchowności nie obiecywaliśmy im żadnego obłowu, bo nawet nie poprosili nas do swęj szopy, widząc nasze smutne z powodu słoty położenie, ani z żętycą się nie ofiarowali. Minęliśmy ze wstrętem to siedlisko brudu i chciwości, a broniąc się toporkami psom, co się na nas z zaciekłością rzucały, ruszyliśmy dalej. Kilka razy już tędy przechodziłem i zawsze się w obec podróżnych szalańnicy tutejsi w jedném i tém samém świetle pokazywali. Na naszą pociechę deszcz ustawał, poczęło się rozjaśniać, lecz chłodno nam było i głodno, do domu daleko a gdy do tego i mokro nam dojmowało, upadliśmy trochę na duchu; nawet Wali humoru zabrakło. Przed sobą nie mieliśmy nic pocieszającego, bo po takich tarapatach nie wiedzieliśmy, jak nam przyjdzie noc przepędzić koło Morskiego Oka.

Widok wspaniałego, największego w całych Tatrach Stawu Wielkiego, 60 morg. 840 sąż. kwadr. (5,339⁴) zajął tymczasem naszą uwagę, chmury wiatr gdzieś przepędził, a nim obeszliliśmy wśród kosodrzewiny jeziora brzeg północny, słońce zaświeciło. Po kładce przebyliśmy potok z Wielkiego Stawu płynący, poczem koło Stawku Pośredniego, 716 sąż. kwadr., brzegiem Przedniego Stawu, 13 morg. 595 sąż. kwadr., wywiódł nas Wala na skałę, z kąd widok wprowadził nas w zachwyt. Zapomnieliśmy o zmoknieniu, o zimnie a podziwialiśmy pyszny wodospad Siklawę, dolinę Roztokę i olbrzymiego

Wołoszyna (6,894'), co się w całej okazałości wychyła z doliny. Obszligła skała kazała nam się strzedz wychodzenia na jej brzeg, przez to otocblań pod nami wydała się nam straszniejszą niż była w istocie, skoro bokiem jej ludzie chodzić mogą. Wodospad przedstawił nam się jak srebrna wstęga snująca się po skale. Tym razem tém piękniejszy niż zwykle, bo po deszczu wezbrany toczył w szalonym pędzie znacznieszą ilość wody, która spadając w przepaść z wysokości 204 stóp, spieniona, parą otoczona, wypływa od dna spadu tworząc potok wśród dzikiej doliny, płynący prawie ciągle po progach, a śnieżna barwa jego odznacza go od skal i zarośli. Po nad Siklawą widać od północy małą dolinkę Buczynową (5,468'), powyżej Turnie Buczynowe, dalej Wołoszyn wspaniale piętrzący się po nad Roztoką, dołem lesisty, wyżej strojny w kosodrzew a u góry nagimi odartymi sterczący turniami. Najniższą przełączkę między nim a Buczynowemi Turniami tworzy mała równinka zwana Krzyżnem (6,846'), z kąd jest cudownie piękny widok na Tatry. Opowiadał nam Wala różne zdarzenia z polowań na kozice i niedźwiedzie we Wołoszynie, które sobie tę górę upodobały. Wołoszyn rozłożysty, rozgałęziony w różne strony, dołem dziko zarośnięty, gdzie się człowiekowi z trudem przedzierać przychodzi, więc też zwierzętom łatwiej się tu ukryć. Pewnego razu niedźwiedź mocno raniony we Wołoszynie zbiegł strzelcom, szli za śladem krwi a odnaleźć go na żaden sposób nie zdołali, bo się miał gdzie schronić bezpiecznie. Podróżni, zdążający Roztoką w górę do Pięcin Stawów

koło Siklawy, przedzierają się z trudem przez tę dziką dolinę.

Sikława jest w całych Tatrach najznakomitszym wodospadem, a tylko mała stósunkowo ilość wody spadającej przeszkadza jej mierzyć się z najroźgłośniejszemi wodospadami w Europie. Oderwawszy się od cudownego widoku, zeszliśmy na drogę ku Świstówce. Wiatr osuszył kamienie, więc usiąść było można; przy chwilowym odpoczynku pokrzepiliśmy żołądek, słońce zaświeciło a odzież nasza w części obeschła; wszystko to przywracać nam poczęło wesołość.

Czekało nas wejście na grzbiet Świstówki, która, oddzielając się od głównego grzbietu, wznosi się ścianą prawie prostopadłą pod kątem 70 stopni nad doliną Roztoki. Jest to najstromejsza skała w Tatrach, na której ani trawka się nie utrzyma, a wznosi się bezpośrednio nad doliną przeszło 2,000 stóp. Z téj strony jednak, którądy wiedzie ścieżka na jej wierzch, jest Świstówka trawiasta i łatwo dostępna. Ludzie przecież, doznający zawrotu głowy na widok przepaści, i po téj ścieżce z wielką obawą postępują, niektórych nawet podróżnych tędy przewodnicy za ręce prowadzą. Kilka razy już tą drożyną szedłem i na sobie tego nie doświadczyłem, lecz Władysław, ledwo wyszedł na grzbiet, jak nam opowiadał, słysząc nas za sobą a mając przewodnika przed sobą, wstydził się okazać słabszym od nas i siłą tylko moralną oparł się zawrotowi, który go powoli ogarniał. Ścieżka ta dobrze wydeptana, wiedząca zboczem trawiastym w górę, może oddziaływać na podlegające téj słabości osoby jedynie przez to, że jedno-

stajny ton zielony nagle pochyłego trawnika działa monotonię na wzrok i wznieca obawę wywrócenia się i potoczenia gdzieś w otcblań, której dna ztąd nie widać. Była godzina 5^{1/2}, gdyśmy na wierzchu Świstówki odpoczywali; widok bardzo piękny roztaczał się przed nami, na krawędź góry żadne z nas nie poszło zaglądać w przepaść do doliny, bo to Władysława przestraszało. Dawniej chodząc tędy za moich czasów akademickich w towarzystwie kolegów, wychylałem głowę wraz z innymi po za krawędź, ale nas dreszcz przejmował, tak tam było strasznie spojrzeć.

Ztąd jeszcze kawałek mieliśmy podobnej dróżyny w okrag na główny grzbiet, zatem wzięwszy między siebie Władysława, wkrótce stanęliśmy na najwyższym punkcie tej drogi, zkad już prawie ciągle szło się na dół. Pragnienie nam dokuczało, chociaż szum wody nas dolatywał, ale gdzieś z przepaści, a najbliższe źródło mieliśmy napotkać dopiero w dolinie Białki. Całą prawie godzinę ćwiczyliśmy się w gimnastyce, bo schodząc bezprzestannie na dół, trzeba było opierać się siłą ciężeniu, tak że w kolanach zabolaly nogi, nim przez Ubocz koło opuszczonego już wtedy szałas przybyliśmy na drogę jezdną, gdzie tuż przy niej wytryskują źródła wyborniej wody. Namyślaliśmy się, obejrzawszy opuszczony szałas, czyby nie można tu przenocować; spostrzegliśmy w nim ślady pobytu turystów, bo ryżu było trochę rozsypanego. Lecz gdy ztąd jeszcze tylko pół godziny drogi do Morskiego Oka, nie chciało nam się napowrót tu chodzić, aby znowu na drugi dzień rano o tę samą przestrzeń nie przyczyniać sobie drogi.

Wszędzie było mokro, każda dotknięta gałąź moczyła nam odzież, dróżynami płynęła woda a trawa, borowina lub mech przesycone wilgocią, smutną, rokowały nadzieję na noc o suchy kącik, gdzieby choć kilka godzin można było spocząć wygodnie. Nie wiem téż, czy kiedykolwiek więcej niż wówczas pragnęliśmy pogody. Im bliżej byliśmy Morskiego Oka, tém bardziej się nam spieszyło. Władysław łudzony widokiem Mięguszwieckiego Szczytu, który wprost wznosi się po nad jeziorem, sądził, że za lada brzeżkiem ujrzy powierzchnią sławnego stawu tatrzańskiego; tymczasem coraz coś nowego przybywało, las, krzewy, droga głazami wysłana, wreszcie równinka, gdzie od zachodu widać lepiankę podobną do budy w dolinie Pięciu Stawów, a od wschodu bagnisko wody, którą w czasie wezbrania Białka pozostawia. Głazy wielkie zalegają drogę wiodącą na wał porosły koso-drzewiną i borowinami, zkąd ujrzelśmy naraz całą powierzchnią Morskiego Oka; olśnieni jego wspaniałością chwilę staliśmy w zadumaniu, chociaż tą razą w pomroce, ho słońce już tylko szczyty turni oświecało, przez co wiele przed nami wdzięków zakryło.

Morskie Oko lub Rybie Jezioro rozciąga się 57 morg. 534 sąż. kwadr. na wysokości 4,460 stóp; jest to największy według pomiaru Kleina, nadleśniczego z Bukowiny, który mierzył powierzchnie stawów tatrzańskich, staw w całych Tatrach po Wielkim, jednym z Pięciu Stawów. Kształt ma owalny, dłuższy w kierunku z północy na południe; o głębiach jego lud opowiada cndowne wieści. Według ludowych opowiadań Morskie Oko styka się z morzem, bo jakiś podróźny,

który przy rozbięciu okrętu stracił swój kuferek z kosztownościami, zwiedzając Tatry odnalazł go na powierzchni wody Morskiego Oka. Właściwa jego głębokość według pomiarów Zejsznera wynosi od brzegu w odległości 300 stóp 99 st. paryzkich, dalej 128, w połowie długości 140 i 144 st.; największa głębokość 146½ st. znajduje się w pobliżu turni Mniczem zwanój.

Zowie się także ten staw Rybim z powodu, że w jego wodach żyją ryby, gdy we wszystkich innych stawach tatrzańskich się nie chowają, oprócz jeszcze jednego po węgierskiej stronie, zwanego Małym Rybim lub Popradzkim. Pochodzi to ztąd, że potokami w górę nie mają ryby przystępu z powodu wysokich progów, które tworzą piękne wodospady; Białka jednak w całym biegu od Morskiego Oka aż do swego ujścia w Dunajcu nie ma kaskad. Dotąd rozpoznano dwa rodzaje ryb w Morskiem Oku: pstrągi i łososie.

Potoki dwa wpadające do Rybiego, z Czarnego Stawu jeden a z po za Mnicha drugi, nie udzielają tyle wody, ile wydaje jezioro dając początek Białce, z czego wnosić trzeba, że muszą pod powierzchnią jego znajdować się liczne źródła. Pierwotnie, zdaje się, utworzył się staw ze ściekowej wody po deszczach i z topnienia śniegów i niemi się zasila ciągle, bo woda do picia nie dobra pomimo niezwykłej czystości; smak ma deszczówki, przez co jest wyborna do herbaty. Podróźni czerpią wodę do picia ze źródła, które się napotyka przy drodze prowadzącej do Morskiego Oka.

Piękność niezmierny urok Morskiego Oka stanowi jego położenie, co je wyróżnia od innych jezior tatrzań-

skich. Leży ono jeszcze w krainie lasów na wysokości 4,460 st., zaśmę brzegi jego zdobię oprócz kosodrzewu świerki i śliczne limby. Otoczenie tworzą góry wznoszące się do znamienitej wysokości, jak od zachodu Miedziane (7,133'), od południa Mięguszowski szczyt (dotąd dla niedostępności niezmięzony, osądzić go można w przypuszczeniu na 7,600 st.), od niego na wschód Rysy (7,309'). Kształty zwłaszcza Mięguszowskich turni są bardzo fantastyczne, przepaściste, że strachem przejmuje myśl drapania się na te skały, a jednak strzeley chodząc za kozicami, znają się z nimi jak z kątami własnej chaty. Opowiadał nam Wala, jak wiele tych niewinnych zwierząt padło pod ich strzałami. Kozice jak i świstaki były dotąd przedmiotem zaciekłości ludzkiej, nim się za życiem biednych zwierząt ujęło kilku uczonych miłośników przyrody ojczystej. Komisja Fizjograficzna Tow. Nauk. w Krakowie, którą składają właśnie owi miłośnicy natury, ochroniła od zagłady w Tatrach kozice i świstaki przez uzyskanie na drodze ustawodawczej zakazu bezwarunkowego polowania na zwierzęta, które są wielką ozdobą wszelkich wyższych gór. Przyczynia się dużo do spotęgowania piękności Morskiego Oka kotlina, w której się Czarny Staw mieści, rozszerza ona przestrzeń Rybiego w malowniczy bardzo sposób. Oko ludzkie huja gdzieś po dzikich turniach Rysów, strojnych w płaty śniegu, szczególnie uroczo, gdy słońce w godzinach południowych zajrzy z po za szczytów i oświeci obadwa stawy. Granica węgierska ciągnie się najwyższym grzbietem od Miedzianych przez

Mięguszówkę, Rysy i schodzi wierchami do Białki opodał ujścia Roztoki.

W nazwach różnią się Węgrzy od Polaków, bo przybywając tu licznie od Jaworzyny Spizkiej dla zwiedzenia Morskiego Oka zowią je Rybiem, a nad niem Czarny Staw Morskiem Okiem; ztąd Rysy nazywają szczytem Morskiego Oka.

Rozpatrując się tak z rozkoszą w nigdy dostatecznie nie wielbionym widoku, zmierzchno się i trzeba było do następnego dnia odłożyć zwiedzenie dokładne Morskiego Oka. Tymczasem Wala odszukał swego syna, co tu miał nas oczekiwać z odzieniem grubszym, żywnością i przyborem herbacianym. Chcieliśmy zgotować herbatę z wody jeziora i spożyć tu wieczerzę, lecz przewodnik radził nie czekać zupełnej nocy, by się dobrze umieścić na nocleg gdzieś w lesie. Wróciliśmy tą samą dróżyną, kwadrans drogi, do lasu, zboczyliśmy ku Białce po bujnej borowinie i olbrzymim mchu, gdzie wśród grubych drzew wybrał nam Wala wyborne zacisze. Pierwszą czynnością Walów, ojca i syna, było rozniecenie ognia. Naznosili gałęzi uschłych, lecz tym razem nie suchych, te po chwili buchnęły silnym płomieniem i naokoło ożywiły nas ciepłem. Józef Wala wyrębał w połowie wysokości zapewne od burzy złamane drzewo, runęła kłoda z hukiem, gałęzie trzaskały od gorąca, a powoli w okrąg ogniska osuszyła się ziemia, że się można było rozłożyć jako tako. Porozwieszaliśmy mokrą odzież, tymczasem zawrzała woda na herbatę, ciepło się zrobiło tak, żeśmy lekko ubrani swobodnie odpoczywać mogli, nie czując chłodu nocnego ani wilgoci, którą

przesycone było wszystko na około nas po za obrębem naszego stanowiska. Przewodnicy nacięli gałęzi drobnych świerkowych, które osuszone miały nam służyć za posłanie. Herbata raczyliśmy się do syta, gdyż to w górach napój nieoszacowany, poczem trzeba było myśleć o ułożeniu sobie jak najdogodniejszego posłania. Było nam już ciepło, sucho i, jak na nocleg w lesie, wygodnie, ale obawa deszczu nas trwożyła, bo aż smutno było pomyśleć o losie naszym w przypadku słoty.

Późno w noc znużeni pokładliśmy się spać; ciało skołatanę całodzienną biedą potrzebowało wypoczynku cboćby i na tak obozowém posłaniu, jakie nam przygotował przewodnik. Cisza zaległa okolicę, drzewo gorzało spokojnie, szum Białki kołysał do snu, a na niebie czystém jaśniały gwiazdy, przeglądające między gałęziami. Obaj Wałowie, pokładwszy się blisko ognia, zmieniać musieli pozycje w inną stronę, gdy z jednej gorąco im dopiekło; my nie nawykli do koczowniczego życia, nie mogliśmy zasnąć aż nad ranem. Lecz w czasie tym ognisko przygasło a zimno dojęło nam, że sen odbiegł.

Przed świtem powstaliśmy wszyscy, Wałowie na nowo ogień rozpalili, herbatę zgotowali i nią pokrzepieni, po spożyciu, co Bóg dał, układaliśmy plan na cały dzień, zwłaszcza gdy po całonocnej pogodzie rano słońce pięknie wierzchołki gór oświeciło. W dolinie panował jeszcze chłód i poranna wilgoć.

Wkrótce jednak zaczęły przeciągać nisko chmury, które, nim doszliśmy nad brzeg Morskiego Oka, zamieniły się w tak gęstą mgłę, iż na 10 kroków przed sobą trudno było co widzieć. Wiedząc dobrze, co to znaczą

mgły w Tatrach, że czasem kilka dni trwają, poczęliśmy uważać cel podróży za zwichniony. W takim złém usposobieniu, gdy i górale nic dobrego nie wróżyli, usiedliśmy nad brzegiem jeziora i rozmyślaliśmy nad marnościami świata. Morskie Oko wydało nam się obecnie marnością, kiedyśmy stracili nadzieję oglądania go, a mnie szczególniej chodziło o zwiedzenie Czarnego Stawu. Przed oczami naszymi przy brzegu leżała tratwa, która mi przypominała zdarzenie malujące dobrze charakter górali z Białki. Tratwę tę wraz z nieistniejącym już szałasem zbudowano na rozkaz właścicieli Zakopanego, gdy mieli tu tłumy gości cesarsko-królewskich przyjmować. Starano się bowiem bądź co bądź uzyskać szlachectwo, w tym więc celu czyniono wszystko, aby zobowiązać sobie rząd anstrjacki. Podróżni przybywający do Morskiego Oka mieli jakiś czas wielką wygodę z szałasu, nim go Białczanie spalili, z tratwy zaś przyjemność, nim zbutwiała. Dwa pokłady belek na krzyż pozbi-
janych stanowiły tratwę, na jej wierzchu były ławki, poręcze i kołki pomocne do wiosłowania. Z wszelkiem bezpieczeństwem można się było puszczać na głębie jeziora na tej tratwie i niezmiernie to uprzyjemniało zwiedzenie Morskiego Oka, zwłaszcza gdy towarzystwo liczyło między sobą kilku śpiewaków. Wystawiona jednak tratwa zimą i latem na działanie wszelkich żywiołów niszczących musiała naturalnie zbutwieć, chociaż jeszcze unosi się na powierzchni wody. Dla omamienia głupich ludzi Białczanie pokładli kilkanaście żerdek na wierzch tratwy, aby tylko goście do pływania skusić i mieć sposobność wydzierania zapłaty za wiosłowanie. Od kilku

już lat kto się odważał pływać na niej po jeziorze, ryzykował życie, gdyż raz musi nastąpić chwila, gdy tratwa, coraz bardziej zagłębiając się z belkami, zanurzy się na zawsze, a przecież tego momentu nie można przewidzieć. Otóż przed niedawnym czasem grono osób przybyłych z Krakowa udało się do Morskiego Oka. Towarzystwo składało się z osób obojędz płci i różnego wieku; z nich młode pokolenie, idąc za namową górali, weszło na tratwę dla pływania po stawie; gdy jednak ich nie wezwano do wiosłowania, bo mężczyźni w usługach pań sami się wzięli do téj roboty, nastąpiło rozczarowanie. Wówczas Białczanie po odbiciu od brzegu tratwy poczęli straszyć pozostałą starszą część towarzystwa, że tratwa jest zgniła, łatwo może zatonać, zwłaszcza gdy nadpłyną na wir koło środka jeziora, i tym podobne pletli banialuki, prawdziwe tylko pod względem złego stanu tratwy, ale fałszywe co się tyczy wiru, jakiego na całym Morskiem Oku nie ma. Wywarło to zgubny wpływ na pozostałe osoby, zwłaszcza kobiety, które poczęły już rozpaczać o los rodziny i przyjaciół. Napróżne były ich wołania, zaklinania, giesta, bo tego pływający zrozumieć a nawet, będąc już dalej na wodzie, usłyszeć nie mogli. Można sobie więc wyobrazić położenie osób drżących z obawy przez cały czas, nim młodzież wesoło i szczęśliwie wróciła po całogodzinnej przeszło zabawie. Białczanie, rozumie się samo przez się, nie czekali powrotu młodzieży, czmychnęli hultaje w lasy, aby uniknąć spodziewanej zapłaty.

Zajęty rysowaniem brzegu Morskiego Oka, o ile go widzieć mogłem z pośród mgły, w pół godziny spostrze-

głębokość wznoszenie się jej po nad powierzchnią wody, co mnie w radość wprawiło. Puściliśmy się zaraz brzegiem zachodnim jeziora dla obejścia go naokoło i dla dostania się do Czarnego Stawu, który się wznosi w przeciwległej stronie 526 stóp wyżej nad Morskiem Okiem.

Ścieżka dzika wiedzie po złomach granitu pośród kosodrzewiny, zawałają ją tu i owdzie powywracane burzą drzewa limbowe, tak że korzenie sterczą na brzegu a wierzchołki nurzają się w wodzie. Przykro było patrzeć na marnowanie ślicznych i osobliwych drzew, wiedząc, jak są poszukiwane do wyrobów i drogo płacone. Limba, rodzaj cedra, na pierwsze wejście ma pozór sosny, ale od niej piękniejsza, wydaje szyszki, z których orzeszki dobre są do jedzenia.

Zbliżając się ku południowemu brzegowi Morskiego Oka, podziwialiśmy cudowny wodospad, toczący wodę w kaskadach z dolinki po za kończystą turnią, nazwaną Mnicheim. Woda spadała znacznym strumieniem jak po deszczach.

Południowy brzeg Morskiego Oka zasypują piargi, t. j. usypiska żwirowe. powstające z kruszenia turni Mięguszowskich, które piętrzą się tu strasznie przepaścisto i niebotycznie. Im dalej szliśmy, tém bardziej rozpogadzało się, z kotliny jednak, gdzie się mieści Czarny Staw, jakby z otchłani wysuwały się chmury. Zbliżyliśmy się po całogodzinnej drodze po pod olbrzymi wał, kryjący za sobą właśnie nadmieniony Czarny Staw. Ścieżka do niego wiedzie wśród trawy, mebu, po głazach lub litęj skale opodal potoku spadającego z łoskotem i szumem

po skałach, nim ginie w masie wody Morskiego Oka. Pół godziny idąc pod górę przybyliśmy na grzbiet, gdzie w złomie granitu tkwi z żelaza ulany gruby krzyż, ufundowany na pamiątkę bytności tu Grzegorza Zieglera, biskupa tyńckiego. Naraz odsłonił nam się Czarny Staw. Zalega on znaczną przestrzeń, bo 37 mrg. 639 sąż. kwadr. w skalistej kotlinie na wysokości 4,986 stóp. Głębiny jego niezmierne przenoszą cztery razy tonie Rybiego jeziora. Wedle pomiarów Staszica Czarny Staw liczy 583 st. od powierzchni wody do dna. Zachwycił nas Czarny Staw swoją pięknnością, wszystko tu składa się w całość tworzącą uroczą harmonję. Rozmiary olbrzymie, kształty dzikie, fantastyczne, pokryte harwą mglistą, brak zieloności a na odartych skałach tkwiące brudne płyty wiecznego śniegu, pustota i cisza, lekkim szmerem potoku odpływającego do Morskiego Oka urozmaicona, wszystko to razem wzięte czyni na umyśle niezmierne wrażenie. Poi się dusza urokami przyrody a nasycić się nie może, bo się coraz nowe piękności odkrywają; takie bogactwo wdzięków dziewiczej natury zdolne wzruszyć i zachwycić nawet zobojętniałą na wszystko istotę. Pomimo to bardzo mało podróżnych zwiedza Czarny Staw, zadawalniając się poznaniem Morskiego Oka. Odkąd tratwa nadgniła, tém mniej jeszcze puszcza się osób do Czarnego Stawu, bo turystom obojętnej płci za ciężko się wydaje okręzać pieszo Morskie Oko. Dzikie turnie Rysami zwane (7,309') w krąg otaczają Czarny Staw. Od południa, zdaje mi się z wejścia, nie da się staw obejść brzegiem, bo się w wodzie spadzisto nurzają skały. Nadzwyczaj zajmującą jest

różnica wrażenia, gdy wpatrujemy się w Czarny Staw i jego otoczenie, a odwrócim się by spojrzeć po nad Morskie Oko. Wyda się ono rozkoszne, wesołe, strojne, w obec ponurego, szarym, gołym granitem otoczonego Czarnego Stawu, gdzie zdaje się wszystko zamarło, na wieki zamilkło; bojaźń jakaś niewytłómaczona ogarnia człowieka, iż korzyć się przychodzi przed wszechmocą Boga. Krzyż, godło chrześcijańskie, pamiątka ofiary Chrystusa, nie może mieć fantastyczniejszego tła nad to, jakie tworzy to właśnie miejsce.

Za naszej tu bytności ciekawem było widzieć, jak chmury, które wiatr spędział z po nad Czarnego Stawu, roztrącały się o turnie Mięgoszowieckie. Widoczna była walka w powietrzu, w dolinie Białki włóczyły się chmury w różnych kierunkach, wpędzane wiatrem poniżej szczytów w kotliny, co nas nagliło do powrotu.

Tym razem udaliśmy się wschodnim brzegiem Morskiego Oka ścieżką nieco wygodniejszą, lecz poprzerywaną licznymi wtedy ściekami deszczowemi, a w miarę zbliżania się ku ujściu Białki natrafialiśmy na coraz gorsze moczary.

Miejscami czerniła się głębia od samego brzegu, na płytszej wodzie widać było mnóstwo pływających pstrągów; zawały nam drogę powalone limby, w korzeniach sterzących tkwiły głązy razem ruszone z posady.

Przed 10 godziną byliśmy już na miejscu, zkąd wyruszyliśmy przed trzema godzinami dla obejścia Morskiego Oka; kilka chwil jeszcze zeszło nam na obejrzeniu do reszty jego wspaniałości, gdy mgła wszystko nam zakryła. Zimno wilgotne dokuczać poczęło, nadzieja powtórnego

odsłonięcia się widoku znikła, nie było już więc co dłużej robić. Rzuciwszy pożegnawcze wejrzenie na widny z pośród mgły brzeg sławnego jeziora, ruszyliśmy z powrotem, dziękczyniąc Bogu za szczególną opiekę nad nami, bo właśnie w najważniejszych chwilach odsłaniało się wszystko, co było najpożądane do widzenia, a nawet noc przeszła bez deszczu wśród słotnej pory. Udaliliśmy się najprzód do naszej koliby, gdzie przy rzeczach młody Wala spoczywał, ojciec jego zajął się przygotowaniem herbaty, bośmy tu postanowili obiad spożyć, nie wiedząc, czy w drodze znajdzie się sposobniejsze miejsce. Na wycieczkach tatrzańskich herbata jest nieoszacowanym napojem: orzeźwia po strudzeniu, ogrzewa po zziębnięciu, służy za lekarstwo przeciw następstwom z przemoknięcia, syci pragnienie najwyborniej a nie przeciąża, choćby się jej jak najwięcej piło. Przewodnik Wala jest wielkim lubownikiem herbaty a przeciwnikiem wody i ma w tym względzie słuszość, zważywszy, jak podróżni dla ochłodzenia się lub zasycenia pragnienia ciągle piją wodę, z czego łatwo można zachorować, przeziębając żołądek, a przytém na siłach się prędko opada. Jeżdżąc co rok do Tatr, sprawiłem sobie stósowny do wycieczek górskich przyrząd herbaciany. Składa on się z naczynia blaszanego ze szczelną przykrywką, z boku z łapką do zakładania rączki, w niem warzy się woda. W to naczynie dwukwartowe wchodzi drugie takie samo ze szczelną przykrywką, o tyle mniejsze, aby się jedno w drugim pomieściło, służy ono za czajnik. Do tego chowa się 4 kubki blaszane wsuwane w siebie, herbata w słoju szklanym, kawałki cukru i kilka ły-

zeczek. Taki przybór jest do noszenia lekki, wygodny, a lada gdzie roznieciwszy ogień, bardzo prędko można mieć gotową do picia herbatę. Przewodnicy tatrzańscy umieją się z tém obchodzić, sami będąc amatorami herbaty, bardzo chętnie ją przyrządzają.

Koło 11 godziny przed południem wyruszyliśmy ze wszystkiém z naszego obozowiska, udając się do Zakopanego zupełnie inną drogą, przez polanę Waksmundską. Jest to najdogodniejsza i najkrótsza droga piesza od Rybiego do Zakopanego, ale w całej swój rozciągłości nie przedstawia osobliwości tatrzańskich. Droga ku Roztoce prowadzi ciągle na dół po kamieniach, miejscami po trawniku, po okrąglakach, któremi niegdyś gorsze miejsca wyłożono dla przejazdu, ale dziś helki pogniłe pozapadały się, stercząc z dziur, a wśród nich płyną strugi, które wydostawszy się na drogę, zalewają ją, nim uchodzą do Białki. W czasie pogody na téj drodze od wschodu i południa widać piętrzące się turnie spizkie, szczególnie od ujścia doliny Białej ku Polskiemu Grzebieniowi, ale tym razem, gdyśmy tędy podążali, mgła nam wszystko zasłaniała. Spotkaliśmy kilka osób udających się do Morskiego Oka; w towarzystwie tém była panna S. z Warszawy. Żalowaliśmy ich, wiedząc, jaki ich zawód spotka, a tém bardziej, gdyśmy się dowiedzieli, że siostra panny S. z swym ojcem udała się przez Roztokę ku Siklawie i do Pięciu Stawów z przewodnikiem. Musieli oni wyżyć biedy co się zowie, sądząc z tego, co nas spotkało o tym samym czasie na wygodnej drodze i to w powrocie już do chaty. Deszcz zaczął kropić i z daleka doleciał nas grzmot; w takiej porze

pożegnaliśmy towarzystwo spotkane, życząc im szczerze pogody.

Przyspieszyliśmy kroków, bo nas to nie męczyło, idąc ciągle na dół aż do Roztoki. Tu od szalaśców przybiegł syn gospodarza, u którego mieszkaliśmy w Zakopanem; przybył tu wioząc podróżnych ku Rybiemu. Od niego dowiedzieliśmy się o niepokoju rodziny naszej pozostawionej w chacie, bo troszczono się bardzo o nas z powodu zaszłej burzy i słoty. Deszcz się wzmagał, z trudnością przyszło nam przebywać rozlane wody koło potoku, z wielkim hałasem płynącego z Roztoki do Białki. Ledwieśmy go po dziurawym moście przeszli, deszcz się zamienił w ulwę. Gdy nas świerki od deszczu przestały chronić, żałując czasu na wyczekiwanie, puściliśmy się dalej. Minęliśmy polany po zejściu z drogi jezdnej, dążąc w górę podnóżem Wołoszyna. Gdy każda gałąź, przesycona wodą, za najmniejszym trąceniem moczyła nas nielitościwie, staraliśmy się ich unikać, lecz nadaremnie, bo dróżyny ciasne gęsto są zarośnięte drzewami i krzewami. Odzież nam ciążyła coraz bardziej w miarę większego moknienia, szliśmy jak w łaźni, bo z powodu grubego okrycia i drogi dość bystro wiodącej w górę pot nas oblewał. Dał nam się we znaki nieznośny Wołoszyn, bo dwie godziny minęły od wyjścia z Roztoki, nim dosięgliśmy jego grzbietu schodzącego ku Białce. Deszcz ustał, dla odpoczynku weszliśmy do pustej szopy na polanie Wołoszyna, bo w drodze niepodobieństwem było usiąść dla wilgoci.

W czasie spinania się pod górę wśród ciągłej mgły, na rozwartém miejscu ukazały nam się wśród chmur

wierzchołki szczytów Spizkich jakby nadpowietrzne góry. Ujrzeliśmy Gierlacha, najwyższy szczyt w Tatrach (8,414'), dalej poszczerbiony grzbiet Polskiego Grzebienia (6,933'), wierchy Zimnej Wody (6,595'), Lodowy Szczyt (8,324') i okoliczne turnie. Było to cudowne zjawisko, lecz trwało krótko, gdyż zaraz zasunęły je chmury mgłą i znowu nic nawet na kilkanaście kroków nie było widać.

Do doliny Waksmundskiej przyszło schodzić na dół po olbrzymich kępach mchu i borowin, wśród gęstych krzewów; mnóstwo poziomek i borówek nęciło do zbierania, pożywaliśmy te dary Boże, w których niedźwiedź również smakuje; ale czas nagle, więc rwaliśmy gałązki i idąc obieraliśmy do jedzenia jagody. Przybywszy nad potok Waksmundski, napróżno szukaliśmy przejścia dogodnego po wystających z wody kamieniach, bo po deszczu znacznie więcej wody przybyło, wyżej sterczące głazy, oblewane rozpryskującą się wodą, nie dawały więc pewnej podstawy a przytém do skoków mieliśmy za duże odstępy; nie było zatém innej rady jak puścić się w bród i to jeszcze odszukując mniej pod wodą zanurzonych kamieni. Po takiej przeprawie znowu trzeba było iść pod górę podnóżem Wielkiej Koszystej. Z pewnością niejednemu już podróżnemu w Tatrach przydarzyło się to z obuwiem, co nas spotkało. Przez wydarte dziury woda przepływać miała, a kamienie, korzenie i gałęzie suche raniły nam ciało. Chociażby bowiem kto buty miał z najpyszniejszej skóry, po przejściu takiej drogi, jaką jest przez Zawrat do Morskiego Oka, w czasie słoty, gdzie się brnie przez potoki, pośród dzikich zarośli po suchych paty-

kach, a potem wysusza się je przy ogniu, — jakieżżę pociechy z nich spodziewać się można na drugi dzień? Trzeba mieć sznurki przy sobie, aby nimi obuwie wiązać, gdy po kilkogodzinnym marszu pękną, i stąpać z wszelką ostrożnością, by nóg nie poranić.

Po 3 godzinie zdążyliśmy na polanę Waksmundską wśród dotkliwie ziębiącej mgły. Nie chciało nam się zaprzętać gotowaniem herbaty, gdy nas tylko kilka godzin drogi dzieliło od chaty; zażądaliśmy mleka, dano nam takiego, jakie mieli wówczas, na pół słodkie, na pół kwaśne, więc nie było z niego pociechy, ale zapłacić za nie kazali sobie porządnie, bo z kogóż to zedrzyć jeżeli nie z gości? Jużto pod tym względem rzadko znaleźć uczciwość po szałasach; zdarzało mnie się jednak w niektórych miejscach spotkać osadę szałasową, co się z gościami sumiennie obchodziła i to zwykle przywiązuje się tradycyjnie do miejscowości. Wielu z gości mogło się o tém przekonać na hali Pyszniańskiej, na Miętusiańskiej, Gąsienicowej i na mniej uczęszczanych miejscach, jaka tam gościnnność, serdeczność w obec chciwości bezwstydną w szałasach zajmowanych przez Białczan na Łysój, u Pięciu Stawów, u Morskiego Oka, to znów w Strażyskach i innych miejscach gospodarzy zakopiańskich. Białczanie nawet zyskali sławę na Podtatrzu z chciwości bez granic i z braku pojęcia o moralności.

Z tą samą mgłą wyruszyliśmy z polany Waksmundskiej, z którą tu przybyliśmy, udając się lasami ku Jaszczurówce. Mając za przewodnika Wałę nie obawialiśmy się tej drogi, w razie bowiem jeźliby się pobłądziło, użyć można przeprawy niebezpiecznej i do-

kuczliwej. Całą przestrzeń od Jaszczurówki do podnóża Koszystej, gdzie jest polana Waksmundska (4,354') wynosząca 3 godziny drogi, zajmuje las ciągły, przerwany tylko w kilku miejscach małemi polankami, potokami płynącemi z doliny Pańszczycy i Gąsienicowych Stawów. Dróżyn krzyżuje się dużo, co naturalnie sprzyja zbłądzeniu; miejscami nie ma ani śladu ścieżki, brnie się więc po mchach i borowinach, nie nie widząc na około oprócz nieba nad sobą, jeśli go jeszcze gałęzie nie zasłonią. Przydarzyło mi się już dwa razy, że tędy wraz z całym towarzystwem mojem wiódł innie przewodnik nie obeznany dobrze z tą drogą. Przebywszy szczęśliwie tę przestrzeń dziękowaliśmy Bogu, że się skończyło na lekkich tylko pokaleczeniach i na potarganiu odzieży. Z każdego drzewa sterczały suche gałęzie jak kolki ostro zastrugane, grożące wykłuciem oczów lub zranieniem twarzy, dla zabezpieczenia więc musieliśmy trzymać ręce wzniesione łokciem do góry; podczas tego przychodziło brnąć po powierzchni wielkich mchów, korzeni drzew, zapadając się często głęboko, przyczem bardzo łatwo można było nogę złamać lub zwichnąć. Tym razem pod przewodnictwem Wali nie przyszło nam przedzierać się przez takie gąszcze i nie mieliśmy żadnych tego rodzaju kłopotów, ale jakby dla zrównoważenia biedy słota nam niezmiernie dokuczyla.

Zaledwie zeszlismy z drogi jezdnej, co wiedzie z polany Waksmundskiej do wsi Zacicbłego, zaczął padać deszcz, który wkrótce zamienił się w ulewę. Potok Sucha Woda szumiał wezbrany, przeszliśmy go z trudnością w bród, utrzymując równowagę kijami. Dróżynami

wśród lasu płynęła woda jak potoki, z każdego wzniesienia schodziło się na dół z obawą, aby poślizgnąwszy się nie upaść i nie namaścić się błotem. Przemokliśmy najzupełniej do suchej nitki, woda z sukien naszych ściekała jak z rynien, kapelusze przemokłe przepuszczały wodę, że ciekła po głowie, po twarzy, za kołnierz, gdzie jej dogodniej było. Wala uczuwał coraz większe ciężenie guni, bo się wodą przesycała. Pojmie nasze położenie ten, komu przypadło kiedy iść półtrzeciej godziny wśród ciągłej ulewy i to po górzystej drodze i lesistej, a jednak nadzieja rychłego oswobodzenia się od tych dolegliwości ożywia nas, że wśród żartów mijał czas znośnie. Koło 6 godziny usłyszeliśmy szum potoku, który obraca tartak w Jaszczurówce, poczem zaraz wyszliśmy z lasu. W kilka minut znaleźliśmy się pod dachem tamtejszej karczmy, gdzie nas wielka spotkała niespodzianka. Żona moja, z siostrą pozostała w Zakopanem, przewidując nasz oplakany stan wśród śloty, najeła podwodę, zabrała bieliznę i odzież świeżą, parasole i derki do okrycia i przybyła przed nami do Jaszczurówki. Cóż to za radość była dla nas naraz powitać rodzinę, znaleźć schronienie i suche ubranie! Przebrawszy się w gościnniej izbie zupełnie na nowo od stóp do głowy, posileni na duchu i ciele wsiedliśmy na wóz i ruszyli ku domowi przy największym zadowoleniu i najlepszym humorze. Droga, którąśmy jechali, jest niegodziwa, kamienista, tak że w innym razie nie zniósłbym podobnej jazdy, przeuosząc pochód pieszo; wówczas wydała się nam lepszą, zwłaszcza minąwszy kuźnice. W Zakopanem przejeżdżając koło chat zamieszkałych

przez gości, znajomi witali nas z pożalowaniem, sądząc, żeśmy nic z całej wyprawy nie widzieli a naużyli się biedy do sytu. W końcu powitali nas nasi gospodarze, również skłopotani naszym losem. Wieczór w chacie zszedł wesoło na opowiadaniu przygód, doznanych w naszej awanturniczéj wycieczce.



Muszyna.

Zwyczaj tłumnych wędrówek do kąpiel z nastaniem lata o tyle nie może w sobie zawierać nic zdróżnego, o ile dotyczy zdrojowisk krajowych, owszém, podróżomanja ta pociąga za sobą tak moralne jak i materialne korzyści dla kraju. Mam tu na myśli ową gwarliwą rzeszę naszej publiczności, której jedni, mając trochę grosza w kieszeni, do woli czasu, pod wpływem gorętszej temperatury szukają u wód rozrywki; drudzy znów uciekają od kłopotów domowych, goniąc za swobodą, jak i ludzie pracy, co pragną odetchnienia, odświeżenia władz umysłowych po trudach naukowych. Prawdziwie chorzy, potrzebujący pomocy wód mineralnych, tworzą zaledwie dziesiątą część wszystkich corocznych gości kąpielowych. Natura ludzka lubi nowość, dla tego tak skorzy jesteśmy do podróży; ale chęć do podróży przechodzi w nałóg i dla tego nie ma się co dziwić, że kto raz zaczerpnął zdrojów ożywczych, tak do nich potem zawsze ciągnie.

Korzyści materialne z wycieczek naszych do kąpiel swojskich polegają na ohrocie pieniężnym, który wpływa znacznie na ożywienie handlu i przemysłu krajowego; korzyści zaś moralne na w zbliżaniu się do siebie i zje-

dnoczeniu rodaków zaborczemi kordonami podzielonych. Zaciera się przez to choć w części prowincjonalizm, a mieszkańcom Kongresówki, Litwy i Rusi z zaboru moskiewskiego nastęcza się sposobność pozyskania paszportu i odetchnięcia swobodą umysłową, jaką się cieszymy obecnie pod rządem austriackim.

Z nadejściem lata Kraków roi się tłumem gości kąpielowych jako punkt zborny dla udających się do Szczawnic, Krynicy, Żegiestowa, Iwonicza, Rabki albo w Tatry do Zakopanego. Z stroju, z akcentu mowy, sposobu wyrażania się, z ruchu i różnych zewnętrznych oznak poznajemy się nawzajem, omyłki bywają rzadkie. Ziemia nasza szeroka i długa a tém samém pod różnemi wpływami nabierają jój dzieci różnych znamion złych i dobrych, jak się zdarzy, chociaż nam jedna myśl przewodniczy.

Drogi do karpackich zdrojowisk nie są jeszcze tak utarte, aby się do nich dostawać można bez kłopotów i dużo jeszcze wody upłynie, nim dorównamy w tym względzie kąpielom zagranicznym; lecz godzi się nam to i owo wybaczyć, zważywszy, że z stuletniego blisko letargu pod batem biurokracji niemieckiej, jeszcze się Galicja zupełnie nie ocknęła, bo ją konstytucyjna swoboda do życia przed kilku dopiéro laty pobudziła. Pokolenie, które niespodziewanie znalazło się u steru kraju, urodziło się i wychowało w szkole germanizacyjnej, przesładowane za najmniejszy objaw wolnomysłny i patrijotyczny, i dla tego, czego się tknąć w Galicji, to chroma. I tak gdy jedziemy do kąpiel, to po złych drogach, ale co krok mytem i żydem ozdobionych; mosty, jeżeli gdzie

stoją, to na Bożej łasce; gdy nas noc zaskoczy, zajazdy stereotypowo żydowskie, brudne, nędzne, chłodne i głodne; ale też za to wycieczki nasze fantastyczne, pełne przygód zwykle komicznych (rzadko dramatycznych), i ztąd jest co potem opowiadać, bo się trudy podróży w Karpaty nie ograniczają na kupieniu biletu w kasie jednego dworca kolei a oddaniu go na drugim, po przybyciu do miejsca swego przeznaczenia.

Minionego roku (1871) wypadło mi towarzyszyć rodzinie w drodze do Żegiestowa. Zdrojowisko to żelaziste leży prawie na samym krańcu granic Polski od Węgier; mówiąc „krańcu“, nie wyrzekamy się ziemi Spiskiej, która nam się z prawa i urzędu należy. Gdyby były drogi w Galicji jak się należy, jechałoby się do Żegiestowa mil 18 na Stary Sącz i Piwniczną; lecz że nie ma ludzi, coby dobrowolnie chcieli karki łamać tamtędy po nad Popradem po za Piwniczną, więc trzeba kołować mil 21 na Krynicy i Mnszynę. Kto nie ma swojej t. j. dla siebie wyłącznie wynajętej podwozy z Krakowa do Żegiestowa, temu pozostaje żelazna kolój do Bochni, ztamtąd poczta do Krynicy, następnie Iurmanka góralska na samo zamierzone miejsce; że zaś austriackie poczty w Galicji nie uwzględniają potrzeb ludności lecz swoje przepisy, zatem chociażby kto najmocniej chciał jechać dyliżansem, jeżeli zawczasu sobie miejsca nie zamówi, może sobie i tydzień czekać aż kolój na niego przyjdzie, bo poczta codziem w nocy tylko siedm osób w dwóch powozach odwozi z Bochni do Krynicy. Można sobie więc wyobrazić trudność u nas podróżowania pocztą w porze kąpielnej na linjach prowadzących do zdrojowisk.

A zatem zwykli goście po zamówieniu sobie miejsc w dylizansie, oczekiwac w Krakowie dnia odjazdu poczty z Bochni; tak i mnie przyszło uczynić. Zamówiłem sobie miejsce w poczcie na trzy dni naprzód a dopiero piątego je otrzymałem. Wieczornym pociągiem kolei żelaznej 19 lipca wyjechawszy z Krakowa, po godzinie jazdy, koło 11 w nocy, konduktor drzwiczki naszego przedziału w wagonie otworzył obwołując Bochnią i „5 minut zatrzymania.“ Zaledwo był czas wysiąść, o przeniesienie rzeczy się postarać, gdy maszyna zaświstała, pociąg sunął ku Lwowu, powierzając nas już odtąd sile koni.

Z dworca kolei w Bochni do urzędu pocztowego kawał drogi; dla przewiezienia tam gości znalazło się dosyć kandydatów pejsatych i niepejsatych, z biczyskami jak z berlami w rękach, a jeden nad drugiego usiłował głośniej i dobitniej zachwalać swoją dryndulę różnego kalibru. Z tych niektórych jako uczciwszych przedstawił nam posługacz kolejny i tym siebie i swoje kufry powierzwszy, jechaliśmy w ciemnościach nocy to pod górę, to jakiemiś zakrętami ulicznymi, aż nam się ukazał w dziedzińcu jakiś domek z latarnią a przed nim wozy pocztowe. Głucho tam było i cicho; za naszym przybyciem ożywił się ten zakątek najprzód targiem o zapłatę z naszymi dorożkarzami, bo nam sobie kazali za swoją usługę porządnie drogo zapłacić.

Mały pokoik gościnny i sień zajęliśmy w oczekiwaniu rychłego odjazdu poczty; tymczasem minęła północ, potem jeszcze godzina cała, nim rzeczy nam odważono; na dziedzińcu z największą flegmą uwijało się kilku ludzi, krzątających się koło powozów, następnie

zawezwano nas przed kasę dla opłacenia każdego funta naszych bagaży, aż w końcu konduktor według numerów na biletach pousadzał nas wszystkich na przynależnych miejscach i po pół do 2 godz. w nocy ruszyliśmy w drogę. Zwykły turkot powozu i jednostajność nocnej jazdy przerywał nam czasem pocztyljon wytrębujący przy spotykaniu jadących po gościńcu lub przed rogatkami dla wcześniejszego zbudzenia poborcy myta, aby tak zwany ślaban otworzył.

Towarzystwo w moim wozie, w śnie pogrążone, ani wiedziało, kiedy słońce weszło i oświeciło pięknie okolice górzystą. Właśnie zjeżdżaliśmy z grzbietu gór, po nad dolinę Łososiny; dość obszerny widnokrąg się przed nami roztaczał, mgła poranna zalegała niziny, ruch na gościńcu się wzmaczał, aż wjechaliśmy do Linanowój. Po za miasteczkiem jest stacja pocztowa, która nas tyle interesowała, że nam konie odmieniono i kawy mogliśmy się napić. Odtąd drogę coraz więcej urozmaicała nam ładna okolica z widokiem na Tatry siniejące w dali; dolina Dunajca czarownie słońcem oświecona zachwycała nasze oczy, a wśród niej z pomiędzy zarośli, drzew i wiosek okolicznych wznosiły się szczyty budynków Nowego Sącza. Wjazdu do miasta strzeże zamek nad brzegiem Dunajca, sterczący tuż za mostem drewnianym, naprzeciw niego jest urząd pocztowy. Jest tu jednak tyle tylko czasu wolnego jadąc pocztą, aby obiad zjeść; kto by chciał zaś choć pobieżnie zwiedzić miejscowość, winien mieć swoją podwodę, i dla tego i nam nie udało się ani trochę rozpatrzeć się po mieście.

Przesunęliśmy się przez rynek Nowego Sącza, po-

tém przez ulicę, zwróciliśmy się w lewo z gościńca Starosądzkiego i koło Nowojowój doliną Kamienicy wśród letniego skwaru przybyliśmy do Łabowój, gdzie przeprząc koni i naturalnie łapowe dla opuszczającego nas już trzeciego z rzędu pocztyljona w tój drodze z Bochni do Krynicy. Następnie droga się spina w górę, okolica jest lesista, na szczycie grzbiotu drogi się krzyżują, ztąd miejsce to zwie się Krzyżówką; wprost na południe zjeżdża się na dół ku Krynicy, nieco na wschód druga droga prowadzi przez Tylicz na Bardyjów do Węgier.

Jadąc tak, jak to mówią, „z pieca na łeb“, z Krzyżówki napotyka się najprzód Slotwinę jakby przedmieście Krynicy, z nowo założonemi plantacjami; spostrześliśmy tu pierwsze gromadki spacerujących gości kąpielowych. W końcu, na brukowanym dziedzińcu poczty krynickiej wysadzono nas z powozów, kufry i tłumoki pozrzucono na ziemię i zostawiono nas własnemu przemyślowi dla dostania się do odległego ztąd jeszcze 3½ mili Żegiestowa. Zdarzyło mi się szczęśliwie, że wśród spostrzeżonych najprzód osób w Krynicy spotkał znajomego mi doktora medycyny p. B. z Krakowa, dobrze obznajmionego z miejscowemi stósunkami; wiedział on komu i kogo polecić, coby nam pożądanój furmanki do dalszój drogi dostarczył. Nadzieja wynagrodzenia czyni ludzi chętnymi do usługi, to téż wnet strażnik publicznego bezpieczeństwa przywiódł nam furmana z końmi, znanego z poczciwości i wesołości w Krynicy, zwanego Petrykiem, zamiast Piotrkiem, bo to wieś ruska a wkrótce ma zostać miasteczkiem.

Krynica, najwięcej z naszych zdrojowisk zbliżająca

się swoim urządzeniem do zagranicznych kąpiel, może ściągać corocznie do siebie roje gości szukających czy zdrowia, czy odetchnienia świeżym powietrzem czy zabawy, a jednak na pierwsze wejście w gromadkach osób siedzących po ławkach, na chodnikach, przed domami czy przechadzających się czuć jakieś znudzenie, znać, ilu tu każdy ma czasu do zbytku. Po czytającym gazetę poznać, że ją przeczyta od deski do deski, aby tylko zabić trochę tak innym drogiego czasu. Najspodobniejsze to pole u wód do zawiązywania znajomości i stosunków, z których nieraz zbierają się owoce. Gdybyśmy tylko kiedy mogli się pozbyć przestarzałych form etykiety, wieleby nam z tem lepiej było. Koteryjność, która nas swobody pozbawia, dzieli nas na kółka i kółeczka, do czego pobudką bywa nietylko kastowość naszego społeczeństwa, ale i próżność i chęć się ze znaczenia lub z zamożności, często nawet sztucznie podtrzymywanej. W tym względzie pleć piękna przoduje, bo sąsiedzi się oceniają według tonu jaki sobie kto nadać umie, a sąsiadki według ilości i jakości sukien i różnych drobiazgów.

Nie było chwili do stracenia; zaledwie pobieżnie mogliśmy się obejrzeć po Krynicy, zaczerpnąć zdroju i dalej w drogę; była zaś już 4 godz. z południa. Petryk zaciął konie, zrobiwszy krzyż przed niemi, wózek się z nami potoczył szybko wzdłuż szeregu domów zdrojowych, koło łazienek, restauracji, potem dalej koło starej cerkwi. Nowy kościół unicki widać było z pośród rusztowań, bo dotąd nie skończony. Początek Krynicy sięga r. 1547, gdy biskup krakowski, Samuel Maciejko-

wski, dał pozwolenie Dankowi z Tylicza założenia sołectwa wołoskiego (ruskiego) na dwóch łanach lasu sołownego, który miał wykarczować ¹⁾.

Ujchawszy przeszło pół mili, przybyliśmy do doliny nad strumień Muszyną zwany; domostwa tu naokoło rozsiadłe tworzą wieś Powroźnik z swoją cerkiewką. Założycielem téj wsi jest Łazarz Worchacz, któremu jako swemu poddanemu Filip Padniewski, biskup krakowski, dał pozwolenie r. 1567 osadzić sołectwo na prawie wołoskiem w lasach między Muszyną nad potokiem Powroźnikiem, od którego osada nazwę przyjęła ²⁾.

Spotykaliśmy po drodze dużo ludu wiejskiego, wiodącego bydło z jarmarku w Tyliczu; widnokrag na około zamykały góry lesiste, zwierające się po nad starożytném miasteczkiem Muszyną, które już z dala widać było. Kościół i probostwo jest tu łacińskie wśród unickich cerkwi w całej okolicy. Jest podanie piśmienne, iż w Muszynie w XIV już wieku stał kościółek św. Marji Magdaleny pod zamkiem nad brzegiem Popradu ³⁾; dzisiejszy zaś kościół murowany, w stylu barocco, zbudowano r. 1676; akt jego erekcyjny i dotacyjny wydał r. 1659 Andrzej Trzebicki, biskup krakowski, a oraz darował mu organy i relikwiarz ⁴⁾; jednak dopiero roku 1749 poświęcał go Andrzej Stanisław Kostka Załuski

¹⁾ Morawski. Sądeczyzna, tom II, str. 396, wyciąg z zbioru przywilejów miasta Muszyny.

²⁾ I. Łepkowski. Cerkwie i osady ruskie w Sandeckiem. Kalendarz Wildta na r. 1862.

³⁾ Cerkwie i osady ruakie. Łepkowaki.

⁴⁾ K. Hozowski. Żywot Andrzeja Trzebickiego, bisk. krak. Szkie z podróży w Tatry.

biskup krakowski. Obudwóch tych biskupów portrety olejne w pół figury malowane, wiszą w kościele: nad drzwiami do zakrystji Trzebieckiego, a na przeciwnj ścianie presbiterjum Załuskiego. W wielkim ołtarzu jest nowy obraz św. Józefa Oblubieńca, patrona tutejszego kościoła, przezenmie w r. 1869 malowany.

Ten to biskup Załuski sprowadził pierwszy ziemniaki do Polski. Był o to z początku halas po ambonach, gdy po dworach zabierały ziemniaki miejsce zbożu snopowemu⁵⁾. Poprzedni kościół w Muszynie był drewniany, skoro Trzebiecki biskup zachęcił do wybudowania murowanego (Żywot Trzebieckiego. Hoszowski), i tamtego to dotyczą przywileje biskupie, między innymi Gembickiego Piotra, potwierdzające nadane mu od poprzedników sołectwo Wierzhomla (Cerkwie i osady ruskie. Żepkowski) z r. 1649.

Pierwszą wiadomość o Muszynie posiadamy z roku 1209, z przywileju Andrzeja II, króla węgierskiego, nadającego prawo pobierania myta niejakiemu Dymitrowi z Raszki w Nowj wsi w żupaństwie Szaryjskiem. Przy oznaczeniu granicy zakresu czynności owego Dymitra jest wyrażone „do rzeki Popradu naprzeciw Muszyny“, (versus Muschina)⁶⁾.

Z czasów około r. 1246 jest wzmianka o Muszynie w testamencie niejakego Wydźgi, co z polskiego szlachcica

⁵⁾ X. L. Łętowski. Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich.

⁶⁾ Z kodeksu dyplom. węg. Fejera podaje dokument Dr. E. Janota w Zapiskach o zaludnieniu dolin Dunajca i Popradu na Spiżu.

przedzierzgnął się w Krzyżaka. Długosz kronikarz pisze⁷⁾, że był w Polsce pewien wielki pan (quidam satrapa) Piotr Wydźga, szlachcic herbu i z domn Janina, który posiadał wiele włości, ogromny majątek i trzy zamki, Czorsztyn, Rytro i Lemiaż (Lyemyasz); że odkrył kopalnie złota w górach dzielących Polskę od Węgier i tém się z bogacił. Lecz skarbu swego nie zostawił swój ojczyźnie, bo „bezbożną i macoszą pałający nienawiścią dla Polski, swój ojczyzny, która go na świat wydała, żywiła i wychowała.“ Wywiózł złoto w drewnianych naczyniach, wśród stósów drzewa ukrywając je, jakoby spiż i żelazo prowadzone z Węgier, Dunajcem do Opatowca, z tamtąd Wisłą spławił do Prus i Zakon krzyżacki niém obdarzył. Tenże sam Wydźga, szlachcic ziemi krakowskiej⁸⁾, „kiedy głód okropny uciskał ziemię chełmińską, pomorską i pruską tak dalece, że wielu Krzyżaków ginęło w nędzy, postanowiwszy przyjąć szatę krzyżacką, posłał Wisłą aż pod Toruń trzy statki wielkie naładowane winem, miodem, pszenicą, żytem, słoniną, masłem i wszelaką żywnością; łądem zaś trzysta sztuk bydła, jako to: wołów, krów, koni i innego dobytku, co było darem wielce pożądanym dla ludzi ginących z głodu. Sam potem przybywszy, wstąpił do Zakonu, wdzięcznie od niego przyjęty, i trwał w nim chwalebnie aż do śmierci. Sprowadził z sobą wtedy i złota skarh wielki, które brał w górach polskich ku węgierskiej stronie i po

⁷⁾ Liber beneficiorum. Tom III, str. 353.

⁸⁾ Dziejów polskich ksiąg 12 J. Długosza, r. 1246.

za wsią Łączkiem położonych; wszystek ten skarb Zakonowi darował.“

Gorącą miłością ojczyzny swój wiedziony Długosz, nie może darować owemu Wydzźdze, że w Polsce zebrany majątek dał cudzoziemcom (co dzisiaj za cnotę uchodzi, byle bodaj ostatni grosz szedł do Rzymu) i aby choć w części stratę tę powetować, z roczników krzyżackich podaje do publicznej wiadomości opis drogi, którą trzeba iść w Karpaty, aby znaleźć złoto. Wskazówka ta powiada, że z Krakowa trzeba się pytać o Stary Sącz, potem iść przez wieś Barczyce do Rytra, to znów wspomina między innymi miejscowścianu o Tylmanowej, o Krościenku, o Szczawnicy Wielkiej, w końcu mówi: „tedy blisko Muszyny, między wsiami Mylik i Szczawnik, powiadają, że się znajduje dużo złota“⁹⁾.

Mieli ci Wydzźgowie wielkie nabożeństwo do zakonników, skoro jeden z nich, kasztelan sądecki, mający brata Gytona a syna Wojysława, braciom grobu świętego t. j. Miechowitom część swój ojcowizny, Łączko, „ku zbawieniu swój duszy wieczyście odstępuje“; Bolesław Wstydlivy przywilejem z r. 1251 zezwolił na tę darowiznę, „uwzględniając wierne względem nas (Bolesława Wstydliwego) zasługi“¹⁰⁾.

Muszyna była początkiem do utworzenia się zbieraniem czasu tak zwanój Biskupczyzny, części majątku biskupów krakowskich, w czasie rozbioru Polski liczącej

⁹⁾ Item prope Musszynam, inter villas Mylik et Szczawnik, dicitur, multum auri esse.

¹⁰⁾ Sądeczczyzna. Morawski, t. I, str. 118; autor tego dzieła twierdzi, że ów Piotr Wydzźga zbudował Czorsztyn.

33 wsi. Roku bowiem 1288 Wysz, scholastyk katedralny krakowski, dwie swoje wsie Muszynę i Świnarsko¹¹⁾ w ziemi sądeckiej przekazał testamentem na własność biskupów krakowskich, co w obecności panującego Leszka Czarnego krewni Wysza stwierdzili¹²⁾. Około téj darowizny pierwotnej powstawały ciągle nowe włości, osadzone przez biskupów krakowskich, lub za ich pozwoleniem zakładane osady.

Wkrótce po téj fundacji wyszowskiej przyczynił się do powiększenia w téj stronie dóbr biskupa krakowskiego Wacław, pod imieniem Władysława król węgierski, nadając Janowi Muskacie, biskupowi krakowskiemu, w nagrodę zasług świadczonych ojcu jego Wacławowi, królowi Polski i Czech, zamek Pławiec (Ploche) z okolicami przynależnemi i wszelkimi doń przypadającymi prawami dla niego i jego następców¹³⁾. Kazimierz Wielki nadał różne przywileje Muszynie¹⁴⁾, które zatwierdza i nowe przydaje Władysław Jagiełło w sobotę po św. Piotrze roku 1391.

Coby zaś znaczył przywilój Władysława Jagiełły

¹¹⁾ Dwie są wsie téj nazwy w powiecie sandeckim: Świnarsko większe, własność bisk. krakow., i Świnarsko mniejsze, które należało do Panien klasztoru sądeckiego. Liber benef. Dingosz, t. I, str. 560.

¹²⁾ Dokument oryginalny posiada kapituła krakowska; podany jest przez K. Hoszowskiego w Żywocie Jana Muskaty, biskupa krakowskiego.

¹³⁾ Przywilój w Archiwum kapit. krakow. podany przez K. Hoszowskiego w Żywocie Muskaty.

¹⁴⁾ Katalog bisk. krakow. X. L. Łętowski, t. I, str. 306.

z r. 1391, przez kilku autorów cytowany¹⁵⁾, nadający niby na fundusz kościoła krakowskiego zamek Muszyński i wieś pod nim położoną Powroźnik, wartoby głębszego zbadania, jest to bowiem albo przywilój sfałszowany albo fałszywie odczytany, zważywszy, że król Jagiełło nie mógł tego dawać r. 1391 biskupowi Janowi Radlicy, co już było od przeszło stu lat własnością biskupią.

Dalszą wiadomość o Muszynie napotyka się pod r. 1410, gdy król węgierski Zygmunt, sprzymierzony potajemnie z Krzyżakami przeciw Polsce, chcąc Jagiełłę od wojny w Prusiech odciągnąć, posłał Ścibora ze Ściborzyc, wojewodę siedmiogrodzkiego, na czele 12 chorągwi z Czechów, Morawców i Austrjaków (Węgrzy bowiem, pomni na zawarte przymierze z Polakami, nie dali się do wojny namówić ani przymusić), na pustoszenie Podgórze. Przez Sromowce wtargnęli w granice Polski właśnie, kiedy rycerstwo polskie strzegące Nowego Sącza, sprykrzywszy sobie długą bezczynność, rozbiegło się do domów. Najpierw więc Stary Sącz, Nowego zaś przedmieścia i przyległe włości złupił Ścibor i podpalił, potem spiesznym pochodem ruszył do Węgier przez rzekę Poprad, dążąc ku Muszynie drogą górzystą i niesposobną. Lecz tę hordę łupieżką króla węgierskiego Polacy dopadli pod Bardyjowem i ze szczętem porazili¹⁶⁾.

W r. 1473, gdy król Kazimierz Jagiellończyk odprawiał zjazd w Wiślicy, Maciej, król węgierski, uieprzy-

¹⁵⁾ J Łepkowski. X. L. Łętowski. Szcz. Morawski.

¹⁶⁾ Dzieje polskie Długosza. Kronika Kromera, str. 817.

jazny Polsce dla tego, że mu królewicz polski o mało tronu nie zabrał, pod pozorem ścigania Acefalów t. j. resztek żołnierzy krzyżackich, co się „bracią“ zwali, puścił w Podgórze polskie 6 tysięcy wojska pod wodzą Tomasza Farzega, obsadziwszy lasy, Węgry od Polski dzielące, obroną, kędyby bezpieczny jego ludzie mogli mieć odwrót¹⁷⁾. „A tak Węgrowie hurmem wysypawszy się, ogniem i żelazem majątności niszczyli. Żmigród, miasteczko, w nocy drabiny przystawiwszy, ubiegli; zamek zaś strzelbą potłukwszy, przez poddanie wzięli i nowemi przybłankami ku temu wałami obmocnili. Złupione są onym zabiegiem węgierskim i spalone wsi i miasteczka: Jasło, Brzostek, Kołaczyce, Frystand, Dębowiec, Dukla i Pilzno (które natenczas bogate było) i blisko 200 wsi; ztamtąd niezliczoną liczbę więźniów do Węgier uprowadzili. Zgrzybiałe zaś starce i dziateczki małuchne okrutnie ścinali.“

A miasteczko Krosno, chociaż o mały włos nie poddano go, mężnie jednak obroniło się; więc téż i zamek Golesza, opata tynieckiego, Muszyna zasię biskupa krakowskiego dla niewielu broniących się za postanowieniem poddała się. „Aż wždy tymczasem polscy i węgierscy senatorowie wzajemnie posly wyprawiwszy, zjazd między sobą dla budowania pokoju postanowili.“ Zjechali się 21 Intego i pokój zawarli, na mocy którego „zamki odjęte i więźnie pozabierane z obu stron sobie pooddawano i do 3 lat spokój zawarowano“¹⁸⁾.

Lecz widać ani Żmigrodu królowi, ani Muszyny bi-

¹⁷⁾ Kronika Kromera, str. 1244.

¹⁸⁾ Kronika Kromera, str. 1246.

skupowi krakowskiemu nie zwrócili Węgrzy, skoro dopiero po upływie owych trzech lat pokoju senatorowie polscy i węgierscy, zjechawszy się r. 1477 do Stariej Wsi, przymierze między swymi królami odnowili, postanawiając: „aby Matyjasz Kazimierzowi Żmigród, a krakowskiemu biskupowi Muszynę przywrócił, a biskup zaś, aby rozbójców tam przyjmować zakazał“¹⁹⁾.

W roku 1596 Muszyna zgorzała, wtedy przywileje miasta zaginęły, lecz mieszczanie postarali się o kopję najważniejszego dla siebie dokumentu Piotra Myszkowskiego z Mirowa z r. 1589, nadającego im prawo palenia i szynkowania wódki i piwa w dobrach biskupich, stanowiącego targi, jarmarki, jatki mięsne, chlebne i inne jako też obowiązki mieszczan. Ten przywilej r. 1596 potwierdził kardynał Radziwiłł, bisk. krakow.²⁰⁾.

Roku 1647 biskup krakowski Piotr Gembicki z powodu napadów opryszków na transporta towarowe urządził sposób strzeżenia zamku i granic, nadto wskrzesił zaniedbaną milicję, „aby każdy mieszczanin dla pospolitej obrony miał muszkiet porządny i rynsztunek i na służbę, gdy potrzeba będzie, według zwyczaju dawnego pacholków każdy wyprawiał, albo gdy na służbę piechota wyjdzie, ciż w zamku wartę odprawowali lub też miasta i kościoła strzegli.“

Tegoż roku ten sam biskup Gembicki zatwierdził miastu dawne przywileje, tyjące się wyrębów, gorzelni, jatek, i dał nowe, uwalniające mieszczan od wszelkich

¹⁹⁾ Kronika Kromera, str. 1268.

²⁰⁾ Cerkwie i osady ruskie w Sandeckiem J. Łepkowski.

dauin i robocizn, prócz jednego dnia w roku do orania plugiem i czterech dni pieszych, a za to nakazujące mieć porządny rynsztunek, rusznicę, muszkiet, szablę, ładownicę, siekierkę; komornikowi zaś kosę osadzoną, chodzić na mustry co miesiąc, w czasie potrzeby do wałów i szańców dla obrony przeciw Węgom lub innym nieprzyjaciółom²¹⁾.

Władysław IV przywilejem wydanym w Warszawie r. 1647, nadał Muszynie cztery do roku jarmarki i tygodniowe targi²²⁾.

W czasie najazdu szwedzkiego za Jana Kazimierza, gdy Szwedzi całe Podgórze karpackie palili i pustoszyli, zdaje się, że nie się złego Muszynie nie stało, bo po wypędzeniu Szwedów z Nowego Sącza, skoro się znowu wieści rozeszły o zbliżaniu wroga, wysłał pan kapitan Giza (komendant Nowego Sącza po wyjściu Gerlichowskiego z piechotą spiską) posłańca do Muszyny, do pana starosty, donosząc wcześniej i prosząc o posiłki. Pan starosta muszyński co tchu przypadł na pomoc. Pan Żylicz był wtedy rotmistrzem piechoty muszyńskiej²³⁾. Wówczas to Muszynianie zwozili na swój zamek tramy, gotując się do obrony. Uczepiali je tak nad przepaścią, aby za odcięciem lub zepchnięciem toczące się w dół belki przygniatały nacierającego wroga²⁴⁾.

Z wyprawy wiedeńskiej r. 1683 wracali Polacy do

²¹⁾ Tamże.

²²⁾ Tamże.

²³⁾ Szwedzi w Nowym Sączu 1655 r. Morawski, w dodatku miesięcznym do „Czasu.“

²⁴⁾ Sądecczyzna. Morawskiego, t. 1, str. 92.

domu przez Spiż, ubijając się po drodze z stronnikami Tekielego, co z Turkami trzymali. W listopadzie już spotkali się pod Sobinowem z posiłkami ciągnącymi z Polski ku Wiedniowi, tu „z noclegu odłączył się król (Jan III) od wojska i poszedł na węgierskie miasteczko Pławiec, a hetman (Jabłonowski) ciągnął na Muszynę z wojskiem do biskupstwa krakowskiego, gdzie odprawiwszy kolo generalne wojskowe a wojskowi pobrawszy asygnacje, rozeszły się chorągwie na konsystencje. Król zaś z Pławca poszedł do Lubowni“²⁵⁾.

Po rozbiórce Polski dobra biskupie zabrał rząd austriacki i wcielił do dóbr kameralnych z siedzibą zarządu w Muszynie. Obszar biskupczyzny tworzą miejscowości: Muszyna miasto, Tylicz miasto i wsie następujące: Słotwiny, Krynica, Powroźnik, Muszynka, Wojkowa, Dubne, Leluchów, Jastrzębik, Złockie, Szczawnik, Milik, Andrzejówka, Żegiestów, Zubrzyk, Wierzchówka, Mochnacka wyższa, Mochnacka niższa, Berest, Kamiczna, Polany, Florynka, Wawrzka, Bronara niższa, Bronara wyższa, Jaskowa, Czarna, Świetnica, Stawisza, Czertyźne, Banica, Izby, Czarna, Piorunka.

Nad Popradem wznosi się za miastem Łysa góra²⁶⁾, którą z dwóch stron okrążają potoki uchodzące u jej stóp do Popradu, od wschodu muszyński strumień, a od zachodu Szczawnik. Na tej górze sterczą dziś już tylko resztki zamku muszyńskiego, jak podanie niesie, wysta-

²⁵⁾ Djarjusz wiedeńskiej okazji przez Dyakowskiego. Mrówka Poznańska, listopad r. 1821.

²⁶⁾ Rzut oka na siedziby górali karpackich, W. Pol. Dodatek tygodniowy do Gazety Lwowskiej z r. 1851.

wionego przez Berzewickich²⁷⁾. Według badań Szczęsnego Morawskiego zamek ten „broniony był od strony gór przekopem i czworoboczną wystającą wieżą kilkopiętrową, do której prowadził zwód pod jazdę i wozy.“ „Obroną tą wieżą a dalej sklepistą szyją pnąc się w górę, wjeżdżało się na pierwsze podwórze zamkowe, którego wschodnią stroną zajmował piętrowy dwór, zachodnią zaś dziedziniec z studnią, otoczony murem pojedynczym od strony przepaści, podwójnym zaś, tworzącym kryty obronny kurytarz, oddzielony od podwórza drugiego, gdzie prawdopodobnie był skład bierzmów obronnych, paszy itp. i majdan sotysiej straży nadgranicznej“²⁸⁾.

Herb Muszyny tworzy infuła na książce w polu czerwoném.

Obecnie miasteczko to liczy około 1,300 mieszkańców, ma szkołę trywialną, założoną r. 1783. Bractwo św. Józefa, r. 1690 zaprowadzone, miało swoją kaplicę murowaną, którą w r. 1813 potok muszyński zabrał²⁹⁾.

²⁷⁾ Sądęczyzna. Morawski, t. I, str. 92.

²⁸⁾ Tamże.

²⁹⁾ Schematismus dioeceseos Tarnoviensis anno 1869 podaje o Muszynie takie plotki, że się dzwicz wypada, kto i zkąd je zabrał. Fundatorem Muszyny zrobiony tam Jan Muskata, biskup krakowski, który, obrany biskupem krakow. r. 1294, do swęj śmierci r. 1320 tę godność piastował, a zatem nie mógł Muszyny, już r. 1209 istniejącej, zakładać ani jęj nazwy dawać. Dalęj Schematismns powiada, że Muszyna się wprzód Ploche nazywała, co również jest fałszem, bo Ploche lub Palocsa jest miasteczko Pławiec w szaryskim komitacie, darowane Muskacie przez Wacława, króla węgierskiego (inaczęj Władysławem zwanego) o czém było powyżęj. Kościoła tylko pierwotnego w Muszynie mógł być Muskata fundatorem, jak słusznie utrzymuje Hoszowski w żywoie tegoż bisknpa.

Żegiestów.

Minąwszy Muszynę co dopiero opisaną, dostaliśmy się w dolinę Popradu, który tu tocząc się z szumem po złomach kamieni uwodzi wody z źródeł najwyższych szczytów gór Sarmackich na podziw geologów, bo wypływając z południowej strony Tatrów, nie zdąża jednak wygodnie wprost ku Dunajowi, lecz skręca się na wschód, opuszcza południowe stoki Karpat i wśród wyniosłego pasma gór przedziera się jakby umyślnie dla połączenia się z równie dzikiem dzieckiem tatrzańskim, z Dunajcem, w dolinie między Nowym a Starym Sączem.

Droga z Muszyny do Żegiestowa ciągle się trzyma prawego brzegu Popradu, to dotykając nurtów jego spienionych, to wznosząc się na zbocza gór koryto jego ścieśniających. Pierwszą w pół mili spotkaną osadą jest Milik, w poprzecznej do Popradu dolinie rozłożony nad potokiem. Wspomniany już jest około r. 1246 w testamencie Piotra Wydźgi, szlachezca polskiego, co to został Krzyżakiem; dopiero jednak r. 1575 biskup krakowski, Franciszek Krasieński nadał sołtysom z sąsiedniej Andrzej-

jówki sołtystwo w Miliku i tutejszy kościół uposażył¹⁾. Ćwierć mili dalej jest wieś Andrzejówka, rozsiadła w dolinie nad potokiem Czarnym lub Skalikiem zwanym, wypływającym z pod góry téj samej nazwy (Skalik 2,428'). Osada ta ruska z cerkiewką istniała już r. 1352 i należała do dóbr królewskich, w niej na dziedziczne sołectwo otrzymał przywilój od króla niejaki Matyjasz Michał²⁾. Przy drodze stoi tu murowany piętrowy dom, obecnie pusty; mieścił się w nim urząd celny austriacki, gdy granicy od Węgier strzeżono dla przemysłnictwa. Odtąd droga się spina w górę, z grzbietu widok na okoliczne góry lesiste po obu brzegach Popradu, ale Żegiestowa ani dostrzedz ani się go domyślić nie można. Zapytany nasz furnian Petryk, kiedy nam się Żegiestów ukaże, wskazał nam krzyż widny na szczycie góry i odrzekł, że jak ten krzyż na około objedziemy, Żegiestów się znajdzie. Tymczasem zrobiło się pochmurno, powstał wichur silny z deszczem, który, zdawało się, że nas w przepaść z drogi zrzuci. Z grzbietu góry ujrzeliśmy z przeciwnéj strony Popradu wieś już węgierską Lipnik i skręciwszy na prawo wjechaliśmy w prześliczną, prawdziwie romantyczną okolicę.

Droga ta, znać trudem i znacznym kosztem zdobyta, miejscami podmurowana, to znów wysypana, owdzie w skale wyłamana, wije się wśród czarownego szpaleru drzew dzikich jakby w fantazji wymarzonego parku.

¹⁾ Cerkwie i osady ruskie w sandeckim. J. Łepkowski.

²⁾ Encyklopedia do krajoznawstwa Galicji; p. Antoni Schneider. Lwów, 1868.

Raz się skręca w lewo, raz w prawo, czasem odsłaniając widok na wesołością tchnące brzegi Popradu, który się gdzieś w głębi pod stopami toczy z szumem. Jakby dla większego olśnienia oka naszego ustroniem leśnym, słońce chylące się ku zachodowi wyjrzało z pośród chmur i żywością barw swoich promieni ozłociło wierzchołki drzew i szczyty gór, które się już stopami w siniej mglistej pomroce nurzały. W oddaleniu mignął się nam na wzgórzu jakiś ślad zabudowań ludzkich, co jak się później pokazało, były altaną zęgiestowską, postawioną na przecięciu się chodników tamtejszych. W końcu stanął nasz Petryk na mostku, z kąd już ujrzeliśmy domy zakładowe, i zwiastował przybycie do zamierzonego celu.

Po odszukaniu właściciela zakładu, nim urządziliśmy się z mieszkaniem, noc zapadła, a każdy spragniony spoczynku po trudach podróży rad był, że się znalazł u jój celu. Nazajutrz rano dopiero mieliśmy sposobność rozpatrzyć się po Żęgiestowie, zasięgnąć wiadomości o stósunkach miejscowych, zapłacić wstępne od osoby 3 guld. i zdążyć na obiad do sali restauracyjnej w starym domu obok źródła. Trzeba jeszcze dodać, że nie obeszło się rano bez powitania pode drzwiami pokoju przez grono muzykusów cygańskich, którzy nam i w czasie obiadu przygrywali z ganku za pobieraniem należitości w sposób dziadowski. Po przegraniu jednego lub dwóch kawałków obchodził jeden z tych brunatnych wirtuozów z talerzem w ręku gości siedzących około stołów i zbierał dobrowolne datki; swoją zaś drogą co tydzień z nakazu właściciela zakładu obchodził łaźnienny z książką

po mieszkaniach wszystkich gości dla ściągnięcia z każdego numeru 1 guld. podatku na utrzymanie muzyki. W innych kąpielach płaci się taksy 2 guld. wraz z 3 guld. wstępnego na utrzymanie muzyki przez cały czas pobytu w zakładzie i ma się już spokój od codziennych składek.

Żegiestów³⁾, zdrojowisko, z całym swoim zakładem rozsiadło się w dolince wązkiej, otoczonej zewsząd górami: z północy Skalnym Zdziarem (2,488'), od zachodu Czerszlą a od wschodu Kiczera (2,438'), środkiem toczy się Szczawny potok. Wąwóz cały jest spadzisty, że o kawałek poziomego gruntu niezmiernie trudno; zdroje mineralne tryskają na wysokości 1,450'⁴⁾ a powierzchnia Popradu przy ujściu potoku Szczawnego wznosi się na 1,340'; głębokość wąwozu nie liczy więcej nad 900 kroków, zatem na tak małej przestrzeni 110' spadek jest znaczny. Dla tego pod budynki musiano zdobywać miejsce łamiąc zbocze góry i ztąd od strony chodników wchodzi się do domów wprost na pierwsze piętro. Tylko na południowy zachód roztwiera się wąwóz żegiestowski ku Popradowi i to jego tak zasłonięte położenie ma być powodem łagodnego tutaj klimatu, chociaż w roku przeszłym porządne zimno wkradało się do mieszkań pomimo tak korzystnych warunków przeciw zmianom nagłym po-

³⁾ Pisze się Żegiestów a nie Rzegiestów, jak chcą niektórzy, bo mowa ludu jest tego wskazówką; tam, gdzie ma się pisać rz, włościanie wymawiają samo r, n. p. Andrejówka zamiast Andrzejówka.

⁴⁾ Rozbiór chemiczny wody lekarskiej żegiestowskiej przez Alex. Alexandrowicza w Roczn. Tow. Nauk. Krak. z r. 1870

wietrza, a wieher górski co się zowie, hulał sobie po Żegiestowie, jakby na około ani Kiczery, ani Czerszli nie było.

Właściwy Żegiestów, to jest wieś z swoją cerkwią, leży w następnej ku zachodowi dolinie po za Skalnym Zdziarem po nad potokiem, co wypływa z góry Pustej Wielkiej (3,342') i gubi się zaraz w Popradzie. Założycielem osady jest Hawryło Juraszek, poddany biskupi ze wsi Andrzejówki, któremu Franciszek Krasieński, biskup krakowski, przywilejem wydanym w Krakowie dnia 26 lipca 1575, pozwolił osadzić mieszkańców na pustém polu zdawna zwaném Długim Łękiem⁵⁾. Należał więc Żegiestów do biskupczyzny i wraz z nią przy rozbiorze Polski przeszedł na własność rządu i należy dziś do dóbr kameralnych klucza muszyńskiego. Górale tutejsi są obrządku unickiego, cerkiew mają pod tytułem św. Michała; ubiór ich: u mężczyzn na głowach kapelusze czarne z wielkimi wywijanemi brzegami, gunie brązowe lub białe, kamizele granatowe z guzikami świecącemi, spodnie sukienne białe obcisłe a na stopach, kierpce; kobiety zaś noszą na głowach czarne czepce z przewiązaną aksamitką czarną przez czoło, a na to przychodzi chustka, na piersiach gorsety, rękawy u koszuli obszerne, krótkie, obwiązane w środku ręki między łokciem a ramieniem, spódnice czarne, krótkie ale obszerne, na stopach trzewiki i pończochy. Fizjognomje ludu okolicznego nieprzyjemne, kobiety nawet, powiedziałbym, brzydkie.

Zdrowowisko żegiestowskie tworzy odrębną zupemnie

⁵⁾ Tamże.

od wsi osadę, zaludnioną jedynie w lecie. Szczyty gór ją otaczających użyczają wspaniałego widoku na okolice; z chodników zaś spacerowych koło altany jedynie zachwycać się można Popradem, który tu nawprost zdrojowiska krętem korytem się toczy w kształcie litery S, przez co powstały dwa półwyspy zwane Łopatami.

W tak utajoném i oddalonym a uroczém od gwarliwego świata ustroniu w r. 1846 obywatel z Muszyny p. Ignacy Medwecki poszukując rudy żelaznej, dostrzegł w Szczawnym potoku osad rdzawy i wydobywającą się wodę bełkoczącą, co go na myśl naprowadziło, że w tém miejscu tryska źródło wody niezwykłej; nabył tedy od właściciela ten kawał gruntu, na którym źródło owe było, i odprowadziwszy od niego nieco dalej strumyk, pozyskał zdroj wody leczniczej żelazistej⁶⁾. Źródło to pan Medwecki nazwał zdrojem Amny. Obok niego od dawna tryskało źródło szczawno-żelaziste, którego wodą leczyli się okoliczni mieszkańcy, więc i to ujął nowy właściciel w kadłub drewniany i nazwał zdrojem Marji. Wreszcie przy rozkopywaniu ziemi między temi dwoma źródłami pokazało się trzecie źródło, które równie ujęte w kadłub zyskało imię zdroju Antoniny, na wysokości 1450 stóp⁷⁾.

Trzy te źródła nakryte drewnianą szopą stały się zawiązkiem nowych wód mineralnych na ziemi polskiej.

⁶⁾ Źdroje lekarskie w Żegiestowie opisał dr. Fr. Z. Gogojewicz.

⁷⁾ Rozbiór chemiczny wody żegiestowskiej. Alex. Alexandrowicz.

Właściciel ich wystawił zaraz kilka domków gościunych, łazienki i odtąd chorzy poczęli szukać pomocy dla swego zdrowia u żegiestowskich zdrojów. Pierwszego ich rozbioru chemicznego dopełnił Karól Mohr, profesor chemji przy instytucie technicznym w Krakowie i ogłosił drukiem r. 1848.

Zdrój jednak Antoniny w kilkanaście lat zasypano⁶⁾, ho się pokazało, że jest tylko częścią źródła sąsiedniego. Z postępem rozgłosu o sile wód żegiestowskich wzmagala się ilość przybywających na miejsce gości i rozkup wody we flaszkach rozsyłanój; i tak w r. 1860 hawiło w Żegiestowie osób 113 używających kuracji, a 13,080 flaszek wody się rozeszło po świecie⁷⁾. W tych czasach liczba spotrzebowanych butelek wody tutejszój sięga przeszło 26 tysięcy.

W r. 1866 właściciel zakładu wezwał p. Alex. Alexandrowicza dla właściwego urządzenia zdrojów i dokonania chemicznego ich rozbioru. Przy dokładném badaniu obudwóch zdrojów Anny i Marji odkrył p. Alexandrowicz, że są to dwa upływy z jednego pochodzące źródła. Kopiając głębiej koło źródła Anny, po wybraniu okruchów skały dostano się do twardszego piaskowca a gdy się niżej jeszcze o 3 stopy zagłębiono w źródle Anny, woda z źródła Marji znikła a z łona skały poczęła wybuchać woda z gazami, kłębiując mocno, jakby się gotowała.

⁶⁾ W r. 1858 opisuje je dr. Dietl w „Uwagach nad zdrojowiskami krajowemi.“

⁷⁾ Zdroje lekarskie w Żegiestowie Dr. Fr. Z. Gogojewicz.

Po zabezpieczeniu tak zjednoczonego źródła od dopływów obcej wody, źródł mineralny okazał się silniejszym tak co do ilości jak i pierwiastków mineralnych ¹⁰⁾. Wówczas ujęto całe źródłisko w granitową cembrzynę.

Następnego roku (1867) przy rozkopywaniu ziemi na około cembrzyny dla urządzenia schodków, ułatwiających przystęp do źródła znacznie zagłębionego, poczęła się od północnej strony wydobywać wielka ilość gazów a następnie wytrysło źródło nowe, obfite, z temi samemi własnościami, co źródł cembrowany. Gdy na dalszej przestrzeni jeszcze się gwałtownie wydobywały gazy, wtedy z polecenia p. Alexandrowicza, znowu tam w październiku przybyłego, wybrano ziemię w tym miejscu, wyrąbano skałę w szerz i w dłuż, jak daleko pojawiały się źródła, i tym sposobem na przestrzeni dłużej 9 stóp a szerokiej koło 5 stóp utworzyło się ogromne wyborne źródłisko, które ujęto w oprawę kamienną z piaskowca na cementie osadzoną, z góry ubito iłem na kilka stóp grubości i z tak szczelnego zbiornika woda dostaje się do głównego zdroju otworem wykutym w granitowej cembrzynie. Odchodząca woda splywa do drugiego zbiornika 47 stóp dlużego, 6 stóp szerokiego a 3 stopy głuźbokiego, poniżej w odległości 64 kroków wybranego w ziemi, zkad się ją czerpie na kąpiele do łaźienek. Przy grzaniu wody żegiestowskiej trzeba uważać, aby ciepło nie przeszło 40° Rm., bo wtedy już następuje rozkład chemiczny. Przez dobę zdroj tutejszy dostarcza

¹⁰⁾ Rozb. chem. wody żegiestowskiej. Alexandrowicz.

¹¹⁾ Tamże.

wody 25,200 kwart polskich (na minutę 17½ kwarty). Ciepło jęj w źródle zawsze jest jednakie — 7^{me} st. Rm. 1). Nęcierpana do szklannogo naczynia bięłego ma czystość krysztalowę, pieni się i burzy mocno, a w kilka sekund boki naczynia okrywają się bańkami gazowemi. Przy dłuższém jęj zostawieniu w naczyniu tworzy się osad czerwonawy. Smak wody żęgiestowskięj jest wyborny, nader przyjemny, orzeźwiający, żelazisty i apetyt mocno pobudzający; dla tego pije ją każdy z ochotę, zdrowy czy chory jako miły napój, a na miejscu przy zdroju używają jęj goście nietylko w godzinach kuracyjnych, lecz tak przy stole jak kiedyindziej zamiast zwyczajnej wody do picia.

Rozwodzić się nad zaletami powietrza w Żęgiestowie byłoby rzeczą zbyteczną; położenie, okolica cała odosobniona od wszelkich osad ludzkich oddziaływać musi jak najkorzystniej na utrzymanie lub wzmocnienie zdrowia. Miejsca do przechadzek bliższych i dalszych nie braknie, chodniki jednak wycięte w zboczu góry Czerszli o tyle są wadliwe, że mają mało poziomu, lecz pną się w górę lub na dół, co dla osób słabych jest rzeczą męczącą. Na przecięciu się drózek u grzbietu po nad Popradem stoi altana, gdzie miło podumać przy szumie uchodzącego z loskotem strumienia.

Mieszkań liczbę stósunkowo do liczby zjeżdżających się w tych czasach do Żęgiestowa gości jest dostateczna, **leociaż** budynków w całym zdrojowisku nie doliczy się więcej jak 12, a właściwie tylko trzy domy mają postać godną swego przeznaczenia, to jest najbliższy Popradu dom parterowy zwany Karolówką, dalej wyżęj piętrowy

zwany Alojzówką i jeszcze jeden znowu wyżej Nowy, dom w ozdoby zewnętrzne najwięcej przystrojony. Ceny mieszkań, muszą przyznać z tego, com sam płacił, są tu bardzo drogie, skoro 1 guld. dziennie przypada za małeńki pokoik z kawałkiem wspólnego ganku, z widokiem zaćmionym drzewami, bez pościeli, posługi i światła, z ordynarnemi meblami.

Życie zakładu jednoczy się koło źródła, gdzie obok w domu starym mieści się restauracja a opodal łaźienki dwojakiego gatunku, z drewnianemi i metalowemi wannami. Za kąpiel w metalowej wannie płaci się 35 cent., w drewnianej 25 cent.; lecz bez drewnianych wanień mógłby się Żegiestów obyć, bo na widok tego tańszego rodzaju łaźienek odchodzi chęć do kąpieli, tak są odrażające. Szopa zacieniająca źródło tak jest także nędzna, że z powierzchowności trudno przypuścić, aby się pod jej dachem tak wielki skarb natury mieścił; a jeszcze w niej znajduje się niby kaplica, raczej ołtarzyk drzwiami zamknięty, które się otwierają na czas nabożeństwa.

Jest w Żegiestowie pyszna i ożywcza woda, bardzo zdrowe powietrze, mieszkanie, chociażby drogie, poczta listowa i pakunkowa, bardzo uprzejmy właściciel i gospodarz, miłe chociaż nieliczne towarzystwo, lekarz zdrowy, ale cóż, kiedy z wyżywieniem rozochoconego wodą żegiestowską zołądka wielka tu bieda. Musiało być tutaj inaczej w tym względzie po inne lata jak roku przeszłego, bo gdyby gościom częściej przyszło mieć do czynienia z takim restauratorem jak r. 1871, jużby się nikt więcej nie odważył jechać do Żegiestowa, zważywszy, że w takim pustkowiu, dalekiem od stałych siedzib lu-

dzi, każdy z gości zdrojowych zostaje na łasce restauratora. Dla małej ilości osób nie miałoby ich tu dwóch co robić, więc jeden restaurator, bez rywala, robi co mu się podoba; można sobie więc wyobrazić położenie gości, zwłaszcza słabych, narażonych jeszcze na grubijaństwa kuchmistrza, na które lekarstwa nie było, bo skargi na niego do właściciela zakładu zanoszone nie odnosiły żadnego skutku. Tamę takiej samowoli może tylko położyć zniesienie monopolu traktjernika, aby handel materiałami do żywienia spoczywał w innych rękach, aby pieczywa świeżego było zawsze podostatkiem, aby nabiału, wędlin, legumin i t. p. rzeczy zawsze po cenach umiarkowanych dostać można na miejscu. Przecież Zakopane, wieś u stóp Tatrów bez źródeł mineralnych, własnemu przemysłowi żydów i włościan zostawiona, posiada w porze letniej dobrą i niedrogą restaurację, kilka składów z wszelkimi przedmiotami, jakie po naszych miasteczkach handel korzenny zwykle zawiera, ma kilka piekarń i corocznie powstają nowe domy dla gości, przez górali budowane.

Życie w Żegiestowie schodzi bardzo cicho, swobodnie i to właśnie ma powab dla ludzi stroniących od zgiełku i wynogów modnego świata, niezbędnych po ludnych zdrojowiskach; dla tego też ludzie szukający zabawy i interesów przybywają tylko czasem gromadnie z Krynicy do Żegiestowa dla jego obejrzenia a po wieczorze tańczącym napowrót co tchu umykają.

W święta i niedziele zaludnia się zdrojowisko żegiestowskie wiejskim ludem, który tu wtedy przybywa dla obejrzenia gości jak rarogów.

Oprócz kąpeli w łazienkach w wodzie mineralnej używają goście kąpeli popradowych, które z powodu silnego prądu mają skutek leczniczy, podobny kąpielom morskim. W tym celu przy ujściu potoku Szczawnego po nad samym brzegiem stoi budka dla rozbierania się, lecz gdy dno Popradu głazami jest zasłane, nie ma swobody w takiej kąpeli, trzeba stać w jedném miejscu, trzymając się jakiego sterczącego złomu.

Skąła nadbrzeżna, u stóp której właśnie stoi budka dla kąpiących się w Popradzie, zowie się Krzyż, według podania, że jakiś tędy w dawnych czasach przechodzący pustelnik zachwycony pięknością okolicy i wijącego się tu Popradu, ułożył z kamieni krzyż, a ponieważ była właśnie niedziela, odprawił na tém miejscu nabożeństwo i nauczał lud zgromadzony¹²⁾.

Co do powzięcia wiadomości o składzie chemicznym wody mineralnej żegiestowskiej, jako też o przymiotach jej leczniczych, o gatunkach chorób, jakich się ludzie pozbywają z pomocą zdroju tutejszego, odsyłam ciekawych do specjalnych w tym względzie rozpraw Al. Alexandrowicza, dr. J. Dietla, dr. F. Z. Gogojewicza, dr. F. S. Skobla, dr. Wł. Ściborowskiego, drukowanych w Rocznikach Tow. Nauk. Krakow. lub wydawanych jako osobne dziełka.

¹²⁾ * Sądecczyzna. Morawski. Tom I, str. 35.

POMYŁKI W DRUKU.



Str. wiersz	zamiast	powinno być
32 8	od góry Waag	Wag.
53 3	od dołu Geslajda.	Galejda.
99	w środku Kiczmark	Kiezmark.
120 5	od góry Raszkowej	Raczkowej.
128 4	od dołu Kałatówki	Kalatówki.
155 1	od góry Mięgoszówkę	Mięgoszowską.
165 4	od góry wiechy Zimnej Wody (6695)	turnie Wysokiej.
177 1	od góry solectwa.	sołtystwa.

Tenże sam błąd powtarza się jeszcze kilka razy na stronie 178 i 189.

Miejscami użytych bezmyślnie przecinków dla oddzielenia jednostek tysięcy od setek w liczbach oznaczających wysokość wzniesień, uprasza się nieuważać za znak do oddzielenia liczb całych od ułamków dziesiętnych.



W tabeli litografowanej, we widoku z Głodówki mylnie podane nazwy niektórych gór prostuje się w ten sposób:

zamiast	Głupi Wierch	powinno być	Kiesmarski szezyc.
"	Czerwona turnia	"	Łomnica.
"	Baranie rogi	"	Głupi wierch.
"	Zimna Woda	"	Jaworowe Sady.
"	Wysoka	"	Wierch Batyżowiecki.
"	Rysy	"	Ganek.
"	Tatra (Ganek)	"	Waga.
"	Mięgoszowski	"	Rysy.
"	Gruby Wrch. i Krywań	"	Mięgoszowska.

DODATEK.

POLSKI GRZEBIEŃ.

Lato w r. 1872 było tak slotne w Tatrach, że gości u ich stóp bawiących wprawiało w rozpacz. Po ośmiu i więcej dniach deszczu, mgły, zimna i błota wychylało się słońce z za szarego nieba na kilkanaście godzin, chyba na to, abyśmy nie zapomnieli jak pogoda wygląda i znowu się chowało za chmury, z których jakby z jakiegoś niewyczerpanego zdrojowiska zlewały się na ziemię strumienie deszczu. Jak zwykle, tak i tego roku, pragnąłem odhyć jakąś po Tatrach znaczniejszą wycieczkę, znaleźli się towarzysze gotowi na wszelkie trudy wypraw górskich, a więc pierwszego lepszego pogodnego poranku (d. 12 sierpnia) spuściwszy się na los szczęścia wybrało się nas pięciu pod przewodnictwem Jędrzeja Wali w drogę ku Gierlachowi najwyższemu szczytowi w całych Tatrach. Rozłokowani po

różnych punktach Zakopanego, nimesmy się zebrali po załatwieniu wszelkich na podobną kilkodniową wycieczkę potrzebnych sprawunków, zeszedł tak czas, że z Bystrego ku Jaszczurówce ruszyliśmy dopiero o 7 godzinie.

Koło cieplicy Jaszeurowej napotkaliśmy kilka Salamander, wcale zła była to wróżba dla nas, bo jaszczurki te tylko na słotę z nór swoich wylazą, na pogodę tak się chowają, że ich trudno bardzo odszukać, pomimo ulubionej dla tych tu stworzeń okolicy, od czego jej nadano nazwę Jaszczurówki. Ztąd szliśmy ciągle lasem przeszło dwie godziny na Waksmundską polanę. Nie będę tój drogi tu opisywał na nowo, w poprzednich szkicach nakreśliłem ją, nadmienić tylko wypada, że wiedzeni przez tak znakomitego przewodnika jak Wala, ominęliśmy najprzykrzejsze manowce, któremi zwykli prowadzić podróżnych mniej z tą okolicą obeznani górale. Już nieraz tędy hrnąłem po tak dzikich gąszczach i zaroślach, że rad byłem, gdy się cało z nich wyszło, wszędzie bowiem stają człowiekowi na zdradzie dziury pod nogami zastłonięte mechami, a powyżej suche, sterczące ostro gałęzie, których się dobrze strzedz trzeba, aby oczów nie wykłuły, twarzy nie poraniły lub odzieży nie podarły.

Polanę Waksmundską od współposiadaczy jej, gospodarzy ze wsi Waksmundu nazyli tego roku Licbajowie z Białego Dunajca i radziły jej nazwę na Lichajową przemienić, o czem nam rozповідаł góral na tej polanie jeden z owej rodziny, któregośmy tam jeszcze zastali przy krowiem hacowaniu. Zdaje mi się jednak, że się imię Waksmundskiej polany zanadto rozpowszechniło, aby go się dało zmienić na nowe od nazwiska świeżych posiadaczy. Po po-

sileniu się tu mlekiem (o godz. 10 $\frac{1}{2}$) puściliśmy się dalej. Z wschodniego pochylenia Waksmundskiej przełęczy ujrzelśmy pasmo spiskich turni, z których jednak najwyższy Lodowy tonął w mgłach. W dolinie nad przejściem Waksmundskiego potoku, co się toczy z pod Krzyżnego, dosyć było biedy, nim się nam udało przebyć po wierzchołkach sterczących z wody głazów, bo w czasie lata mokrego potoki górskie toczą znacznie większą ilość wody, niżli zwykle, dlatego łatwo bardzo o przymusową kąpiel, choćby po pas, albo po kolana u osób niewprawnych w chodzeniu po Tatrach.

Od potoku szliśmy ciągle w górę na stopy Wołoszyna, a gdyśmy stanęli na wierzchu grzbietu, pięknie się nam ukazał Gierlach od wschodu z poszczerbioną Polską przełęczą nazwaną wedle wzoru niemieckiego Polskim Grzebieniem (polnischer Kamm). Siniał nam ten dziki grzbiet tak gdzieś daleko, że się nam wydawało niepodobieństwem abyśmy go dziś jeszcze przebyć mogli.

Lasy tutejsze straszemu ulegają wyniszczeniu od ludzkiej ręki. Świeżo przez dziedzica dóbr Zakopiańskich wystawiony tracz na Łyséj nad Białką pochłania całe bogactwo górskich okolic. Ci co się na leśnictwie znają, powiadali mi, że gospodarstwo w tym względzie idzie tu tak, jak isć nie powinno; że wycinanie lasów nie odbywa się w stosunku ich wzrostu, lecz aby obecnie jak najwięcej dochodu przyniosło.

Ku południowi zdążyliśmy nad potok płynący Roztoką z Pięciu Stawów. Toczy on się tu nowem korytem przez las; każde drzewo głazami i różnem namuliskiem dołem ubrane stawia wodzie przeszkodę, szumi tedy okalając je,

a opodal bieleje suche stare łożysko złomami granitowemi zasłane. Dwa świerki wysokie zupełnie, jak je natura przystroiła, ucięte i położone w poprzek posłużyły nam za kładkę nad tym potokiem, lecz Białki tak się już nam nie udało przebyć. O kawałek drogi zaraz spotkaliśmy się z nią ale szeroko się tu rozwała i kilka tylko z niej sterczy kamieni, reszta tonie w wodzie, więc nie było inściej rady, jak iść w bród. Pozdejnowaliśmy buty, i zakasani wysoko podpierając się laskami szliśmy za przykładem Wali, lecz woda tak była zimna, że nam sprawiała ból jakby obkłady lodowe. Wyskakiwaliśmy z wody na wierzchołek głazów, aby choć przez chwilę odgrzewać skrzeple od zimna nogi. Pospieszyć się nie dało, gdyż koryto rzeki zasute okrągłakami obsłizłemi z trudnością pozwalało się utrzymywać w równowadze, przecież z pomocą kija, chociaż nagły pęd wody jeszcze nową stawiał przeszkodę, minęliśmy wszyscy bez wypadku Białkę (o godz. 12¹/₄). Usiadłszy na brzegu uczuliśmy dobrodziejstwo odbytej kąpieli, bo tak się nam siły w nogach odświeżyły, jakbyśmy dopiero z cbaty w Zakopaném wyszli. Trzy mile dzieliły nas już od owój wsi. Odtąd kierunek naszej drogi zbaczał nieco ku wschodowi; na południe wprost wiodła dolina Białki po pod turnie Mięgoszowskie nad Morskie Oko, my szliśmy w dolinę Białej Wody pod Wysoką. Wkrótce natrafiliśmy na miejsce połączenia się tych dwóch silnych potoków i zdziwiło mnie, że mi o tem dotąd nikt nie wspominał, bo różni się od wielu innych ujść górskich strumieni. Białka płynąc wyżej spada nagle w bok po kilku wielkich progach, jakby umyślnie wyciosanych w skale i łączy się z Białą wodą,

wśród bujnie porośniętych brzegów świerkami, tworzy się przez to piękny i oryginalny wodospad.

Następnie idzie się jeszcze kawałek drogi przez las, z którego drożyna wiedzie na otwarte miejsce po nad potok. Po obydwu brzegach są jeszcze ślady mostu, lecz w jego braku trzeba było się zwykłymi w górach sposobem przeprować przez wodę. Jedną odnogę potoku przeszło się jako-tako po sterczących głazach, lecz z drugą gorsza była sprawa. Wala wskazał nam do przeprawy ścięty świerk, nie więcej nad trzy cale w przecięciu gruby, żeśmy tylko po nim pojedynczo przechodzić mogli, aby się nie złamał. Dla utrzymania zaś równowagi dał nam żerdkę za podporę. Trudno jednak było tę żerdź utrzymać w potoku, bo niezmiernie silnie rwiąca woda unosiła drążek swoim prądem. Wreszcie i tę przeszkodę minęliśmy, przyczem jeden z towarzyszy już u drugiego brzegu wpadł do wody, nie poniosłszy przecież większej szkody nad zmaczanie sukni. Następnie szliśmy lewym brzegiem potoku, cudnie piękną okolicą. Ta środkowa część doliny Białej wody tak jest bogata we wdzięki natury, że niepodobna słowami określić uroku, jaki wywiera na zmysły ludzi zdolnych oceniać piękność górskiej przyrody. Zdaje mnie się, że Kościeliskiej i Białej dolinie należy się pierwszeństwo w Tatrach całych, między nimi jednak ściślejszego wyboru być nie może, bo chociaż w zasadzie z jednych składają się czynników, w kształtach różnią się zupełnie z powodu rodzaju skał, które są calcem tych dolin. Kościeliskiej formacja wapienna sprzyja więcej roślinności, więc po jej urwiskach rosną drzewa, krzewy i bujne trawy nadające całości wejrzenia romantyczne, sielankowe, gdy dolina Białej Wody z granitu piętrzy się

nagiemi przepaścistemi skałami, na których się ledwo gdzie mech może utrzymać, sprawia wrażenie majestatyczne. Turnie Młynarza od zachodu, spodem nawet tylko dzikim kozom przystępne tworzą główną ścianę doliny, którą w dali zamykają śniegiem ubielone wierchy Gierlacha i jego sąsiadów. Spód tego wspaniałego krajobrazu tworzy silny potok z swemi fantastycznymi brzegami, zaścielają je jak i koryto strumienia wielkie złomy granitu, porośłe świerkami i limbami, o które rozbija się woda pieniać się z szumem i lśniąć tęczkowymi barwami. Miejscami wdarł się potok w brzeg, podmulił drzewa i krzewy, te albo runęły i sterczą wywróconymi pniami, lub dopiero oczekują podobnego losu przy pierwszej lepszej burzy, gdy resztę ich fundamentów skruszą rozłukane żywioly. Wszystko to słońca wesołemi promieniami oświecone, jakimś czarodziejskiem technieniem owiane, roznieca podziw, poi umysł wzniosłemi myślami, obraz to ciągłej walki o byt, z tą różnicą, że czas liczy się tu na wieki, nie na lata. Przyroda nie próżnuje nigdy. Odłam skały, który lód w zimie podważy, woda z wiosną podpłucze, a wichur strąci w dół, w jakiś czas zazieleni się po wierzchu, przytuli nasienie drzewa, i miejsce wytworzy dla jego korzeni, a skoro ono podrośnie, burza go wywróci, złom zwietrzony rozpeknie się i woda kawałki uniesie, zaokrąglone na równie zatoczy.

Nie ma tu jednak czasu na zastanawianie się nad losem każdego jestestwa na świecie; co krok coś nowego, a coraz piękniejszego się spotyka: wonność powietrza, szum wody do marzeń usposabia, niebezpieczeństwo z nikąd nie grozi; kto tedy chce trochę chwil prawdziwej duszy swobody użyć, niech jój szuka w uroczych dolinach Tatrzań-

skich. Warto przecież poświęcić coś z wygódek zwyczajnego życia dla tej części ducha, co w naszym ciele tkwi i niezrażać się lada przeszkodą w drodze do przybytku piękna.

Przedzierając się czasem przez dzikie gąszcze bezdrożne, minęliśmy drugą część doliny Białej Wody, przeprawiliśmy się na prawy brzeg potoku, który tu już na strumyki się dzieli, a uwagę całą pochłania pasmo szczytów jak wachlarz w około się roztaczających. Tu jest hala, lecz szalasy już były opróżnione, atmosfery tedy poetycznej nie przerywał nam żaden głos ludzki ani zwierzęcy. Upatrzywszy miejsce do spoczynku i do spostrzeżeń najsposobniejsze, usiedliśmy na murawie, studyjując nazwy każdego zakątka przepysznój okolicy. Tymczasem przewodnicy rozpalili ognisko dla nwarzenia wody na herbatę.

Stojąc twarzą ku południowi, na prawo rozpoczynają szereg gór turnie dziewiczego Młynarza, na którego szczycie, o ile mi wiadomo, dotąd ludzka stopa nie powstała. Poza nim w kotlinie mieści się staw Żabi. Młynarz łączy się z grzbietem głównym granią skalistą, za nią kryje się dolinka Czeska z dwoma stawkami tej samej nazwy. Naokoło niej piętrzą się Waga, Ganek i Rysy, a łącząc się przełęczami, tworzą kotliny dzikie, nagie, tylko stawami i śniegiem urozmaicone. Główny zaś grzbiet Tatr sterczy przed nami na prost pod nazwą Żelaznych Wrot; te stykają się z Gierlachem, lecz wierzchołka jego ztąd nie widać, bo się kryje za swoim ramieniem północnym, łączącym się od wschodu z Wysoką (którą Niemcy nazwali Kastenbergiem), przez przełęcz znaną pod imieniem Polskiego Grzebienia. Ale i jego ztąd z dołu nie widać, gdyż

go zasłaniają na lewo wznoszące się turnie Litworowe. Majestatyczny ten obraz upiększają jeszcze wodospady: jeden ze stawu Czeskiego spadający oryginalnie przez wydrążenie w skale jakby rynnę, drugi ze stawu Zielonego z pod Żelaznych Wrót uchodzi w dolinę.

Osoby, co się udają na zwiedzenie Morskiego Oka, winni od niego zarazem zbaczać dla poznania doliny Białej Wody, aż po halę pod Wysoką, bo te kilka godzin czasu na to potrzebne wynagradzają bardzo różrzutnie swymi wdziękami ciekawego podróżnika. Dotąd jednak ta nader urocza dolina służy przechodniom za drogę z Zakopanego do Szmeksu przez Polski Grzebień, a nikt nie zwykł się tu udawać dla niej saméj.

Od 3 godziny do 4 $\frac{1}{4}$ przesiedzieliśmy pod Wysoką objadując i rozkoszując się pyszną okolicą, nim Wala ogłosił dalszy pochód. Pięliśmy się odtąd ciągle pod górę, a im wyżej, tém widnokrąg się rozszerzał, coraz innych turni wierzchołki się nam odsłaniały. Minęliśmy zasiąg lasu, potem kosodrzewiny, dążyliśmy już po mchach i trawie na pierwsze piętro, zkąd się nam ukazał staw Zielony i część Czeskiego. Powyżej drapaliśmy się po głazach koło ścieku wody uchodzącej ze stawu Litworowego. Tymczasem zachmurzyło się, wichur zimny dąć począł. Stanęliśmy nad stawkiem Litworowym, koło którego roślinność różnobarwném kwiecieniem zadziwia każdego, jak w sąsiedztwie śniegu, nagich skał i w obumarłej krainie mogą istnieć i błyszczeć życiem tak wonne i śliczne kwiaty! Uzbierany z nich bukiet wymarzoną tworzył harmonię kolorów. W górę i w górę, a coraz stromiej, czasem z pomocą już rąk, pięliśmy się wśród ponurej atmosfery. Raz jeszcze słońce wychyliło się

z za obłoków, oświeciło jaskrawo Polski Grzebień, a w około wiatr roztrzącał chmury o turnie, których po woli czepiała się mgła. O godzinie wpół do 7 dotarliśmy do brzegu kotliny stawku Zmarzłego.

Kto szuka wrażeń, niech tu przybywa, a jeśli mu jeszcze towarzyszyć będzie, jak nam, silny wicher, pochmurne niebo, to mu się odtworzy niejeden obraz Dantejskiego piekła. Kotlina cała skałami z trzech stron zwarta, zasłana złomami granitu, na dnie staw pokryty lodem i śniegiem, (ledwie mu jeden bok wtedy odtajał), żadnego śladu życia; tu jakby dopiero wczoraj po opadnięciu lodów powierzchnia ziemi stwardła i popękała, Głucho i pusto gdyby w zakątku człowiekowi niedostępnym, a tak dziko i smutno, że na ten widok zdaje się trętwieć dusza. Obeszliśmy zachodnio-południową stronę Zmarzłą dolinkę (6319') i wstąpiliśmy na stopy Polskiego Grzebienia. Gorsza na niego droga niż na Zawrat, bo ten zwarty skałami jak wąwóz, nie grozi spadnięciem, gdy przełęcz Polska, jako skała urwista najeżona turniami, miejscami żwirem zasłana, wszędzie spadzista, wymaga wielkiej ostrożności, aby się bez szwanku na wierzch dostać. W pół godziny od Zmarzłego drapiąc się bezustannie w górę, stanęliśmy o 7 godzinie na samym grzbiecie właściwego Grzebienia (6933'), nazwanego Polskim od tego, że przechodzącym tędy od Węgier pierwszy raz się Polska ukazuje.

Zimno do kości przejmowało a wicher tak dął, że zdawało się jakby nas miał wrzucić do kotliny zmarzłej. Przed nami nowy świat zajaśniał: Spiska ziemia oświecona zachodzącym słońcem, tworzyła dziwny kontrast z górami, na których grzbiet po całodziennym trudzie się wydostali-

śmy. Nas otaczało morze szarych, dzikich skał, przykrytych mgłą, owianych zimą, podczas gdy w równinach ludziom uśmiechało się wesoło letnie ożywcze słońce. Na prawo od zachodu piętrzył się najwyższy szczyt z całych Tatr Gierlach (8414'), na lewo turnie Wysokiej (7887') a pod stopami tonęła w pomroce dolina Wielka z dwoma stawkami. Za nami w tyle chmury rozbijały się o wierzchołki mnóstwa szczytów, jakie się w tej okolicy piętrzą jedno nad drugimi.

Sam grzbiet Polskiego Grzebienia jest wązki, skalisty, a chcąc się z niego na dół spuścić czy ku Spiżowi, czy ku Nowotarszczyźnie, na czworakach się przychodzi drapać po wcale nieponętnej drodze. Wala spieszył pomimo ochoty do gawędki, bo noc zapadała, a po dzikich zwaliskach skalistych po ciemku bardzo niebezpiecznie chodzić. Powiół nas ku wschodowi na turnię, po której na grzbietach puścił się wnet na piargi, poczem dostaliśmy się w szeroki przestwór glazów jakby zwalisk olbrzymiego gmachu. Złomy różnego kształtu, kilkosążniowej objętości, z głębokimi szczelinami, nie dozwalały pośpiechu, zwłaszcza dla kilku z naszego towarzystwa, co pierwszy raz w życiu znaleźli się w podobnych tarapatach. Z początku jeszcze o tyle było widno, żeśmy gromadkę kozic dostrzedz mogli w Gierlachu jak pędziły w górę po urwiskach i jedną o kilkadziesiąt kroków samopas biegającą w dolinie od strony Wysokiej. Wreszcie nastąpiła noc ale jasna, gwiazdami na niebie uhrana, przez co mogliśmy przecie widzieć cokolwiek naokoło siebie.

Równinę tę, złomami granitu zasłaną, można uważać za ogromne piętro ze stawkiem Długim (6099'), z doj-

ściem na jego brzeg kończyła się nam najgorsza przeprawa. Nad niższym stawkiem doliny Wielkiej błyszczał w promroce jasny punkt, cel i kres dzisiejszej wycieczki; był to dach świeżo gontem pokrytego szałas u brzegu stawu zbudowany przez Węgrów. Musieliśmy jednak u wrót drogi na niższe piętro czekać na resztę towarzystwa, które z drugim naszym przewodnikiem Jasiem Gronikowskim, nie mogąc nam z Wałą naprzód idącym nadążyć, pozostało w tyle. Wołaliśmy z całej siły, aby o sobie dawać znać nawzajem z obawy o wypadek, czy się który z towarzyszy nie zabląkał lub nie uwięzgnął w jakiej dziurze. Szczęśliwie jakoś zebraliśmy się wnet razem ponad Ogrodem Walenberga.

Staw Długi ma liczyć wzdłuż 300 kroków, wszereż u końca górnego 30, u dolnego 120; z niego uchodzi woda przez bujną alpejską łąkę, bogatą w roślinność górską, którą od imienia szwedzkiego botanika Walenberga, Ogrodem jego nazwano. Badał on bowiem florę Tatr i wydał w r. 1814 w Getyndze dzieło swoje po łacinie pod tytułem: *Flora Carpathorum*.

Otóż Ogród ów Walenberga na 1500 kroków długi a 500 szeroki jest rajem dla botaników i stolicą tatrzańskich świstaków, bo sobie tę łąkę najwięcej upodobały. Piętro drugie ową łąką objęte, kończyło się także stawem, jak wyższe od niego i niższe; opisuje go jeszcze Genersich w r. 1807, lecz dziś pozostał z niego ślad w postaci trzęsawiska (5598').

Na trzecie piętro zeszliśmy ścieżką popod skałą Granatów, z której ścieka ciągle woda kroplami jakby wieczny deszcz. W prawo od zachodu szumiał potok spadający po

skale ku niżnemu stawowi. W skale tej znajdowane drobne granatki nadały jej nazwę, którą Niemcy ochrzcili Granatenwand.

O wpół do 9 godziny dobiegliśmy wreszcie do upragnionego szałas, gdzieśmy mieli znaleźć spoczynek po trudach. Domek to z kamieni wymurowany na dwie izby podzielony z oknami na okienice zamykanemi, pokryty dachem bez żadnego otworu dla dymu, za podłogę służy ziemia. Na środku drugiej izby stoi długi wązki stół, a wokoło niego wążutkie z kobylic przerobione lawice. W pierwszej przegrodzie rozgoszczeni leżeli przy ognisku jacyś młodzi ludzie, uczniowie górniczej akademii w Sztaiwnicy (Schemnitz), nam tedy wypadło pomieścić się w sąsiedniej izbie dokąd drzwi były zamknięte, a więc oknem droga zawiodła do wewnątrz.

Znać Węgrzy zbudowali ten szałas na pijatykę, a nie na schronienie dla podróżnych na nocleg, boby chociaż podłogę dali byli i łożysko z kamienia na ogień i otwór w dachu dla dymu. Tego tu wszystkiego brak, więc spoczynek na mokrej ziemi przy rozwłóczącym się wszędzie dymie jest niepodobny. Bez ognia zimno, z ogniem trudno w tych warunkach wytrzymać; walcząc tedy z przeszkodami całą noc, oczywiście zmrużali, ale zasnąć w żaden sposób nie mogli. Górale jednak leżąc przy samym ogniu, kpiąc sobie z dymu i z wilgoci, spali wybornie budząc się czasem dla dołożenia gałęzi do ognia gdy im zimno poczęło dojmować.

Rozporządzając do woli czasem, wychodziłem na pole. Noc śliczna gwiazdzista, gdy jeszcze i księżyc z za góry się wychylił, u stóp króla Tatr, Gierlacha, ponad stawem

przy szumie wodospadu, byłaby nader romantyczną, gdyby nie zimno z wichrem. Wiązka słomy i kożuch do okrycia, tak skromne żądania, stały się dla nas marzeniami nie do urzeczywistnienia; ledwo tedy minęło pół godziny, po trzeciém rano radzi dźwignęliśmy się z obozowych wezglówiów. Bochenki chleba i buty z nóg ściągnięte służyły nam za poduszki pod głowy, lecz najgorzej dokuczały nam strudzone kości, których nie było gdzie ułożyć, ani przed zimnem ochronić.

Przed świtem rozglądaliśmy się po owej sławionej przez Węgrów dolinie Wielkiej, przekręconej na Felkę; lecz kto zna doliny na północnej stronie Tatr, tego Wielka nie zachwyci. Stawek (5187') owalny, 300 kroków długi, w środku koło 120 szeroki, z brzegami kosodrzewiną poroślemi, ze skałą Granatów i spadem strumyka, jest ładny, ale na Tatry to za mało, zwłaszcza dla podróżnego, co dopiero zwiedził dolinę Białej Wody, Białki, Morskie oko, Pięć stawów, Siklawę i t. p.

O 4 godzinie ruszyliśmy w drogę; dzień wkrótce poczęło. Idąc po trawnikach, po mechach, mokwach, weszliśmy w zasiąg leśny. Słońce ozłociło wierzchołki turni, potem i równiny cudowną, wesołą barwą opromieniło. Z pośród lasu ukazał nam w dali Wala wierzchy domów w Szmeksie, dokąd dążyliśmy na śniadanie. Blisko jednak dwie godziny zeszło nam, nim drożynami leśnymi krocząc szybko, bo ciągle na dół, znaleźliśmy się wśród domostw zakładu kąpielnego.

Kawał ten lasu, powiększłej części modrzewiowego, przeryniają tylko małe strumyki z pod Sławkowskiego szczytu (7860') biegnące do Popradu, z którym mieliśmy

się wnet spotkać, bo celem naszej wycieczki było przejść grzbiet Tatr na wschodnim krańcu, obejść je od południa, a wrócić przez zachodni grzbiet od Liptowa do Zakopanego.

Szmeks zastaliśmy jeszcze w objęciach Morfeusza; służba tylko kręciła się tu i owdzie, ale zaspana jeszcze jakby po całonocnej hulance. Domy ładne zakładowe wydawały się jakby stojące pustką, żeśmy się pytali czy tego lata gości tu nie ma? Najlepiej się przez to ujawniało znaczenie Szmeksu, że to niejsce dla zdrowych szukających górskiej swobody, a nie dla osób potrzebujących kuracyi.

Zdrój szczawny koło restauracyi jest sobie skromne źródłátko, przy nim blaszanka na patyku dla użytku publicznego i na tém koniec, a skoro leje deszcz, to deszczówka z zdrojem kwaśnym się brata nie sprawiając nikomu przykrości. Są tu łazienki po staremu bez żadnego komfortu urządzone, a podobno i hydropatyczny zakład na równi tu stoi z całym leczniczym znaczeniem Szmeksu, ale za to, kto zdrow i kąpać się nie lubi, ma wesołość, zabawy, zbiorowe wycieczki, restauracją dobrą i muzykę skoczną. Od r. 1862, kiedym tu był pierwszy raz, Szmeks się tylko o tyle zmienił, że kilka domów nowych przybyło i ceny mieszkań jak też wszelkich potrzeb znacznie podrożały. Niemczyzna jak była dawniej tu panującą, tak jest do dziś dnia; napisy i wszystkie informacye niemieckie jakby gdzieś u gór tyrolskich lub bawarskich.

Położenie Szmeksu bardzo romantyczne; z każdego domu wspaniały widok, bo poziom zakładu tarasowy, budynki piętrzą się z tego powodu jedne ponad drugimi. Droga do samego zakładu wyborna i przechadzki urządzone jak się należy; wiodą przez las na miejsca odznaczające

się pięknnością widoku. Wycieczki w góry jednak wedle mody się odbywają; o poznawanie nowych zakątków Tatr nikt się nie troszczy, dolina Wielka i Zimnej Wody to Mekka i Medyna turystów węgierskich. Odważniejsi puszczają się na szczyt Łomnicy i zaspokajają się tém ze wszystkiém, mieniać inne wierzchy niedostępnemi albo niewartemi zwiedzania.

Wdawszy się w rozmowę z kim z osób przybyłych lub miejscowych w Szmeksie, to się dowie każdy, że nad wymienione miejsca nie ma nic piękniejszego w całych Tatrach, chociaż ich wcale nie znają. To też i przewodnictwo po ich stronie nie wiele warte.

Oprócz specjalisty starego Janka na Łomnicę, to reszta chołota, bo do doliny Zimnej Wody (Kolbachu) lub Wielkiej (Felki) same drożyny zawiodą, a ktoby się chciał z nimi zapuszczać w dalsze doliny i na inne szczyty, narażałby się na wszelkie najgorsze następstwa złego przewodnictwa i to jeszcze za wygórowaną zapłatę. Dostać tu jednak zawsze można koni osiodłanych na wycieczki, wózków zaprzężonych, wedle taryfy na drzwiach restauracyi przyklepionej.

Wypiwszy kawę i zwiedziwszy cały zakład wśród ślicznej pogody, o godzinie 7 puściliśmy się wprost gościńcem do miasteczka Popradu, najbliższej stacyi kolei Bogumińsko-koszyckiej, blisko 2 mile od Szmeksu odległej. Pierwszą w tej drodze osadą napotkaną był Wielki Sławków, wieś porządna, po większej części murowana; potem ścieżką, wśród zboża dojrzewającego, przybyliśmy do miasteczka Wielki (Felka), zkąd już bardzo blisko mieliśmy do dworca kolei w Popradzie. O trzy kwadranse na 10

godzinę weszliśmy do wnętrza stacyi europejskiego gościńca, który wszędzie nosi jednakie piętno kosmopolityzmu. Kupiwszy bilety oczekiwaliśmy nadejścia pociągu, a tymczasem można się było rozpatrywać w widoku Tatr. Chmury się czepiały ich wierzchołków, jak zwykle w południowe godziny, co jest powodem nieudawania się wycieczek na wyniosłe szczyty, bo właśnie jest to czas, kiedy podróżni zdołają zdążyć na wierzch i nie mogą się dłużej tam niż do 2 godzin zatrzymować, aby z powrotem się nie zapóźnić do chaty.

O godzinie 10 minut 10 ruszył pociąg w kierunku zachodnim, a żeśmy się usadowili przy oknach, więc ciągle mieliśmy przed oczami wspaniałą panoramę. Tatry od południa zupełnie odmiennie wyglądają niż od północy, przeważnie z powodu braku regli; wierchy wznoszą się wprost z równi przedzielane od siebie dzikiemi kotlinami zasłoniętymi w tyle głównym grzbieciem. W miarę posuwania się naszego naprzód, szczyty wschodnie spiskie chowały się za zachodnie liptowskie, że w końcu Krywań rozłożystym swoim trzonem zakrył spiskie turnie. Panuje on tu na zachodzie Tatr tak, jak Łomnica na wschodzie i dla tego, że stoją obie te góry, wysunięte na boki, jakby na straży, najdawniej je poznano i najliczniej na ich szczyty udawać się zwykli turyści.

Minęliśmy w dwie godziny 6½ mil, kilka stacyj: Łuczynę, Ważec, Wychodną i w południe wysiedliśmy w Hradku, miasteczku przy ujściu Białej do Wagu. Okolica prześliczna przy zetknięciu się kolei z Niżniemi Tatrami. Ciągłe szumia potoki, brzegi ich romantyczne, strojne w las, zasłaniały nam czasem widok na Tatry, ztąd już

w różnej postaci widne, niż je przed pół godziny oglądaliśmy. Po za Krywaniem łańcuch Tatr wygina się znacznie ku północy i tworzy odrębną całość pasma zachodniego od Świnnicy po Rohacze z połogimi wierzchami. U stóp ich rozściela się rozległa dolina Liptowska z licznymi wioskami, poprzerzynana potokami, które swe wody niosą do Dunaju a z nim do Czarnego Morza.

Przechylenie wód dążących do Wisły od tych, co się toczą do Dunaju, przebywa się między Szczyrbą a Ważcem wcale nieznacznie. Poziom rozgraniczający spadek wód wznosi się 2766 stóp i nie wpływa na podział Liptowa od Spiża, bo Szczyrba, wieś leżąca już na dorzeczu popradziem, zaliczona do ziemi Liptowskiej.

Z dworca kolei w Hradku podążyliśmy gościńcem ku ruinom zameczku, szukając dla ochrony od spiekoty miejsca swobodnego, gdzieby i obiad miło było spożyć. Znaleźliśmy sobie oazę w cieniu drzew nad Białą opodal mostu na niej ze wspaniałym widokiem na Tatry. Po bezsennej nocy a ciągłym maszerowaniu kąpiel w rzece, potem posiłek dla żołądka i drzemka poobiedna przy szumie potoku mogła mieć wymarzoną wartość dla całego naszego towarzystwa, to też zeszło nam tu kilka godzin przyjemnie. Mnie jednego tylko los prześladował, bo ból zębów spokoju nie dawał; chodząc mniej cierpiałem, gdym chciał spocząć, boleść się wzmagala; rad nie rad musiałem czuwać, zazdroszcząc snu towarzyszom i studyowałem z mapą co się tylko na widnokregu pod oczy nasunęło. Naraz spostrzegam coś z kijem w dali szybko się posuwającego, to w lewo, to w prawo. Po zbliżeniu się ku mnie poznałem górala, a dopiero gdy na zakręcie z za brzegu na wodę wy-

płynął, zagadka mi się wyjaśniła, że to spławiacz drzewa z Tatr. Na tratwie zbitéj z belek w trójkąt stojąc z żerdką góral, tego się musi i zręcznie obracać, aby na dzikim, zuchwale od brzegu do brzegu przewalającym się potoku utrzymać równowagę i zapobiedz jéj rozbiciu się o lada kamień. Biała, co płynie z pod Krywania, jest dużym potokiem przy zwykłym stanie wód, że się po nim tratwy da spławiać, a czém bywa przy wezbraniu, świadczą brzegi jego i gdyby nie tamy, toby Hradek nie sprostał sile chałaśnego strumienia. Na noc postanowiliśmy dociągnąć do jakiej pasterskiej zagrody słowackiej u stóp Tatr, którą tu zwią majerzem, a naczelnego pasterza nie bacą, ale majerem. O 3 godzinie rozpoczął się nasz pochód wśród wielkiego skwaru słonecznego; najprzód minęliśmy wioskę Swaty Peter. Na prawo niedaleko widać było ładną wieś Dowalów. Następnie przeszliśmy przez Wawrisów ku Przybylinie. Wioski liptowskie inne wcale mają wejście od osad na północnych stokach Tatr. Przez środek wsi wiedzie główna ulica utworzona przez zagrody z wszelkimi doń uciepionemi budynkami gospodarskimi; po większój części zbudowane z kamienia a kryte słomą. Spichlerze stoją na przodzie od ulicy z małeńkimi otworami niby oknami. Właśnie był zbiór siana; mężczyźni zwozili je wołami, a kobiety wszędzie mięły konopie, z których woń nieprzyjemna rozlegała się po całej wsi. Wół tu jest zwierzęciem zaprzęzném zamiast konia, których na Liptowie bardzo mało chowają, dlatego podróżny, jeżeli mu się zachce podwody, rogatemi rumakami zaspokoić się musi. Niepospolitej jednak długości rogi zdobią czoła siwych wołów liptow-

skich, że gdy włązą do obory, po jednym boku do wnętrza się dostawać mogą.

O 5 godzinie doszliśmy do bardzo ludnej wsi Przybyliny. Ludność przeważnie wyznania ewangelickiego, chociaż jest i trochę katolików, dlatego są tu dwa kościoły: dla wyznawców jednej i drugiej wiary chrześcijańskiej. Domy w Przybylinie schludne, murowane i drewniane, na żółto gliną pomalowane. Uderza wśród nich nader skąpa ilość drzew wokół zabudowań, co w razie pożaru musi zgubne za sobą pociągać następstwa. Lud uprzejmy i gościnnie wita przechodniów życzeniem „Dzień dobry“ lub „Dobry wieczór“, stósownie do pory, lecz zwyczaju nie ma pozdrawiać się zwykłym u nas: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“

Z Przybyliny rozchodzą się drogi w różne strony ku Tatom, stósownie którejdy ma się grzbiet gór przebywać, w zachodniej bowiem grupie Tatr prawie wszystkie przełęcze są łatwo dostępne, z tych najczęściej uczęszczane Pyszniańska (5764') i Tomanowska (5210'). Obraliśmy najdogodniejszą chociaż nie najbliższą, t. j. Tomanowską, dokąd wiedzie dolina Wierhcicha. We mnie budziła ta droga wielką ciekawość, bom tego zakątka tatrzańkiego jeszcze nie znał, a właśnie dolina Wierhcicha należy do osobliwości w Tatrach przez swój kierunek od wschodu na zachód, kiedy prawie wszystkie inne z północy ku południowi są zwrócone; przełęcz znów Tomanowska jest przez to również osobliwością, że w całej rozciągłości Tatry nigdzie grzbietu swego głównego bardziej zagłębionego nie mają, jak na niej, żeby się tędy dał gościniec poprowadzić bez nadzwyczajnych korowodów.

Puściliśmy się z Przybyliny o 5 godzinie ku wschodowi przez obszerne pastwiska równiną do majerza, najbliższego przy dolinie Wiercheichéj. Droga była przepyszna, o jakiej w górach tylko da się marzyć, bo to równa jak po stole, miękka po trawnikach jak po kobiercach a wspinała, bo w dali grzbiet Tatr z przepysznie ztąd piętrzącym się Krywaniem; wokoło nas park angielski nie sztuczny, lecz z natury malowniczo sam przez się wytworzony i słońce jakoś nie piekło, mimo to strudzenie moich towarzyszy uczyniło niezczułymi na owe szczęśliwe okoliczności. Nawet Wala bumor stracił i włókł się ostatni za nami, głównie dlatego, że się z jego życzeniem niezgadający mój projekt drogi utrzymał. On chciał przejść Tatry przełęczą Starorobociańską przez dolinę Raczkową, najprościej ale nie najlepiej, a nam szło nie o szybkość powrotu do Zakopanego, lecz o poznanie ciekawszej okolicy. Towarzyszom moim dopiekały pęcherzyki pod podszwami z długiego marszu wynikiem, przeciw czemu zahezczyłem się napuszczeniem łożu do skarpetek z porady jednego Sybiraka, t. j. skazańca polskiego, co z wyroku moskiewskiego zmierzył kilka tysięcy wiorst pieszo na Syberyi. Zławienną tę radę, odtąd ciągle przezemnie praktykowaną w wycieczkach tatrzańskich, polecam każdemu, kto się na nie wybiera.

O 7½ godzinie, już po zachodzie słońca, przybyliśmy do upragnionego celu, do zagrody pasterskiej w Zakamieniem. Bydło spędzano z pastwisk; psy przybycie obcych zwiastowały majerowi, kiedy jeszcze byliśmy daleko od szalasu. Baca, czyli po tutejszemu majer, wyszedł na nasze

spotkanie i serdecznie powitał. Porozumienie było łatwe, bo Słowaka Polak bez trudu zrozumie.

Okolica tutejsza jest własnością barona Pongratza. Przez lato wielka ilość bydła dworskiego pasie się na pastwiskach wokół Zakamienistego, polana zaś daje siano, które właśnie skoszone stało w kopach. Ludzie obojga płci zajęci sianokosem przy wielkiej wesołości wieczerali. Widok siana kazał nam się spodziewać miłszego noclegu niż w szałasie pod Gierlachem, a gdyśmy usiadłszy przy szałasie młkiem wyborném snto pragnienie i apetyt zaspokoili, wrócił wszystkim humor. Pojadając chlebem, każdy z nas wypił po trzy kwarty mleka słodkiego; przewodnicy nasi woleli kwaśne, więc się niém do syta raczyli. Słowak silnie zbudowany, szczery, z żoną przystojną kobietą i ładnymi dzieciakami bawił nas rozmową, wypytywaniem co się dzieje w świecie, bo dla nich goście z dalszych okolic bardzo pożądani. Wśród tak miłego spoczynku koło szałasu przybył do nas z zaproszeniem na nocleg jakiś już inteligencją zdradzający Słowak; był to, jak się później dowiedzieliśmy, miejscowy leśniczy, który służył przy żandar-mach dawniej. Powiódł nas do leśniczówki, co było dla nas niespodzianką, bośmy się tu innego budynku nad szopę lub szałas nie spodziewali znaleźć. Coraz lepsze spotykały nas widoki spędzenia nocy odpowiednio do strudzenia, bo wprowadził nas ów leśniczy do obszernej izby porządnej, z kilkoma łózkami, ze stołem, ławkami i stołkami, z piecem katlowym oryginalnego kształtu, okna były okienicami od wewnątrz zamykanemi opatrzone. Żona gospodarza chciała nam ugotować kawę, cośmy już na śniadanie odłożyli. Na łóżka przyniesiono nam świeżej

słomy, nakryto prześcieradłami i po jednej poduszce obdzielono. Królewski nocleg! jak na Tatr, zwłaszcza dla ludzi, co od wczoraj rano 10 mil pieszo uszli i całą noc nie spali; dlatego też jakby jednym tchem minęła nam noc, że się dopiero o 5 godzinie rano pobudziliśmy. Wala i Jaś w szopie na sianie również wybornie noc spędzili i później od nas wstali.

W ciągu godziny załatwiliśmy się z wszelkiem przygotowaniem do dalszej drogi. Zapłata, jaką na żądanie nasze oznaczył leśniczy za nocleg, obsługę i śniadanie dla nas wszystkich, uczciwie policzona, dała nam pojęcie o sumienności ludzi na Liptowie, niestety wypadłej na niekorzyść górali nowotarskich po stokach północnych.

Dnia 14 Sierpnia ranek śliczny, my jakby nowo na siłach odrodzeni, okolica wspaniała i myśl, że się przed wieczorem stanie w domu, w Zakopanem, razem to wszystko poilo nas rozkoszą, która nas zwabia do Tatr, używaliśmy w całej pełni wdzięków natury górskiej. Szliśmy brzegiem Białej, wielkiego potoku górskiego, który się niedaleko wytwarza z połączenia się dwóch strumieni Wierchcichej, toczącej wody wzdłuż doliny téj samej nazwy i Koprowego płynącego z pod Krywania z doliny Koprowej. Ten kawałek drogi, co wiedzie brzegiem Białej (po słowacku Beli) po ujście doliny Wierchcichej, należy do najpiękniejszych krajobrazów alpejskich. Zawsze toż samo: woda, kamienie, las i wierzchy gór, a przecież nowe, uroczne, wiecznie życiem wiosenném tchnące, że zmusza do podziwu bogactwa form piękności i harmonii barw. Wszedłszy w głąb doliny Wierchcichej mijaliśmy takie gąszcze, do których nigdy słońce nie dochodzi, przez co brnęliśmy

jak po wodzie, bo czy krzew czy trawa, czego się było technąć — mokre. Wilgoć przez słotę naniesiona, nie ma kiedy wyparować; mimo to błota nie było, bo spadziłość poziomą zbyt dużą wodę do potoku sprowadza. Miejscami napotykaliliśmy bujne łąki, a że za tło służyły im góry polskie, lasem pokryte, dolina przybierała charakter Beskidów, gdyż Wierchcicha dopiero w górnej swej części u stóp Świnicy turniami się przystraja. Zachodnią ścianę Wierchcicy tworzy góra Hlin, zamykająca dolinę Hlińską, z której potok płynący do Wierchcichego strumienia u ujścia przechodziliśmy. Od wschodu piętrzy się grupa gór Cichych, z najwyższym szczytem Wielką Koprową (6757'). O godzinie 9 po walącym się moście dostaliśmy się na lewy brzeg potoku Wierchcichej, naprzeciw ujścia doliny, którą nam Wala nazwał Koprową właściwą, gdyż Koprową pod Krywaniem zwiąd górale Ciemnymi Smreczynami. W godzinę ztamtąd t. j. o 10 godzinie doszliśmy do rozstajnego punktu, gdzie Wierchcicha skręca się na wschód a Tomanowska wiedzie na zachód. Po drodze spotkaliśmy juhasa z kierdelem baranów, suto w różne sprzączki ubranego, ale z skaleczoną twarzą i ręką od pistoletu, gdy, jak mówił, dla odpędzenia niedźwiedzia od bydła strzelił do napaśnika. A że za wszelką strzelbą górale przepadają, więc choćby z sznurkiem powiązanego pistoletu pukają skoro prochu i kapsli się dorwią, przyczem często nabój rozsadza gałgańską broń, szczęśliwie, jeżeli bez szwanku strzelca.

Gdy jeden z naszego towarzystwa p. H. T., inżynier kolejny ze Lwowa, mieszkał wówczas przez lato z rodziną na Bystrém (u stóp Nosala), więc jemu do domu było bez porównania bliżej przez Goryczkową; udał się tedy

z Wałą prostsza chociaż więcej męcząca drogą, ja zaś, mój brat i dwóch akademików z Krakowa, puściliśmy się z drugim przewodnikiem naszym Jasiem na Tomanową. Najprzód idzie się przez wyrębisko w górę do szałasu owczego, koło niego skręca się w wąwóz z małym strumyczkiem, którego prawym brzegiem wiedzie ścieżka ciągle koło kosodrzewiny aż się wyjdzie na równinę bujnie trawą porośłą z źródłem dobrej wody. Odtąd zakosem wnet osiąga się grzbiet rozłożysty tak zwany Siodłem lub przełęczą Tomanowską (5210'). Pogoda tymczasem się zmieniła, nie tylko chmury włożyły się po szczytach, żeśmy tylko raz widzieli wierzchołek Świnnicy ztamtąd najwspaniałej się przedstawiającej, a wyszedłszy o godzinie wpół do 12 na sam grzbiet, ujrzelśmy mgłę powoli pod linią horyzontalną zasłaniającą wszystkie szczyty od zachodu, przy tém silny wicher dał z doliny Kościeliskiej. Nie było co tu robić, bo widnokrag zasłonięty wróżył słotę; spuściliśmy się więc szybko na dół do szałasu wyżniego przy hani, zjedli obiad z porządną porcją mleka, jakiego nam młoda a ładna gosposia wyniosła i niewiele za niego powiedziała.

Od owego szałasu w trzy kwadransy przyszlśmy w dolinę Kościeliską koło Uwoziska, minęli most na potoku, wnet krzyż. Przy Pisanój liczne towarzystwo z znajomymi nam osobami z Zakopanego zabawiało się wesoło, a gdyśmy ztamtąd uszli kawałek drogi, deszcz się drobny rozpuścił lecz niedługo ustał. O 3 godzinie byliśmy na Kirze przy nściu Kościeliskiej, a po 4 godzinie w Zakopaném. Przez kilka dni potém lał tak deszcz ciągle i obficie w Tatrach i Beskidach, że sprowadził ową powódź wszystkich rzek górskich dnia 18 Sierpnia. Nam w Zakopaném wy-

uważano się, że to początek potopu. Ziemia drżała od pędu wezbranych wód; byliśmy odcięci od świata przez zatamowanie komunikacyj. Coraz nowe, często przesadzone wieści nadchodziły o wypadkach zrzędzonych przez rozhukany żywioł, z wielką tedy radością powitaliśmy chwilę kiedy deszcz ustał i w naturze powróciła równowaga. Można sobie wyobrazić jakieśmy sobie szczerze wieszowali, że nas ta bieda nie zastała na opisanéj teraz wycieczce.

LODOWY SZCZYT

(8324 stóp w.).

Z polskiej ziemi, odkąd widne Tatry, kto ma bystre oczy dostrzeże na wschodnim krańcu tego pasma, górę podobną kształtem do piramidy, to jest właśnie szczyt Lodowy po Gierlachu z Łomnicą walczący o pierszeństwo w wysokości nad całemi Tatrami. Nazwa jego pochodzi od zlodowaciałych śniegów, obficie zaścielających mu boki. Śniegi te, nim w znacznej części stopnieją, bronią wstępu na szczyt Lodowy, dlatego też na niego dopiero można się wybierać w końcu lata.

Przed kilkastu laty czynione starania przez słynnego botanika naszego Berdana wraz z księdzem Stolarczykiem prob. Zakop. w celu zwiedzenia dotąd dziewiczego szczytu Lodowego spełżyły na niczem, bo doszedłszy do pewnej wysokości natrafili na nieprzebyte urwiska. Inżynierowie, co ten szczyt mierzyli, byli na jego wierzchołku, gdyż zatknięta

przez nich źerdka w kupie głazów dotąd stoi niewzurszenie. lecz odkrycie drogi na niego zabrali z sobą. Właściwie tedy utorował wycłodzenie na Lodowy wspomniany ksiądz Stolarczyk roku 1867 dokąd z trzema przewodnikami: Jędrzejem Wala, Szymkiem Tatarem i Wojciechem Kościelnym udał się od strony wschodniej, obszedłszy Staw Czarny. Z powrotem udał się południowym bokiem Lodowego i te kilka osób, co dotychczas były na jego szczycie, tedy na niego się wdzielali. Następnego roku wodził na Lodowy, Wala z Poznańskiego księdza Królikowskiego i z Krakowa Stan. Librowskiego; Maciej Sieczka był tu także z dwoma podróżnymi, których nazwisk zapomniał, zresztą potem już wszystkie na Lodowy szczyt wyprawy chybiały z przyczyny słoty.

W r. 1873 za bytności swej w Zakopanem znalazłszy kilku towarzyszy do upragnionej wycieczki, puściłem się w okolicę dotąd mi całkiem nieznaną. Zebrało nas się sześciu, z wyjątkiem mnie, wszyscy przyrodnicy, chcieli zdobyć naukowych, uzbrojeni w konieczne ku temu sprzęty: puszki na rośliny, młotki na kamienie, kłapy i pudła na owady. Z opowiadania górali wiedzieliśmy, że to wycieczka trzydniowa, stósownieśmy tedy się wybrali zaopatrzeni w żywność na cały czas dla nas, dla przewodnika Szymona Tatara i trzech górali pomocników, co te posiłki nieśli wraz z odzieżą cieplejszą na noclegi.

Pierwszy dzień nas zawiódł, bo góry od rana w mgłach tonęły; przewodnik nasz nie radził się w drogę puszczając, zostaliśmy we wsi. Na drugi dzień już nieoglądając się na ebmury, bo tegoroczne lato piękne jak rzadko, po-

myślnie wróżyło, ruszyliśmy w pochód przed 7 godziną rano (9 sierpnia).

Drogi znanéj z poprzednio opisanych wycieczek nie będę na nowo opisował, podaję jednak czas, dla podróżnych ciekawy, aby wedle niego mogli mieć pojęcie o odległościach. W Jaszczurówce stanęliśmy, naturalnie pieszo o 7³/₄ godz. przy kładce na Suchéj wodzie o 9 godz. na polanie Waksmundskéj o 10 godz. 10 minut, gdzieśmy przy popijaniu mleka tu kupionego odpoczywali z pół godziny.

Po przebyciu podnóża Wielkiéj Koszystéj, zkąd ukazuje się wspaniale grupa wierchów od Murania po za Lodowy, powiódl nas przewodnik w bok ku północy przez las, w odwrotnym kierunku, niżli się zdąża z polany Waksmundskéj ku Roztoce. Zaszleściła coś nam przed nogami, była to źmija ustępująca nam z drogi ku najbliższemu krzakowi. Powyżéj lba w grzbiet kijem ugodzona została na miejscu. W niespełna godzinę weszliśmy na polanę, na pochyłym zboczcu góry rozłożoną, zwaną Jaworzyną Rusinową, gdzie w kłku stajniach bydło, w szopach siano a w szałasie osada pasterska się przechowuje przez lato. Przebywa tu czasem téj polany właściciel ksiądz Kozakiewicz.

Widok z Jaworzyny Rusinowéj (3807') niepospolity, tak wspaniały, że dziwię się dlaczego goście wracający od Morskiego Oka lub tam się udający przez polanę Waksmundską nie puszczają się daleko lepszą drogą dołem koło Białki aż do łączki Palenicy, ztamtąd w górę na Rusinową lub odwrotnie, lecz przedzierają się przez manowce po

stopach Wołoszyna, nigdzie nie napotykać na tak bogaty krajobraz, jak właśnie z wymienionej Jaworzyny.

Tu i przyrodnicy swoje instrumenta na bok złożyli, nie mogąc się dość nacieszyć urokami widoku czarującego. Widzi się z Rusinowej Jaworzyny, rzecz można rdzeń, serce Tatr całych, i to tak fantastycznie zestawione, jakby umyślnie przez artystę w wymarzone linije ujęte. Dość powiedzieć, że na przestrzeni jednym rzutem oka objętej, widać najwyższe szczyty Tatr: Lodowy, Gierlach, Waga, Ganek, Rysy, Mięguszowska, a wkoło nich grupują się ślicznie: Murań, Hawrań, Wysoka, Żelazne Wrota, Wołoszyn, W. Koszysta, turnie Młynarza; spód krajobrazu tego tworzy dolina Białki i Białej wody z nadbrzeżnemi skałami i lasami.

O 11³/₄ godz. oderwaliśmy się od tego cudownego obrazu, podążając na dół spadzisto, lasem ku brzegom Białki, której nie widzieliśmy, chociaż szum jej do nas ciągle dolatywał. Minęliśmy polanę Palenicę z jednym szałasem tuż przy jezdnej drodze do Morskiego Oka położoną, a wkrótce (o 12³/₄) rozpatrywaliśmy się w ślicznej okolicy, stojąc na moście przy trzcu na Łyséj. Obecnie wody Białki tworzą granicę między Węgrami a Galicyą, po chwili tedy znajdowaliśmy się na terytorjum państwa Madziarskiego, chociaż na odwiecznej ziemi polskiej, zkądby długo wypadło jeszcze jechać, aby przynajmniej jednego znaleźć Madziara.

W pół godziny po mocno wybojami zepsutej drodze ukazała się nam Jaworzyna Spiska (3203'), osada górnicza z kuźnicami żelaza, dziedzictwo magnackiej rodziny Paloczajów. Okolica Spiskiej Jaworzyny podobna do ku-

źnic Zakopańskich, mniej jednak od nich malownicza, bo z poza połogich lasem porośniętych gór nie widać głównego łańcucha Tatr, oprócz kawałka szczytu Lodowego, gdyż Szeroka Jaworzyńska (6932') ogromnie rozgałęziona zasłania cały najciekawszy widnokrąg od południa. Ma być z jój wierzchołka nader wspaniały widok, a wyjście tam bardzo łatwe.

W zrębach przy ujściu doliny Jaworowej rozłożyliśmy koczowisko na główny popas. Upał był wielki, tém miłej nam było w cieniu drzew odpoczywać nad szumiącym potokiem. O 3 godzinie ruszyliśmy dalej, po przejściu świeżo zbudowanego mostu po nad wielkim, jak zwykle burzliwym potokiem Jaworowym wstąpiliśmy na drożynę tuż koło jego brzegów północnych wiodącą przez las wśród nader romantycznej okolicy. Tęm jój nagie turmie Lodowego szczytu i sąsiednich wierzchów, a przodowym planem dzikie łożysko zasłane wielkimi złomami granitu, po których toczy się z szumem woda tworząc uroczą grę barw z głębią lasu i sinością skał.

Idąc naprzód z przewodnikiem z pośród lasu spostrzegłem wielką polanę ogrodzoną starannie silnym płotem, po niej w dali kilka widać było rozsypanych szop i szałasów, pytam się Szymka o jój nazwę, a gdy mi on tę polanę Gałęjdówką nazwał, nie mogłem wyjść z podziwienia. Naznaczał nam ją za kres całodziennj drogi tymczasem myśmy tu stanęli o wpół do 4 godzinie, a więc blisko cztery godziny czasu było jeszcze do wieczora. Żal mi było tracić tu tyle czasu, skoro od stóp Lodowego dzieliła nas jeszcze daleka droga, przez całą długą dolinę Jaworową, zaprojektowałem więc nocleg w lesie, w górnym jój końcu,

lecz przewodnik wystawił nam to za rzecz niepodobną, z przyczyny braku jakiegokolwiek zachyłku. Bardziej się Szymkowi podobało leżenie na murawie przy chlebie, mięsie i misce mleka, następnie nocleg w szopie na sianie, niż spanie pod drzewem przy ogniu, o oszczędzenie czasu i nóg naszych na właściwy cel wycieczki nie troszczył się wcale. Nie znając położenia okolicy, mimowoli przystałem na radę górala jak się pokazało, samolubnego, témbardziej, gdy moim towarzyszom nie chodziło o to wcale, bo mieli tuż zaraz przy Gałęjdówce Murania, wierch słynny u przyrodników z bogactwa roślin alpejskich, puścili się zaraz na naukowy polów. Zmrok ich przywiódł na polanę zadowolnionych z zebranych okazów; lecz spotykane się tam częste ze żmijami na Muraniu, jak opowiadali, nie można do przyjemności zaliczać.

Noc była pogodna i dość ciepła, przespaliśmy ją jako tako na szopie w sianie, lecz nad ranem zerwał się silny wicher, co źle pozwalało wróżyć o pogodzie. Zamiar wyruszenia w dalszą drogę przed świtem nie powiódł się, bo nim się ze śniadaniem, z podziałem żywności i tém i owem nporaliśmy, zeszło blisko do 6 godziny. Wnet w ruch wprawiliśmy nasze wszystkie mięśnie, bo nas Szymek powiódł zaraz z Gałęjdówki przez potok na zachodnią stronę doliny. Po wierzchołkach sterczących z wody głazów bardzo zręcznie trzeba się było pomykać, aby się nie skąpać, bo potok Jaworowy duży i płynie kilkoma odnogami,

Dolina Jaworowa od Gałęjdówki w górę jeszcze przeszło milę jest długa, dzika lecz wcale nie zajmująca; zachodnią jej stronę tworzą stopy Szerokiej Jaworzyńskiej, góry wapiennej, o kształtach niemalowniczych, porostej trawnikiem,

wschodni bok doliny składają wzgórza lesiste, które kryją za sobą szczyty koło Lodowego. Jednostajność tę przerywają tylko od południa turnie przepaściste Jaworowych Sadów, które nam Szymek najfalszywiej Kolbachem nazwał. Przy tych warunkach i śliczny potok Jaworowy, nawet ze swoim wodospadem traci na wartości, i dopiero ją odzyskuje na przestrzeni między Gałejdówką a mostem przy zrębach w górze Jaworzyny Spiskiej. Ta jedynie część doliny jest prawdziwie czarująca, i zewszehmiar godna uwielbienia.

Dwie godziny szliśmy ciągle w górę to ścieżką, to bezdrożami, obłoki wichur przepędzał po nad turniami Jaworowemi, nim dobiliśmy się górnego końca doliny i zarazem przekonali o możliwości noclegu w lesie, bo nie brak tu zacisza między gęstymi świerkami i limbami, a nawet pod jednym wielkim złomem skały znać było ślady legowiska ludzi i rozkładanych ognisk. Mogliśmy tu być o świcie z świeżymi siłami, gdyby nie lenistwo przewodnika, a tak minęła 8 godzina gdyśmy dopiero przeszli potok i wstąpili w pustą, dziką kotlinę, która okraża Lodowy szczyt od południa. Śniegi zalegały kąty i szczeliny Jaworowych sadów. Smutno tu bardzo, zwłaszcza, gdy słońce skryje się za chmury, nie ma nic, coby mogło umysł rozweselić, mimowolnie jakiś strach zwykły opanowywać człowieka. Im wyżej wchodziliśmy, tém mocniej niebo zawłóczyło się chmurami, robiło się coraz zimniej przypominając nam, że się drapiemy na szczyt Lodowy. O 9 godzinie usiedliśmy w górnej granicy kosodrzewu, aby się posilić i odpocząć przed rozpoczęciem właściwych trudów, jakich się należało spodziewać w tej drodze. Stąpaliśmy dotąd po gła-

zacz granitowych miejscami bujną roślinnością porosłych aż do równinki, którą nazwę piętrem. Tu jest stawek Jaworowy. Górale wskazali nam dwie kozice w turniach, na które mieliśmy się teraz wdzierać. Miłe te zwierzęta to stawały, to umykały, aż i z oczów gdzieś nam między skałami znikły.

Z piętra owego jeszcze jest najmniej 2000 stóp do wierzchu Lodowego. Szemek wskazał nam żleb śniegami ubielony, który najkrócej chociaż nienajlepiej zaprowadzi na szczyt, lecz on nas powiódł na turnie od południa żlebu sterczące, drogą wedle jego zdania łatwiejszą chociaż dalszą. Tymczasem z doliny od Jaworzyny Spiskiej zawitała mgła i ta nas w swoje ramiona objęła tak, iż nie nokoło widać nie było. O godzinie wpół do 11 poczęło grzmieć, lnał deszcz, a myśmy wtedy zdawszy się na łaskę Opatrzności usadowili się na skale i bez żadnej ochrony, wystawieni na wszelkie wpływy rozniewanych żywiołów, czekać musieli lepszej doli. Najwięcej obawialiśmy się piorunów; uderzały ciągle w jakieś turnie okoliczne, odbicie roznosiło huk straszliwy, słybać było łoskot spadających kamieni, to znów jakiś szmer, silniejszy od szumu deszczu, była to zapowiedź gradu, który zaraz i nas tłukł po grzbietach. Chociażeśmy się pookrywali, czém kto miał, lecz nie na wiele się to przydało, moknęliśmy i ziębli nieznośnie. Skoro nawalnica trochę przyciebła, krzepiliśmy się wódką i winem, poczem znowu deszcz się wzmagał, błyskawice coraz nas bliżej okalały, ale Bóg strzegł, żadna nas nie nawidziła. Zachowywaliśmy wszelkie przepisy ostrożności, aby prądu elektrycznego nie przynęcać; toporki leżały zdala od nas na skale, cygar sami ani góralom fajek nie daliśmy palić.

Gdy tak, półtoręj godziny nam zeszło wśród tęg djabelnęj biedy, burza się gdzieś na wschód wyniosła, a mgła niestąpiła i deszcz drobny się puścił, nie było już nadziei pogody.

W samo tedy południe, o półtoręj godziny od szczytu, jak nas zapewniał przewodnik, rozpoczęliśmy odwrót, zupełnie do rejterady po przegranęj podobny. Ze spuszczeniemi na dół nosami, schodziliśmy milecząco po obślizgłych teraz głazach. Deszcz coraz gęściejszy padał. po trzech więc godzinach takiego marszu, skorośmy się dobili dachu i ognia w szałasie na Gałejdówce, nie było suchęj na nas nitki. Dolina Jaworowa zdawała się nie mieć końca, a na dobitek Szymek pobłądził w lesie przy przechodzeniu potoku, żeśmy wkółko brnęli po wodach, po najdzikszych bezdrożach, nim natrafiliśmy na upragnioną polanę.

W szałasie trochę odmiennym od zwykłych ruder po halach, bo ściany były mchem utkane, powała nieprzemakalna, i ogień nie na ziemi, lecz na wzniesieniu niby na kominku, chociaż bez komina, że usiadłszy na obońkach można było się przed dymem ochronić, poczęliśmy się suszyć i raczyć herbata. Do wieczora było daleko, ale nam się za kark nie nie lało i ciepło było, humor odzyskaliśmy. Wśród rozmowy z nami wygadał się gazda miejscowy, że jest Węgrem, chociaż mieszka stale w Jurgowie, wsi czysto polskięj, dwie mile ztąd nad Białką położonęj od wschodu; prosiliśmy go więc, aby nam powiedział, jak woda po węgiersku, jak to i owo. Zglupiał Gałejda (tak się zwał ów góral) bo po madziarsku słówka nie rozumiał. Po jakimuż tedy mówicie? spytaliśmy go, „dyć tak jak wy“ odpowiedział, ale nie wykształcił, że po polsku. Te

same pytania zadaliśmy góralce, co tu na Gałęjdówce w innym szalacie gospodarzyła i to samośmy od niej usłyszeli, co od Galejdy, lecz prędzej się jej to w głowie pomieściło, że górale wszyscy choćby pod jakimkolwiek rzędem byli, węgierskim czy innym, jeżeli mówią po polsku, są i zostaną nazawsze Polakami.

Trudno się dziwić ludowi, że nie wie, po jakiemu mówi, kiedy jak tu na Spiżu nawet księża polszczyznę przesładują, miewając do górali polskich kazania po słowacku, a nawet czesku, po polsku pieśni im śpiewać zakazują, mimo to lud lgnie tam, gdzie go sama natura wiezie, to jest do Polski, i książek do nabożeństwa innych nie kupuje, tylko polskie.

Do wieczora padał deszcz, lecz o zachodzie słońce jaszkrawo z chmur wychylone wierzchołki gór oświeciło. Nagroziliśmy porządnie Lodowemu szczytowi, że taki grubijanin, bo nie chciał nas na swój czub puścić. Noc była bardzo zimna; pomimo wkopywania się w siano na szopie, ogrzać się nam nie udało; ranek chociaż pogodny, także nas niepokrzepił, gdyż wieber zimny dął i nawskrós ziębił, ale że nie lał deszcz, radzi puściliśmy się po herhacie o godz. 7 do Zakopanego tąsamą drogą, którąśmy tu przybyli. O wpół do dziewiątej stanęliśmy przy traczu na Łyséj, przeszło w godzinę, potem na polanie Rusinowéj, o 11 godz. na Waksmundskiéj, o godz. 1 minut 20 w Jaszczurówce, a o wpół do 3 godz. wyprzedziwszy wszystkich przybyłem do Zakopanego, żalowany ogólnie, bo domyślali się wszyscy naszych tarapatów, gdy im Sieczka Maciej trafnie po-

wiedział, gdzie nas mogła spotkać burza, która wprzód przez Zakopane się przesunęła od zachodu.

Nie mogłem na sobie przenieść przegranej z Lodowym, témbardziej, gdy aż do miejsca poznanego nie natrafiłem na żadne trudności, obmyśliwszy tedy praktyczniejszy plan wyprawy na Lodowy, w tydzień potem z świeżo zwerbowanymi towarzyszami puściłem się po raz drugi na ten zakłęty szczyt. Za przewodnika wzięliśmy sobie Jędrzeja Wałę wiele razy już przezemie wspomnianego w tych szkicach. Do Jaworzyny Spiskiej postanowiliśmy dojechać wózkami, o ile się da, aby tym sposobem zaoszczędzić siły, mniej potrzebować górali do pomocy, a więcej zyskać przez to na wygodzie, bo na wózkach dało się zabrać odzieży ile się chce i z pożywienia, co się podoba.

Dnia 17 sierpnia w niedzielę zjadłszy obiad w Zakopanem wczas najdalej mieliśmy o godzinie 11 wyjechać na dwóch wózkach, bo oprócz górali było nas siedm z gości. Najęci jednak furmani poprzedniego dnia, słowa nie dotrzymani, chcąc od znaglonych potrzebą wymódcz podwyższenie zapłaty nad ngodę. Oburzeni tą niegodziwością sławionych z poczciwości górali tatrzańskich, poszukaliśmy innych. Z tych dwóch nowo według ich woli ugodzonych furmanów jeszcze jeden niedotrzymał przyrzeczenia, że przezto wyjechaliliśmy dopiero o godzinie 1 z Zakopanego. Strata tych dwóch godzin pociągnęła za sobą dla dwóch osób z naszego towarzystwa niepowetowaną przykrość, dla nas reszty ujęła wiele korzyści.

W godzinę minęliśmy wieś Poronin, poczem niegodziwą drogą przez Mur, Zasiczłe wśród spiekoty słońca w półtoręj godzinie dostaliśmy się na wzgórze Bukowińskie

(2983'). Odtąd wspaniałą widok na cały łańcuch Tatr zajmował ciągle naszą uwagę. Karczma tutejsza przy drodze do Morskiego Oka, dawniej tak uczęszczana, dziś przerażającą świeci pustką, jakby po rabunku. Drzwi i okna powydzierane, dach podziurawiony, żadnego śladu nie ma żywej istoty. Opowiadano mi, że żyd, co tę karczmę dzierżawił, do takiej nędzy przyszedł, że ledwie żyw od głodu z dziećmi ztąd się wywłókł.

Od karczmy na Głodówkę, to jest do punktu, gdzie jest najwyższe wzniesienie (3654') drogi przez Bukowinę do Morskiego Oka, szliśmy pieszo ciągle pod górę lasem, aby koniom ulżyć ciężaru. O godzinie wpół do 5 usiedliśmy w cieniu pod drzewem na murawie, z kądem widoku na góry nie nie zasłania. Trzeba dobrej znajomości Tatr, aby się w tej masie szczytów od Murania po Osobitą nie zgubić i umieć każdy z nich nazwać właściwie. Objechałem Tatry naokolo i przekonałem się, że znikąd się one wspaniałej nie przedstawiają w całej swój rozciągłości, jak właśnie z tego tu wzgórza Bukowińskiego. Jestto zdanie nie tylko moje, lecz wielu lubowników Tatr. Wala znalazł się w swoim żywiole, czubek najmniejszy nam oznaczał dokładnie i trzeba mu przyznać, że Tatry zna. Długie już lata przebiegając je jako strzelec za kozami, jako przewodnik z podróżnymi, nanczył się ich nazw. Nadewszystko podziwienia godna jest u niego miłość do Tatr, że chociaż dziś stary, różną biedą stérany, skoro się znajdzie wśród owej dzikiej a wspaniałej przyrody górskiej, z osobami, co czują piękność i majestat gór, dusza się jego rozognia, sił mu dodaje i zda się, że go odmładza. Nieraz mi to przychodzi na myśl, czy to już Tatry z Walą stracą swego

najlepszego przewodnika, bo z młodszego pokolenia opró Sieczki, żaden mu dorównać ani w części nie zdoła.

Z Głodówki, do polany Łysej, chociaż droga wiedzi na dół, niepodobna usiedzieć na wózku, takie wszędzie dziury, wyboje, że furman zaledwie sam wóz potrafi tamtędy cało przeprowadzić. Po godz. 6 przebyliśmy most na Białce, a nim dojechaliśmy do Jaworzyny Spiskiej, słońce zaszło, iż już zupełnie wśród ciemności o godz. wpół do 8 doszliśmy pieszo do Gałęjdówki. Mile nas Gałęjda powitał, jakby starych znajomych, dwóch z nas gościł w swojej szopie przed tygodniem dopiero. Przy ognisku roznieconém na polu przed szalasem zajął Wala swoją godność herbacianego, a chociaż stało młéko kwaśne i słodkie w kownekach do naszego użycia, nie chwycił go się, bo herbatę prznosi on nad wszystkie napoje. Na nocleg wtoczyliśmy się po drabinie do szopy na siano, lecz nam nie dały spać pcbły, i zaledwie nad ranem posnęli z nas niektórzy. O godz. 4 trzeba się już było budzić i zbierać do drogi, nim się jednak wszyscy zebrali, pomyli i pożywili, zeszło do godz. wpół do 6.

Pod przewodem Wali z dwoma jeszcze góralami, Jasiem Gronikowskim, ulubieńcem naszego przewodnika i z jednym z naszych furmanów, którzy żywność i odzienie najkonieczniejsze na dzisiejszy dzień zabrali, ruszyliśmy w pochód lepszą jednak bez porównania drogą od tej, co nas Szymek Tatar wodził.

Nie przechodziliśmy potoku Jaworowego, tylko prostą wśród lasu drożyną wschodnim bokiem doliny postępowaliśmy ciągle w górę. Po mostku przebyliśmy potok pły-

nący z Koperszadów, potem (o godz. 6^{3/4}) potok od Czarnego Stawu po głazach. Następnie powiódł nas Wala na przeciwną stronę potoku Jaworowego, gdzie brnąc po bezdrożach wśród świerków i limb, w końcu między koso-drzewiną o godz. 8 przeszliśmy znowu potok Jaworowy na wschodnią stronę i wstąpili na stopy Lodowego. Odtąd w miarę postępowania w górę, coraz stromiej przychodziło się pięć to po złomach, to po upłazach bujnie kwieciami różnobarwnym porośniętych, nim w półtoręj godziny dostaliśmy się na owe piętro po nad stawkiem. Dzika pustka, która przy poprzedniejszej tu bytności tak na nas smutnie oddziaływała, tym razem weselsza się nam wydała, bo słońce ją ciągle oświecało. Silny świst przerwał milczenie w naturze: świstak się nim zdradził. Chciałem go zobaczyć, skradałem się co prędzej ku niemu, lecz za wiatrem będąc, zwietrzył nas rycbło i czmychnął do nory. Wala mi pokazywał świeże ślady stóp jego po wygrzebaniej ziemi przed norą jego. Wtem się i kozice pokazały i to tak blisko, że się im bardzo dobrze przyjrzeć można było, nim drapnęły obie w turnie.

Z tego tu piętra nad stawkiem Jaworowym pokazał nam Wala szczyt Lodowego i drogę na niego wprost po skale, bo innego już na niego wyjścia nie ma. Tędy, co nas wiódł Tatar poprzednio, powiadał Wala, że dojdzie na Pośrednią grań Zimnej Wody, lecz nie na szczyt Lodowego. Naturalnie, wypadło ruszyć wskazanym żelebem, jak sądzę, najmniej 2000 stóp wyniosłym, spadzistym i jeszcze śniegami zasłanym. Z początku szło wszystkim dobrze, ale po przejściu pierwszego proggu, dwóch z naszego towarzystwa

nieprzyzwyczajonych do podobnych przepraw górskich, zaniechało dalszej drogi, témbardziej, nigdy pojawienie się chmur po szczytach nie dawało pewności pogody. Przytém gdyby się dało było nocować w lesie, dwie godziny czasu i trudu oszczędzonego, możeby były wystarczyły na przedłużenie naszego pochodu na górę o tyle, aby i ci dwaj towarzysze podążyli z nami na szczyt.

Od wielkiego płatu śniegu, co zawała znaczną przestrzeń skały, nastaje dopiero prawdziwie djabelska droga, którą tylko mogą przebyć wprawni, śmiali, zdrowi i na widok przepaści obojętni podróżnicy. Szczyt Lodowy ma z téj strony południowej nieco ku zachodowi zwróconej ścianę spadzistą z różnej wielkości progami, których zdala nie widać. Na te progi wdzierać się trzeba żlebkami lub zachyleniami skały po tak zwanych ławkach, to jest, gładkich ścianach kilkusążniowych. Za punkt oparcia służą wypukłości czasem półtoracałowe, sterczące ze skały. Uczepiwszy się końcem buta na jakiej sterczynie, płoziliśmy się całym ciałem po powierzchni ściany i ręce wyciągali, aby się gdzieś wyżej uchwycić czego, coby znów mogło służyć za oparcie dla kolana lub drugiej stopy. Czasem wypadło się sztukować, jeżeli po wyciągnięciu się jak stróna brakło ręki choćby na kilka cali do uczepienia się na ścianie, wtedy następca popychał nogę poprzednikowi swemu, a ten po wydostaniu się na próg, siadał i podawał rękę drugiemu. Szorstka powierzchnia granitu jest podstawą do wdzierania się człowiekowi na takie urwiska, bo chociaż się ciało tu i owdzie otrze do krwi, to jednak nie poślizgnie się po niej łatwo. Chwilami stawaliśmy, nie wiedząc, co dalej po-

cząc, bo ściana coraz była przepaścijsza, a szczyby w nią coraz płasciejsze. Spojrzeć po za siebie nie mieliśmy czasu, bo umysł był wyteżony na najbliższy punkt możliwy do wstrzymania równowagi ciała; mimoto wesołość nas nie opuszczała, nikt z nas ani razu nie zwątpił o sobie, nie zadrżał, choćby w najprzykrzejszem miejscu, co ogromnie wpływa na powodzenie podobnej wycieczki. Wala czasami bladł, bojąc się o nas, aby którego nieszczęście nie spotkało, dlatego prosił, aby sobie nie żartować z napotykanymi tarapatów. Za wszystkich odpowiadać on nie mógł, bo przewodnik na takie trudne wierchy tylko za jedną osobę odpowiedzialność brać może, nas zaś było pięciu na jednego Wale, bo Jaś obładowany żywnością i napojem sam o sobie winien był pamiętać. Trzeciego górala, co z nami poszedł z Gałęjdówki zabrali z sobą, ci dwaj towarzysze, którzy się z drogi wrócili i na owęj równince nad stawkiem nas oczekiwali.

Wszystko zawadza w spinaniu się na stromą skałę, łaskę się odrzuca jako nieznośną przeszkodę, bo tu każda część ręki potrzebna niezmiernie do pomocy. Gdy wypadło przesunąć się koło ściany po wązkim głazie nad przepaścią, tam dłoń z wszystkimi palcami przylegała do skały, jakby na kleju uczepiona. Ile razy minęliśmy jaki przykry kawałek, Wala nas pocieszał, że to już ostatni, chociażśmy się o to nie pytali. Mądra to z jego strony sprawa, gdyż siłę moralną podsyca tym sposobem. Wreszcie ujrzelśmy żerdkę sterczącą zpośród kamieni, i po kilku już wygodnych krokach stanęliśmy u celu naszych trudów i usiłowań w samo południe (12tej godzinie 10 minut).

Pięciu śmiertelników zapisało w swęj pamięci bytność na jednym z trzech króli tatrzańskich: p. Adam Asnyk, znany poeta pod pseudonimem El...y; p. Franciszek Byliński dr. fil. i słynny pianista; Książd A. Krechowicki dr. teol. ze Lwowa, p. Leopold Świerz profesor gim. z Krakowa i ja.

Szczyt Lodowy na wierzchu zasłany głazami bezpieczny jest do siedzenia; zmieścić się na nim może i dwanaście osób. Widok z niego napróžno silihym się opisywać; wrażenia, jakie tam odniosłem, nie dadzą się z niczem porównać, lepiej gdy użyję słów Józefa Kremera, który chociaż tu nie był, ale z natchnienia genialnie streścił uczucia, któremi się na tak wyniosłym punkcie ziemi dusza poi.

„Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim, (Listy z Krakowa), sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie odchłanie objęły cię sobą; tam ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Duch wiekuistości powiewa ochłodą, a przeczucie nieśmiertelnęj istoty twęj wznaga się w piersiach i tysiączne, dotychczas drzemiące w duszy głosy, budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tuteczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, — niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego.“

Przytoczę także słowa nieśmiertelnęj pamięci męża, Staszycza, które wyrzekł ze szczytu Tatr; uwydatniają one gorącą miłość ojczyzny, jaką był przepelniony ten przyjaciel ludzkości.

„Widok niezmierny (O ziemiorkodztwie Karpatów) od północy i południa, od Bałtyckiego aż do morza Adryatyku słupeł swoją wielkością zmysły, razem stawał się miłym mojej duszy, gdy im się w tym samym czasie nasuwała myśl, że te naokoło okiem niezmiernie ziemie, są wszystkie siedzibą wielkiego narodu Sławian, którego ogromna rozległość zastanawiając mnie często w rozważaniu przyszłego losu narodów, skazywała w stosunkach politycznych niekiedy wielkie jego przeznaczenia, lecz te zdawały się tak jeszcze oddalać, ginąć w nieprzejrzalój czasów przyszłości, właśnie jak tu ztąd niezmiernie Sławiańskie krainy giną w nieprzejrzalój ziemi rozstrzeni.“

„Te na zachód i północ aż ku morzom rozlegające się równiny są moją ojezystą krainą. Po niój rozpościera się najezdników gwałt.“

„Ten, mniemając usprawiedliwić się drugim gwałtem, usiłuje przeistoczyć cny naród i zniszczyć pamięć i imię Polaków.“

„Wy ogromne grobowiska przeszłych wieków, wy najtrwalsze pomniki dla wieków przyszłych, w niedostępnej wzniesione wysokość, w obłokach utykając wasze szczyty, wy! zachowacie niezgubne imię Polaków.“

Dziwnie wspaniałe mieliśmy czas spędzony na szczycie Lodowego, bo to niby pogoda, a chmurno, lecz przez to Tatry nam się ztamtąd przedstawiały, jakby wymarzone obrzy Dorego. Gdzie się wkradł promień słońca, tam żywemi barwy ozłacał to skały, to doliny, to jeziora, a na tem tle strojném rysowały się pomroka powleczone turnie inne. Wschód tonał jakiś czas we mgle, wydawało się nam, jakbyśmy siedzieli nad brzegiem bezden-

nój przepaści, której granie oko ludzkie nie dostrzeże, wtém słońce oświeciło szczyt Lodowy i po chwili na tle tego bezdna poczęły się rysować płatki białe i czarne; pierwsze były to śniegi, a drugie, to stawy w dolinie Zimnój Wody. Następnie ukazały się turnie Łomnicy, Głupiej góry i Baranich rogów, a za nimi prostopadła ściana Kiesmarskiego wierchu. Łączą się te szczyty przełęczami z sobą, okrążając dolinę Zimnój Wody Małej od północy, gdy od południa zamyka ją wierch Zimnój Wody Wielkiej; Lodowy tworząc tej dolinie zaporę od zachodu wchodzi w skład rdzenia tatrzańskiego, to jest głównego grzbietu tych gór od Siwój skały za Rohaczami nieprzerwanego po Murań, którego dopiero czepiają się grzbiety uboczne. Szczyty widzialne z Lodowego zbyt czną byłoby rzeczą wyliczać, bo z wyjątkiem Krywania i jego najbliższych sąsiadów, które się kryją po za Gierlachem, widać prawie wszystkie naokoło. Nawet Wołowiec z nad doliny Chochołowskiej wychyla swe czoło. Beskidy gubią się w tle boryzontu równiny krakowskiej; ciemne tylko pasy lasów zdradzają grzbiet Karpaki. Rzeki i potoki jak srebrne nitki błyszczą się na zielonym kobiercu powierzchni ziemi.

Dwie godziny minęły nam tu, jak jedna chwila, zostawiając w pamięci niezatarte wrażenia z pobytu na Lodowym, Wala już przed godz. 2 przypominał o powrocie aby przed nocą zdążyć na Gałejdówkę, gdzie dużo wcześniej słońce zachodzi niż na górze. Zabraliśmy się więc do schodzenia na dół, co bywa zwykle gorszem, niż wycho-dzenie na górę dla osób w tém niewprawnych.

Sztuka schodzenia na dół z przepaścistych turni polega na spuszczeniu się grzbietem do skały, przez co ciężar

ciała łatwiej utrzymać w równowadze; w razie potknięcia się lub poślizgnięcia czepiamy się tą częścią ciała, na której zwykliśmy siedzieć, mamy do pomocy wolne ręce i widzimy dobrze swoje położenie. Ktoby zaś przodem do skały lub bokiem puszczał się na dół, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo stracenia równowagi przy lada kroku i potrzebuje daleko więcej czasu na patrzenie pod siebie i za siebie. Szczęście nam sprzyjało, pomimo kilku fatalnych miejsc, przebyliśmy je wszyscy bez szwanku. Przy jednym żlebie, który się tak kończył, że koniecznie wypadało skrócić się od jego spodu na prawo koło ściany nad urwiskiem, Wala spuścił się tam pierwszy, i swoim grzbietem zastawił njsie żlebu, aby który z nas nie wypadł jak z rynn, témbardziej, gdyżmy od sterczyny ręką chwyconej zsuwając się, nie mogli natrafić na żaden punkt oparcia dla nogi. Powierzaliśmy się więc sile przewodnika i zręczności własnej w przedostaniu się na próg, dopiero nagle w ostatniej chwili ujrzany. Jeszcze raz dodaję, że tylko po granicie można się tak na los szczęścia spuszczać, bo gdyby Lodowy był z wapienia, ani marzyć o wyjściu nań i zejściu z niego.

Im niżej, tém lepiej było schodzić; pochyłość ściany większa i progi szersze, a więc mniej trudów, że się uwagę dawało zwracać i na widok Tatr od zachodu rozwinięty.

O godzinie 4 usiadłem już na owem piętrze nad stawkiem, gdzie dwaj towarzysze, co się z drogi na szczyt wrócili, spoczywali. Znużenia nie czuliśmy jeszcze wcale, tylko nadzwyczajną sprężystość mięśni jakby po dłuższej lekcyi gimnastyki, dopiero w miarę coraz dalszego marszu

po złomach, różnej wielkości i to bezprzestannie na dół, ciężar ciała koncentrując się w kolanach, uczné nam dawał strudzenie. O godzinie 6 stanęliśmy nad potokiem Jaworowym, biorąc rozbrat z Lodowym, o godzinie 7 nad potokiem Czarnego stawu, któryśmy z wierzchu Lodowego oglądali. W trzy kwadranse doszliśmy do mostku nad potokiem z Koperszadów uchodzącym. gdzie już nas zmrok przysiadł. Kamienie, którychśmy idąc tędy rano nie uważali, teraz dotkliwie ucznawali; wydawało się nam, że końca téj doliny Jaworowej nie będzie, lecz każde złe jak i dobre na świecie przemija, toć wreszcie i my przy zupełnej ciemności po godzinie 8 dobiliśmy się npragnionej Gałęjdówki. Odziawszy się ciepłem okryciem, jakże błogo było położyć się na trawniku wkoło ogniska po osiągnięciu celu! Wycieczka się udała, mogliśmy sobie to powiedzieć, bo chociaż daleko jeszcze ztamtąd było do chaty w Zakopanem, ale żadnej przeszkody w drodze do powrotu.

Nie ma się poco rozwodzić nad opisem końca wyprawy naszej, hoszła jak iść była powinna: bez żadnego przypadku. Na noc pragnęliśmy spoczynku swobodnego od wszelkich owadów, wskazał nam więc Gałęjda strych nad szafasem założony sianem, gdzie nikt z pasterzy nie sypiał, tam tedy smacznie noc spędziliśmy, rano wśród slicznej pogody wyruszyliśmy z Gałęjdówki koło godz. 8 w Jaworzynie Spiskiej napiliśmy się kawy, zkąd dalszą lecz lepszą drogą pojechaliśmy przez Podspady (godz. 9 $\frac{1}{4}$) do Jurgowa, ciesząc się pięknym widokiem na Tatry, które się tam coraz więcej wychylają z za Murania i Hawrania, Jaworowy potok ciągle nam zdała szumiał, potem złączony z Białką płynie wspólnie. O godz. 10 $\frac{1}{2}$ minęliśmy Jur-

gów, o godz. 11 w Czarnéj górze przejechaliśmy po moście Białkę tuż obok tracza. Skwarne gorąco nasunęło nam myśl kąpieli; słowo stało się zaraz czynem, poczem dalej w drogę przez Bukowinę, następnie przez Mur, Zasichę, Poronin (godz. 2^{1/2}) że koło godz. 4 każdy z nas siedział już w Zakopanem w kółku przyjaciół lub rodziny i rozpowiadał dzieje szczęśliwie dokonanej wycieczki.

POGLĄD NA TATRY.

„Nowe czucie, śmielsze życie
Tu na górach, niż w dolinie,
Kiedy stojąc na skał szczycie,
Chmura popod nogi płynie.
Wszystko głucho, jak w oazie,
Ale w duszy myśl ożyła,
Myśl ukryta, jakby w glazie.
Drogich kruszców skryta żyła.
Gdy radości łzę wyleje,
Nieraz gdy się mniemam w niebie,
Zimny czasu duch zawieje
I méj myśli grób wygrzebie.
Jak w zarodzie pączek giuie,
Tak i lotna myśl usycha,
Albo w insze światy płynie,
Inném życiem tam oddycha.
Tu, gdzie skały mkną olbrzymie,
Tu, gdzie śmielsze serca bicie,
Tu i myśl, co w duszy płynie,
Czuje nową młodość, życie.

(X. K. Antoniewicz).

Cały łańcuch gór 120 mil długi, od Morawii rozciągający się po Wołoszczyznę, nazywamy w książkach Karpatami; nie żyje bowiem ta nazwa w ustach ludu, który je



W. Elmer...

tylko zna w imionach poszczególnych, jak Bielawy, Bieskidy, Gorzec, Tatry, Krępak, Magura, Czarny las, Czarna hora i t. p.

Z tych gór część główna, posiadająca charakter alpejski, pod nazwą Tatr, jest rdzeniem, trzonem całych Karpat. Na przestrzeni 8 mil wzdłuż a 3 wszere, piętrzy się pasmo dzikich i nagich szczytów sięgających do półdnia tysięcy stóp wysokości nad poziom morza Bałtyckiego, otoczone zewsząd wałnemi dolinami od właściwego grzbietu karpackiego, tak, że Tatry tworzą same dla siebie odrębną całość oddzieloną na zachodzie doliną Orawską, od północy doliną Nowotarską, od południa w połowie jednej Liptowską, a w drugiej Spiską, która ją i od wschodu rozgranicza. Myli się więc grubo ten, co Karpaty nazywa Tatrami. Karpat nazwa pochodzi od Chorby, Cherby, Cherbty, garby, grzbiety;¹⁾ że zaś ani greccy, ani łacini geografcowie takiego słowiańskiego wyrazu nie umieli wymówić, więc go do swoich pojęć nakręcali i zrobili z niego Karpaty, a z Chrobatów wytworzyli Karpów, Karpidów, Karpianów, od których kraj podgórski cały zwie się Chrobacją. Mieszkańcy ci gór sąsiadów swoich osiadłych w równiach od lechów²⁾, roli, nazwali Lechami, co się do dnia ntrzymało. Górale nasi inaczej nie zowią mieszkańców z równin jak lachami.

Zkąd się wzięło imię Tatr, dotąd są w tym względzie tylko przypuszczenia. Pierwszy raz z nazwą Tatr spotykamy

¹⁾ Szafarzyk. Starożytności słowiańskie. Lelewel. Narody na ziemiach sławiańskich.

²⁾ Maciejowski. Rzut oka na dzieje Polski.

się w czeskiej kronice Kosmasa, gdzie nam je przytacza raz w dokumencie z r. 998, drugi raz z r. 1086. Przedtém tonie ich nazwa w ogólném mianie całego pasma Karpackiego, które nazywano górami Dackiemi (Plinius), to znów Bastarnickiemi, Sarmackiemi i Wenedyjskiemi od ludów ich stopy zamieszkujących.

Tatra, towtra, w słowiańskim języku oznacza wysoką skałę³⁾; są przysłowia ludowe, w których tatry mają znaczenie wysokich gór⁴⁾. Inny znów badacz języków (Bopp)⁵⁾ wyprowadza nazwę Tatr z języka sanskryckiego przez wyrzutnię z wyrazu Dharadhara, który u Indyan oznacza pojęcie, że „boki i grzbiety gór dźwigają nrodzajną ziemię.“

Najwięcej jednak zdaje się mieć słuszności wywód nazwy Tatr od tatry t. j. wyniosłej skały.

Spotykamy się z Tatrami już ciągle w dokumentach tak polskich, jak węgierskich i w kronikach, chociaż Długosz różnie jeszcze te góry nazywa: to Tatrami⁶⁾, to Alpami polskimi, sarmackiemi lub panońskimi⁷⁾, ale wyraźnie stosuje je tylko do téj części Karpat, co my zawsze Tatrami zwiemy. Dziwną tedy jest rzeczą, z kąd się u niektórych naszych pisarzy wzięło chrzczenie Tatr Krępakiem, kiedy to miano służy tylko téj części gór, które na Spiżu między Podolińcem a Muszyną rozdzielają Dunajec od Po-

³⁾ Linde. Słownik. Pol. Północny wschód Europy.

⁴⁾ „Za babku bi i kozu prez Tatry lnal;“ za babkę (za szeląg) i kozę przez Tatry gnałby, t. j. łakomy na zysk. (Linde).

⁵⁾ Starożytności polskie. Poznań. 1842.

⁶⁾ Kronika Długosza pod r. 1276.

⁷⁾ Kronika Długosza pod r. 1287.

pradu. Przecież Bielski na początku swęj kroniki, mówiąc o górach w Polsce, odróżnia Tatry od Modręj góry, Krępaku i Bieściadów. Na Spiżu Krępak właściwie dzielił Polskę od Węgier, bo lewy brzeg Popradu zawsze należał do Polski. Gmatwaniny te mają to samo źródło, co i baśnia o pochodzeniu nazwy Tatr od Tatarów; wytworzył ją ktoś taki, co wcale nie miał wyobrażenia o historii, boć hordy te pojawiły się pierwszy raz w Europie r. 1241, kiedy Tatry już się zwały Tatrami od kilku wieków, jak świadczy kronika Kosmasa.

Z ludów, które stale stoki gór Karpackich zamieszkiwały, wymieniają historycy Daków, Bastarnów, Karpów, Peucynów, Scytów, Wenedów, Sarmatów, Piengitów (od nich nazwa Pienin), Biessów (od nich Bieskidy), Awarynów, Jazygów, Getów i t. d. i wszystkim im zgodnie przyznają słowiańskie pochodzenie. Z przechodnich zaś ludów, co przez Karpaty wędrowały i ślady po sobie zostawiły w nazwach gór, rzek, osad lub w mowie ludowej, podają współcześni: Celtów, Gotów i Gepidów (od tych Gepusia, Scepusia, Seepus, Spiż). Wędrowki te powtarzały się, począwszy od III wieku po Chrystusie aż do XIII, najprzód Gotowie, Gepidowie, potem Hunny, Awarowie, Madyjary a w końcu Tatarzy. Przetrwało słowiańskie plemię wszystkie zawieruchy, które się nad ich głowami przesunęły, strawiło wszelkie ohce żywiły w sobie, zatrzymując tylko ich ślady w mowie. Wyraźnie o Chrobotach na podgórzu Karpackiem mówi w X wieku Konstanty Porphyrogenita, że jest to lud słowiański zamieszkujący „Babie góry.“⁶⁾

⁶⁾ Naruszewicz. Historia nar. pol. I. 168.

Chrobacya rozciągała się po obydwóch stokach gór Karpackich od północy po Wisłę, od południa po Dunaj; stolicą jej był Kraków. Tworzyła Chrobacya część Wielkiej Morawii, państwa Świętopelkowego, lecz po jego śmierci przeszła kolo r. 906 do Polski prawem dziedzictwa, a nie podboju.

Bardzo ważne świadectwo o granicach Polski za Tatrami za Mieczysława I daje nam autor kroniki węgiersko-polskiej,⁹⁾ który znał Bolesława Chrobrego opowiadając: „Mieczysław, książę polski, zebrawszy wszystko swoje wojsko, przybył do króla (Stefana) pod Strygoni i rozbił namioty swoje tamże na granicach Polski i Węgier; bowiem granice Polski rozciągały się aż do brzegów Dunaju pod miastem Strygoniem, ztamtąd szły do miasta Eger i aż do rzeki zwanój Cisa przypierały, wykrcęały się potem ponad rzekę zwaną Cepla aż do twierdzy Galis i tam na rozgraniczu Węgier, Rusi i Polski kończyły się.“

Za panowania jednak tego samego Mieczysława, Chrobacyą opanowali Czesi „po góry, które są za Krakowem, a nazywają się Tatry (Cosmas), zatatrzańską zaś jej część zajęli Węgrzy, lecz na krótko, bo Bolesław Chrobry 999 roku Czechów i Węgrów z całej Chrobacyi wypędził¹⁰⁾ i pierwotne Polsce granice z téj strony przywrócił. Dlatego kronikarze polscy mówiąc o rozszerzeniu granic Polski przez Bolesława Chrobrego do Dunaju, nie podają tego

⁹⁾ Chronicon Ungaror. mixta Polon. Lelewel. Polska wieków średnich, tom II, str. 151. Bielowski. Wstęp krytyczny do dz. P. str. 502.

¹⁰⁾ Szajnocha. Bolesław Chrobry.

za zdobycz, lecz za odzyskanie napowrót tego, co poprzednicy jego utracili.¹¹⁾

Następnie Madziary korzystając z zamieszek w Polsce za Mieczysława II, to niby jako sprzymierzeńcy wygnanego Bolesława Śmiałego, granice swoje bliżej Tatr posuwali. W r. 1108 Koloman, król węgierski, szukając pomocy przeciw Czechom i Austryakom, napisał do Bolesława Krzywoustego, aby się zjechali dla zawarcia przyjaźni na Spiżu. Zawarli tam obaj monarchowie przymierze zaczepno-odporne, a dla większego jego ntwierdzenia, dzieci swoje małżeństwem połączyli. Stefan, syn Kolomana, zaślubił Judytę, córkę naszego Bolesława, i w posagu w dożywocie dostał hrabstwo Spizkie. Lecz po śmierci Stefana Węgrzy Spiża zwrócić nie chcieli; Bolesław usiłował go siłą odebrać, ciągniony w pomoc Borysowi, pretendentowi do korony węgierskiej w miejsce Beli, lecz już po przebyciu Tatr na Spiżu w czasie bitwy zdradzony przez Rusinów i Węgrów Borysowych, w końcu od Niemców otoczony, ledwo w ucieczce śmierci uszedł r. 1132.¹²⁾ Ta to przegrana po tylu zwycięztwach polskiego bohatera tak zmartwiła, że zapadł na zdrowiu i życie wkrótce zakończył. Utracony w ten sposób Spiż leżał po prawym brzegu Popradu, lewy bowiem brzeg należał zawsze do Polski, czego dowodem nietylko dokumenta węgierskie, ale i pol-

¹¹⁾ Kronikarz Boguchwał: „Boleslaus primus, magnus dictus terminos Lechitarum ab aliis deperditos strenue recuperaverat.“

¹²⁾ Naruszewicz. *Historya nar. pol.*

skie. Nie mógłby Bolesław Wstydiwy zakładać Podolinca¹³⁾ na obcym gruncie, ani żona jego Kinga przywileje nadać,¹⁴⁾ gdyby rządy ich tu nie sięgały.

Ciągle jednak spory o granice na Spiżu wiedli Polacy z Węgrami, zwłaszcza biskup krakowski, w którego dyecezyą wdzierał się biskup Strygoński. Przed papieżów wywodzili skargi nasi biskupi i przecie po długich procesach, bo od r. 1235 do 1332 prowadzonych, sprawę wygrali. Przysądzono dyecezyi krakowskiej właściwe granice, a biskupowi zwrot pobranych dochodów i koszta procesu. W wyroku tym podane są wyraźnie granice dyecezyi krakowskiej;¹⁵⁾ podstawą ich wody, które płyną ku Polsce, to jest do Dunajca i Popradu.

Zastaw Spiża, w r. 1412 przez cesarza Zygmunta uskuteczniiony, przywracał Polsce 13 miast, oprócz starostwa Lubowelskiego. Dziwne jednak było to odzierżenie Spiża przez Władysława Jagiełłę, bo tylko starostwo Lubowelskie przechodziło we właściwe posiadanie, co zaś było po prawym brzegu Popradu, należało do Polski jako „dominium utile.“

Tatry więc całe odwiecznie były własnością Polski aż do zaboru Galicyi przez Austryą w r. 1770. Minister an-

¹³⁾ Fejer 4. I. 353. Ów Bolesław Sołtysowi Henrykowi nadaje sołtystwo w Podolińcu założone „ad nos jure hereditario pertinentem“ r. 1244.

¹⁴⁾ Fejer 5. III. 463. Kinga tego samego Henryka przywilejem obdarza r. 1289 „in praenotata villa nostra Podolin.“

¹⁵⁾ Fejer 8. II. 634. „Prout aquae sen rivuli versus Poloniam defluentes in Dunavec et in Poprad decurrunt.“

stryacki Kaunitz zajął najprzód w r. 1769 te miasta Spiszkie, co były Jagielle w zastaw dane; w rok później we wrześniu zagarnął starostwo Spizkie (właściwie Lubowelskie), powiat Sandecki i przyległą okolicę, aż nareszcie r. 1772 całą, tak zwaną Galicyę. Wtedy to Węgrzy zostając pod jednem z nami berłem, wcielili w swoje granice co im się podobało, chociaż były to tylko linie celne dla tytoniu. Przy zdejmowaniu nazionu do map pilnowali się dobrze, aby chociaż na papierze udrzeć z posiadłości narodu, dla którego tyle sympatyj zwykli objawiać.

W świeżo ubiegłych latach, na mocy prywatnego układu między posiadaczami dóbr na stokach tatrzańskich rozłożonych, granicę już po rozbiorze Polski poprowadzoną grzbietem wierchów naokoło Morskiego Oka ze szczytu Mięguszwoskiego spuszczone na dół i środkiem stawu do njsia Białki wytknięto, jakby sprzedaż prywatna mogła wpływać na zmiany terytoryalne polityczne. Próżne to te uzurpacye Węgrów, boć Tatry były i będą Alpami słowiańskimi. Północne stoki tych gór w całej ich rozciągłości zamieszkują Polacy, od hal, pastwisk górskich, nazwani Podhalanami, a południowe stoki zalegają Słowacy. Wśród nich na Spizu jest dużo osad niemieckich, których Węgrzy pochłonać nie umieli, o madziarską zaś osadę nikt naokoło całych Tatr się nie dopyta. Jednostki jeźli się gdzie znajdują, to giną w tłumie Słowian

Mowa Podhalan jest mieszaniną wyrazów z różnych języków pobranych, przeistoczonych i przyswojonych, że ktoby chciał wszechstronną o niej zdać sprawę, winienby badać ją na podstawie nie tylko słowiańskich ale germańskich, romańskich i azyatyckich nawet języków. Znachodzą

się tu wyrazy pochodzące z czeskiego, rusińskiego, maddziarskiego, niemieckiego, francuskiego a nawet hiszpańskiego języka; oprócz tych są ślady mowy starożytnych ludów, dlatego myślą się ci pisarze, co badania swe w tej mierze opierają na jednym sobie znanym języku obcym, zazwyczaj niemieckim, nakręcając wszystko do pochodzenia germańskiego, czego sobie na podstawie polszczyzny nie mogą wytłumaczyć.

Przyczyną formowania się w ten sposób mowy górali polskich było osadnictwo na prawie miejskiem, bo, aby ludzi nęcić do osadzania się w puszczech tatrzańskich, nadawano im przywileje na ówczesną epokę swobodne, wskutek czego z różnych krańców świata ściągają się tu ludność, przynoszą z sobą wyrazy obce, które przez używanie na polskiej ziemi przetwarzały się na właściwe tylko temu zakątkowi słowa, zwłaszcza dotyczące zatrudnień naszych górali, jak n. p. pasterstwa.

Podaję tu z mowy górali tatrzańskich wyrazy im tylko właściwe, które sam własnymi uszami słyszałem, i tłumacząc ich znaczenie wedle badań o ile się dało najdokładniejszych. W słowniczek ten nie wchodzi żaden wyraz czerpany z pism innych autorów, tylko wszystkie zebrane bezpośrednio z natury.

Baca, naczelnik osady pasterskiej na hali.

Bacówka, zagroda pasterska na hali.

Bania, kopalnia.

Bryja, potrawa z mąki, oprócz ziemniaków najgłówniejszy artykuł żywności górali. Na gorącą wodę wyspaną żytnią mąkę miesza się i gotuje tak urobione ciasto, które

potem zalane mlekiem lub maślanką jedzą łyżkami odkrawając, jakby kluski z mlekiem.

Brzost, wiąz.

Cent, centnar.

Cierpiałka, figura święta przy drodze.

Cieślica, siekiera ciesielska, spodem zakrzywiona.

Ciupaga, toporek używany za laskę.

Co cud, sposób mówienia na wyrażenie wysokiego stopnia jakiegoś przymiotu, dla oznaczenia np. wielkiej mnogości: „było tam ludu, co cud!“ „taki dobry, co cud!“
i. t. p.

Cucha, cuszka. gunia, guńka goralska.

Czerpak, wielki drewniany kubek z uchem do nabierania żętycy.

Drzewi, drzewiej, dawniej, dawno.

Dudek, wartość monety dwóch centów.

Dymy, mgły.

Dziady, dziadki, kopy siana na polu złożone.

Dźwierze, drzwi.

Frajrka, kochanka, na fraj chodzić, w zaloty chodzić.

Fujawica, zawieja śniegowa.

Fuknąć, skoczyć, w znaczeniu pomknąć.

Gad, wąż.

Gadzina, drób, ptastwo domowe.

Gazda, gospodarz, gaździna, gospodyni.

Gieleta, naczynie drewniane w kształcie faski, używane na mleko przy dojeniu owiec.

Giewont, słup, belka lub coś podobnego stojącego pionowo.

Grań, ostra krawędź góry.

Grapa, oderwane, na brzeżku gdzieś miejsce porosłe lasem.

Grule, ziemniaki.

Groń, brzeg góry.

Gryzula, rzepa.

Gwara, gadanina.

Chorość, choroba.

Chudoba, dobytek.

Chusta, prześcieradło białe, noszone przez góralki, jako odzienie na uroczystość, ze słowacka zwane czasem łoktusem.

Habryka, tytoń.

Haj, tak, wyraz potwierdzający.

Hala, pastwisko u górnej granicy lasów.

Hańbić się, wstydzić się.

Hawiarz, górnik.

Huby, grzyby.

Iścizna, kapitał.

Jar, lato.

Jarka, owca jednoroczna.

Jarzec, jęczmień.

Je, toć (z podziwem).

Julas, pasterz.

Kajfasz, skrzynka z drążkami do noszenia wapna.

Kierdel, stado zwykle owiec lub kóz.

Kierpce, kirpce, obówie góralskie, z jednej skóry kawałka wykrojone, rzemykami u mężczyzn, sznurkami wełnianymi czarnymi u kobiet wiązane do nóg na obwinieciu płóciennem, które się onyckami zowie.

Klag, podpuszka do mleka, aby się zaraz skwasiło,

pochodzi ona z żołądka zabitego cielęcia. Mleko przez cielę z matki wyssane tworzy płyn białawy, który wyjęty z żołądka i zasuszony w pęcherzyku przechowują pastarze w szalasię; wrażliwość kłag ten po kawałku ulupywany rozpuszcza się w osobnym ku temu naczyniu Kłagownicą zwanem. Przed wpuszczeniem go do mleka w kotle precedza się go przez sitko.

Klucz, krótki drążek z zagiętymi końcami, jakby uchami, do zawieszenia kotła nad ogniem u odwodnicy.

Koliba, miejsce schronienia w górach, czy to szałas, czy jakaś szopa, czy lada zachyłek przed deszczem pod pochyłą skałą lub wielkim głazem.

Kopiniak, surdut.

Korzec, skorek, wszędzie znany owad.

Koszar, zagroda z żérdek, lub z deszczek zrobiona, gdzie się owce zapędza na nocleg i do dojenia.

Kotwić sobie, przykrzyć sobie.

Koziombki, poziomki.

Kostki, muszelki drobne białe, naszywane na rzemyku, i jako niezbędna ozdoba kapeluszy u podhalańców noszone. Kupują je górale po kiermaszach od handlarzy, którzy muszelki te z nad morza adryatyckiego sprowadzają. Im są drobniejsze, tym wedle górali pojęcia, ładniejsze, a tym samym droższe.

Kulik, żérdka z kolcami do suszenia siana.

Kurniawa, zamieć śniegowa.

Kwas, w znaczeniu; dużo kwasu w izbie; dużo śmieci, brudu lub nieporządku w izbie.

Lach, mieszkaniec równin.

Łachy, ubranie,

Ławka, w turniach tak zwią górale kawal litej gładkiej skały złej do przebywania; z tąđ można wnosić, że jeśli góral mówi o drodze przez góry po ławkach, to tam łatwo kark można skręcić.

Łom, las burzą wylamany, toż samo wykrot.

Łoni, łońskiego roku, przeszłego roku.

Łyżnik, pułka na łyżki.

Maturę mieć, chętkę lub zdolność wrodzoną do czegoś posiadać.

Młaka, młaki, moczara, moczary.

Moc, wielka ilość czegoś,

Moskal, placek owsiany.

Naprać, dużo nabrać,

Naremny, gwałtowny, porywczy, nagły,

Naremnicza, deszcz ulewny, ulęwa.

Nie peć, nie łatwo, trudno.

Niewiasta, synowa.

Nohawice, spodnie.

Obońka, płaska bardzo beczółka, z dnami z obydwóch stron, w ścianie bocznej otwór czopem zatykany, naokoło łapki z drzewa, do przewlekania przezeń powrózka, którym przywiązuje się obońkę do siodła, na koniu przy zwożeniu mléka z hal, czasem żętycy.

Obertnąć się, prędko się zwinąć.

Odwodnica, drażek dający się odwodzić, u którego za pośrednictwem klucza wisi kocioł nad ogniem.

Onaczyć, czasownik różne u górali mający znaczenie, stosownie do okoliczności; odmiany jego: wyonaczyć, przeonaczyć, zaonaczyć i t. p. znaczy to i coś tworzyć, prze-

robić, przekręcić, szachrować, manewrować, n. p. przeona-
czył kogoś, przerobił go na swoją stronę.

Oszczypek, sérek owczy w kształcie beczółki, nadanym
mu przy wyciskaniu we formie.

Otawa, łąka po skoszeniu siana gdzie potraw zostawiono
na spasienie dla bydła.

Pacholek, parobek.

Papierek, gulden papierowy.

Palenka, gorzałka.

Perć, ścieżka.

Piargi, usypiska żwirowe w górach.

Pipazur, piparek, cybuszek do fajki.

Plekać, ssać.

Płacić, znaczyć, np. to nic nie znaczy, to nic nie
warte, tyle, co: to nic nie płaci.

Płaszczycza, pluskwa.

Płony, lichy,

Polana, łąka w górach.

Prasnąć, cisnąć, rzucić coś o ziemię.

Przełęcz, siodło, grzbiet wklęsły, łączący dwie góry
z sobą

Przewertnąć, przewrócić, przeskoczyć.

Psota, słota.

Pnciera, pucierz, cebrzyk z nogami do rozczywania mlé-
ka na żętycę i na przechowywanie jej w szalasio.

Puch, zadneb.

Pucharek, szklanka.

Pytać, prosić, po pytaniu lub pytaczce chodzić, znaczy
tyle, co po prośbie po żebraniu.

Rafać, nasienie ze lnu obrywać.

Rafy, sprzęt do zrywania nasienia lnu; jest to ławka w pośrodku ze sterczącymi w górę, jak grzebieni, żelaznemi zębami, o które po obydwóch końcach ławki siedzący ludzie naprzemiann targają garście lnu.

Rąbanica, siekiera zwykła do rąbania drzewa.

Rąbanisko, las wyrąbany.

Regle, wstępne wiechy lesiste, niby stopy głównego grzbietu gór.

Rema, katar.

Rosół, solą przesyconą woda w żłóbku, gdzie się moczy świeżo wyciśnięty sér owczy dla nabrania smaku.

Serdak, kożuszek krótki bez rękawów, zimą i latem noszony przez górali i goraliki.

Sfóra, kamień gąbczasty, porowaty, zwany martwicą.

Siwary, trawy suche, twarde niepożywne dla bydła.

Skale, kamienie.

Skorusza, jarzębina.

Skurłat, wymię u owcy.

Ślebońnie, swobodnie.

Słuchanica, komesyonał.

Smrek, świerk.

Sochacze, suche gałęzie u rosnącego drzewa.

Swierk, modrzew.

Statek, bydło, statek gruby: rogacizna, statek drobny, nierogacizna.

Strąga, bok koszaru z powycinanemi otworami, na przepuszczanie owiec przy dojeniu; przy każdym takim oknie siedzi juhas z gielecą na stołeczku i doi owce, a poganiacz je do strągi napędza.

Strzyżka, owca,

Szałas, szopa pasterska.

Szklanka, wszystko co ze szkła, a więc np. flaszki nazywają się tu szklankami.

Szmatka, chustka noszona na głowie u kobiet.

Tele dole, tak daleko.

Turnia, goła skała.

Uplaz, upłazek, miejsce porośnięte trawą po wierchach.

Uwieszisko, uwozisko, usyp.

Uwyrtać, uwértać, uwinąć się prędko.

Wanta, głąz wielki.

Wantule, miejsce, gdzie dużo wielkich głązów nanie-sionych burzą.

Watra, ognisko.

Wartki, prędko, wartko, prędko.

Wetula, koza jednoroczna

Wérko, łózko.

Wiérch, wierch, każdą górę w ogóle zwią górale wiérchem.

Włacuchy, sanie.

Wnęk, wnuk,

Wykrot, drzewo burzą powalone.

Wykrocisko, miejsce, gdzie drzewa od hurzy powalone.

Zaglówek, poduszka.

Zabuhić, zagubić,

Zabradki, zagrody.

Zakosy, zakręty, np. ścieżka w zakosy w zygzak.

Zapaska, fartuch który zwykły nosić góralki. na ramionach do codziennego ubrania.

Zazgnieć, zazoga, żagnieć żagnienie, jaskrawieć od zachodzącego słońca, ztąd żagiew, płonąca głownia.

Zbójnik, opryszek, rozbójnik, iść na zbój, przyłączyć się do rozbójników.

Żleb, parów skalisty, któredy zwykle woda cieknie.

Zorbrać, orientować się, (brać zór).

Z precka, zdaleka.

Żeleźnica, kolej żelazna.

Żętyca, serwatka z mléka owczego.

Czasownikom w czasie teraźniejszym, w pierwszej osobie nadają Podhalanie końcówkę *m*, np. zamiast; widzę, słyszę, robię, mówią: widzim, słyszym, robim, itp. a w czasie przeszłym końcówkę *k*, np. zamiast: widziałem, słyszałem, robiłem, mówią: widziałek, słyszałek, robiłek. itp.

Przemysł ludu górskiego przewyższający lud w równinach, jest prostém następstwem geograficznego położenia, z powodu ostrego klimatu, ziemia nieurodzajna nie może mieszkańców gór wyżywić, muszą więc innemi sposobami opędzać się biédzie. Góral téż dla swojej potrzeby jest cieślą, stolarzem, kowalem, rymarzem, szewcem, krawcem, tkaczem, pasterzem, furmanem, kupcem, a swoją drogą rolnikiem. Sam sobie dom zbuduje, sprzęty do niego robi, konia okuje, wózek wystruże, rolę uprawi i z małemi wyjątkami cały swój strój wyrobi. Z owczej wełny tkają sobie sami sukno na guńki, (tak zwane, cuchy), na spodnie; ze skór owczych mają kozuchy i serdaki; płótno na bieliznę i pościel, góralki robią ze lnu, którego dużo uprawiają. Kierpce sami sobie także sporządzają, mężczyźni wiążąc je u nóg rzemykami krają je tak, że z jednej sztuki skóry obuwie i rzemyk, zaś kobiety obwiązują kierpce sznurkami czarnemi z wełny wyrobionemi. Pozostaje im do kupienia tylko kapelusz.

Góralki zapaski swoje wyrabiają sobie same z płótna, dając je tylko farbować na dowolny kolor i deseń, a mają ku temu po wsiach farbierzy; noszą one guńki, kożuszki, prześcieradła, jak szale od święta, także swojej roboty, więc tylko kupować zwykły chusteczki na głowę, żywych kolorów, pod szyją wiązane i materye na gorsety. Wchodzą teraz w zwyczaj n góralek zamiast owych rańtuchów białych, chustki duże w franczkim guście, jaskrawej barwy, które nabywają od żydów po jarmarkach. Na szyi lubią Podhalanki zawsze mieć jakie paciorki, jeżeli nie korale; to ich imitacye różnokolorowe. W uroczyste dni można jeszcze widzieć góralki w żółtych butach, lecz już coraz rzadziej, bo w ich miejsce wchodzą trzewiki, zwykle niezgrabne bez obcasów, jak n górali buty zamiast kierpców, co wcale się do owego malowniczego pięknego stroju góralskiego nie stosuje; góral w butach wygląda jak niedźwiedź, a góralka w trzewikach jak żaba, bo przytém strasznie niezdarnej miny nabierają, gdy przeciwnie w kierpcach nwydatnia się n obojej płci ładna budowa nóg, zgrabność małych w ogóle stóp, właściwy przymiot mieszkańców Tatr.

Chaty obszerne jak i inne budynki gospodarskie świadczą o zamikowaniu górali tatrzańskich do porządku. Wszelki tu sprzęt zgrabny, mocny, do użytku zmyślnie zastosowany, zdradza poczucie piękna. Zwykli oni wszystkiemu nadawać ozdohne kształty, naturalnie wedle ich pojęć najpiękniejsze; miałem tej chęci zdobienia oczywisty dowód jednego roku w Zakopanem. Potrzeba było dla małego dzieciątka przywiezionego do Tatr kolebki; gospodarz tej chaty, n którego właśnie rodzice owego dziecięcia zamieszkali na czas lata, przypomniał sobie, że się poniewiera

gdzieś kolebka, w której się jego dzieci wykołysały. Począł jej szukać; była gdzieś w pożyczce, a po odebraniu pokazało się, że nie miała boków wyciętych w liniję zdobne, bo skoro się pierwszy raz w jego małżeństwie potrzeba kołyski zdarzyła, tak to jakoś nagle i niespodziewanie przypało, że zaledwie miał czas z prosta ją wyrobić, a potem się o zdobieniu zapomniało, teraz gdy gościom tym sprzętem wypadło usłużyć, nie mógł gazda przenieść na sobie ordynarnego kształtu kołyski, zabrał się zaraz z największą gorliwością do powycinania prostych krawędzi desek, i dopiero na użytek gości ją oddał.

To też w góralskiej chacie, stołki z plecami ciekawie powycinanemi, tak samo stoły, szafki, pułki, belki u powały żłobione, wszędzie chętko zdobienia, coby się daleko więcej rozwinęło, gdyby ich w szkołach uczono rysunku.

Obcoddzenie się wzajemne pośród rodzeństwa jak i z sąsiadami jest w Tatrach ujmujące, rodziców względem dzieci nawet pieściotliwe, coby kazało wuosić o istnieniu prawdziwego uczucia miłości, mimo to rozczarować się przychodzi, studyjując objawy wręcz temu przypuszczeniu przeciwne. Żal po stracie ojca, matki, brata, siostry, męża lub żony prawie nie sięga po za mury cmentarza. Jeszcze, jak mię ksiądz proboszcz Stolarczyk zapewniał, najprędzej dostrzedz można ślady prawdziwego żalu u rodziców po stracie dziecka. Małżeństwo u górali jest tylko interesem; usiłowałem na różne sposoby zbadać u tego ludu z innych względów poetycznego, chociaż iskrę uczucia miłości beziinteresownej i nigdy ani śladu tego nie udało mi się odszukać. Owszem przekonałem się, że ta interesowność zagusza w nich nawet wszelkie pojęcie pię-

kna lub brzydoty. Dziewczę, choćby z całej wsi najpiękniejsze, (a zdarzają się na Podhalu prawdziwe piękne kobiety) nie będzie wcale uchodzić za ładne u młodzieży góralskiej, jeśli za jej wdziękami nie będzie stać krowa, kierdel owiec, roli kawał i papierków guldenowych sumka spora. W chwili pójścia do ślubu jeszcze odbywają się tu targi zęb za ząb o podwyższenie posagu. Żadnej to różnicy nie sprawia młodzieńcowi, jeśli przybywszy ze swatami dla zaręczyn z obraną dziewczyną, inną jej siostrę mu przedstawia w tym celu, byle za nią mniej posagu nie dostał, wszystko mu jedno brać tę lub ową za żonę. A skoro umrze jedna żona, powiedział raz góral, to się wbija nowy kolek w oborze na nową krowę za drugą żoną. Wyśmianoby tu gazdę, gdyby z żoną szedł razem w święto, lecz należy do dobrego tonu, że się tak wyrażę, do cudzych żon zęby suszyć. Płeć żeńska wcale się nieodznacza w Tatrach skromnością, co można w części przypisać charakterowi namiętnemu ludu górskiego; niektórzy przypisywać chcą tego winę obcowaniu z turystami, kiedy w zakątkach zupełnie nigdy nieodwiedzanych przez podróżnych, wolność obyczajów pod tym względem panuje nieograniczona.

Wielką wadą naszych górali jest lekceważenie danego słowa. Dotrzymanie przyrzeczenia zależy od najdrobniejszej okoliczności u nich, tj. od ilości zysku, tak, że to uchodzi tu nie za obowiązek, lecz za wielką cnotę. Złamanie słowa lada czem potrafią sobie wytłumaczyć i nie robią sobie z tego żadnego skrupułu. Znajdują się wprawdzie od tej reguły w Tatrach wyjątki, lecz niestety wyjątki i to wcale rzadkie, a podstawą tego chciwość, w czem zdradzają wiel-

ki spryt. Sam na sobie wiele już doświadczyłem przykładów nierzetelności Podhalań, dla tego nie dziwię się, że wielu gości wywozi z Tatr jak najgorsze pojęcia o ludzie górskim, jeżeli nie mieli czasu ani sposobności poznać jego dobrych stron, któreby złe wrażenie zatrzeć zdołały.

Kreśląc obraz Tatr chociażby najpobieżniejszy, niepodobna się rozminąć z mową o pogodzie. Jest to kapryśna bogini, która wyrokuje o rezultacie wycieczki w góry, zmienia ich postać nie do poznania, a jeżeli trafi się lato deszczowe, tak jak np. w r. 1870 i 1872, to udających się tam podróżnych żałować przychodzi, że odcięci od ognisk świata cywilizowanego, znosić muszą z cierpliwością wszelkie wybryki dzikich żywiołów, nie mogąc nawet z Tatr uciec, gdy wezbrane wody odwrót zatamują. Zwykle w Tatrach pogoda zaczyna się przed wieczorem, gdy przy zachodzie słońca z szarą powłoką się wychyli i jaskrawo wierchy oświeci, mgły gdzieś rozpędzi, poczem sklepienie niebios w noc piękną, zabłyśnie gwiazdami ponad świeżo skapanemi halami, turniami, lasami, lub w całym blasku księżyc zajśnie na horyzoncie wypogodzonym: Czasem rano jeszcze chmurka jaka lub mgła nad dolinami zawisła, tarczę zasłoni wschodzącego słońca, lecz i tę wnet rozpędzi ożywcza siła jego promieni. Wówczas cała przyroda jakby w świątecznej szacie technie weselem, a tembardziej góry wiecznie młode, wiecznie w wiosnie, którym nawet zima zda się narzuca tylko postać uśpiania, a nie starości. Hulaszcze życie wiedzie w Tatrach natura, walczyć więc trzeba zawsze z jej zachceniami, stąd tak zmienna jej tu barwa. — Wszystko się w Tatrach uśmiecha, gdy czas piękny. Łąki upajają nam wzrok śliczną zielenością, a wonią napawają

powietrze, które z całą swobodą ciśnie się do piersi, chciwój takiego pokarmu; potoki czyste jak łza toczą się, rozbijając o napotkane głązy i pienia się śnieżną białością. Najbliższe wierchy lasem porośłe ciemniej, na tle dalszych błękitną barwą powleczonych szczytów, turnie odsłaniają swoje szczeliny, rozpadliny; murawy zieleniejące mechami, trawami, nęcą do siebie, obiecując ukazać z swego grzbietu świata tyle, że się ludzkie oko zduniewa nad jego rozmiarami, nad jego wielkością. A nad tém wszystkiem głębokie, niczem niezmierzone lazurowe niebo ¹⁶⁾.

Jest jakaś siła, potęga ducha ludzkiego, co zmusza człowieka zwalczać choćby najcięższe dla ciała przeszkody, aby się wznieść, jak najwyżej po nad poziom codziennego życia. W tem tkwi owa dla wielu niewy tłumaczona, niepojęta przyczyna wdzierania się ludzi na góry, na najwyższe wierzchołki ziemi, gdzie tylko pod nogami kamień, mech i śnieg.

Gdy zapuścimy się w głąb Tatr, gdzie czar piękna uwydatnia się tem silniej, wśród istotnych warunków uroku dolin przypada połowa na oświecenie. Owa cudowna harmonia barw, którą się zwykle pieścimy, znika, skoro się słońce za chmury skryje. Każda roślinka, zda się, że wszystkie swe wdzięki czerpie ze słońca, strumień, co toczy swoje wody raz jakby po szmaragdowém, to po granatowém, znów po złocistem łożysku, traci swe powaby, gdy się niebo

¹⁶⁾ Tatry leżą na granicy firmamentu, między szarawem błękitem północnych, a lazurem południowych krain, co przyznaje Zajsner w opisie Tatr, Biblioteka Warszawska roku 1849.

ołowianym całunem zasklepi. Jak silnie na człowieka oddziaływa w górach pogoda, mógł się każdy przekonać ile przyczynia się na uwydatnienie wdzięków przyrody słońce, gdy pod ich wpływem umysł ciągniony dąży na szczyty, szuka pokarmu dla swojej duszy, gdy mu go nie da życie na równinach wśród murów miasta, gdy go nie ukołysze, nie nastroi do wzniesienia się nad sferę powszednich kłopotów. Kto zaś szuka wrażeń silniejszych, niżli mu ich dostarczyć może wesoła w pogodę przyroda, czyj umysł łaknie przygód, wzruszeń, znajdzie je także pod chmurnem niebem Tatr naszych. Nie chcę tu mówić o owój nudnej szkaradnej ściece, co to zakrywszy wszystko naokoło, zmienia świat w krainę wilgoci, gdy mgła nieprzejrzysta, szara zawisnie nad ziemią, gdy słyhać tylko plusk deszczu, w takim stanie, gdyby długo potrwał, mógłby strętwieć najweselszy nmysł.

Lecz kiedy burza zahuczy ponad turniami, grom obleci odgłosem przepaście, doliny, gdy strop nieba utworzy z ziemią jedną nieprzerwaną ścianę z ulewnych promieni, gdy wierchy ciemną, jakby grobową przywdzieją szatę, dreszcz przejdzie ciało, jeżeliś nie pod dachem, jeżeli nie czujesz koło siebie ludzi! Owe cudne, przedtem do siebie nęcące Tatry tak straszna wtedy przyhierają postać, jakby miały tworzyć wstęp do piekła. Rozhukane żywioły potęgują dzikość górskiej przyrody, zda ona się grozić zgubą istocie, coby się ośmieliła w takiej porze jój wdzięki podpatrywać, jój mowę podsłuchiwać. Drzewa z korzeniami ściele pod stopy wieher; strumyk, co przedtem zaledwie umiał szemrać, teraz z trzaskiem, szumem toczy kamienie, którychby człowiek poruszyć nie zdołał. Biada wtedy w gó-

rach żyjącemu stworzeniu, skały się wałą, ziemia się ustępuje, woda zwłóczy na dół, co w drodze napotka, niszczy wszystko, łamie, gruchocze, to znów burza ucisza się na chwilę, chmury targają się o turnie, wiatr przepędza je z grzbietu na grzbiet, aż w końcu i to przemija. Niekiedy wychyli się czoło jakiego wirchu, jakby oderwane od ziemi, to znów się skryje, albo zarysuje słabo widzialnym śladem wśród spadającego deszczu, wreszcie wszystko zakryje ciemny całun złowrogi, co nawet odgłos grzmotów stłumi. Pomroka wtedy taka następuje. że chociażby dzień był w rozkwicie, nie nie widać na kilka kroków, wilgoć przejmie zimnem na wskrós, a trudno takiej biedy końca przewidzieć, może wkrótce przeminąć, a może potrwać i dni kilka. Na dolinie nie podobna odnaleść, co przedtém dopiero podziwianych uroków, wszystko smętne, posępne, zda się, że płacze; nawet naprózno szukałbyś owych cudnych, różnobarwnych tonów przezrocza potoku, męty wezbrane przewalają się zuchwale od brzegu do brzegu. zamulając nadbrzeżne zioła, a chociaż i nawała przeminie, jeżeli słońce nie zaświeci smutno w najczarowniejszej dolinie.

Kogo zaś burza pochwyci w turniach, temu już nie wrażeń szukać, lecz o byt własny walczyć przychodzi. Mgła, nieodstępny towarzysz słoty w Tatrach, lada skałę zamienia na niebezpieczne urwiska, trawy i kamienie ślizgną, że strach po nich stąpać a w końcu jeszcze potok odwrót zagrodzi. Po takiej długiej biedzie, wychylą się góry czasem śniegiem ubielone, co zwykle wystraszać gości nieznających górskich właściwości. Śnieg taki bowiem ginie wkrótce pod promieniami słońca.

Zważywszy tedy na ważność roli, jaką odgrywa w Tatrach pogoda, nie dziwnego, że się zwykło śledzić z gorliwością, każdy objaw wróżący zmianę powietrza. Jeżeli leje deszcz, słońca nam dokucza, szukamy dzielenia się chmur na grupy, przemiany jednostajnego stropu na bałwanki; badamy, czy mgła opada, czyli się podnosi w górę, czy góry odchylają czoła swe a nie stopy, czy wiatr z przeciwnej strony nie wieje i t. p. coby nam pogodę przepowiedzieć mogło. Gdy znów trwa czas piękny, obawiając się zmiany, wpatrujemy się, czy obłoczki, jakby pajęczyna nie rozwłóczą się po niebie, czy góry, lasy, doliny nie dymią się, czy szczytów chmury się nie czepiają, dopytujemy się górali, czy trawa po wierchach nie ślizga, czy salamandry z nór swoich nie wychodzą, zapowiedzi to bowiem słońca, a zwłaszcza, gdy w czasie pogody powstanie silny wiatr, który zawsze na pewne słońce zwiastuje. Czasem jednak to wszystko zawodzi, wszelkie rachuby mylą. W ogólności powiedzieć można, że słońca rano poczęta, rychło przemija, zaś ta, co popołudniu lub wieczorem zawita, lubi trwać dłużej.

Nie nad całymi jednak Tatrami zwykł panować ten sam stan powietrza; często na południowych ich stokach pogoda stała, gdy na północnych słońca i odwrotnie, co ma przyczynę w budowie Tatr. Rozpatrzywszy się bowiem w rzeźbie tego pasma gór, pokazuje się, że Tatry tworzą jeden główny grzbiet wijący się z zachodu na wschód w całej swjej rozciągłości bez żadnej przerwy, a od niego dopiero na południe i północ rozchodzą się poboczne grzbiety, zamykające pośród siebie różnej długości doliny. Dla wózka nigdzie przez Tatry przejazdu nie ma, a do przejścia naj-

niższe punkty są: na zachodnim krańcu: przełęcz Tomanowska (5210'), na wschodnim: przełęcz Kopą zwana (5352'). Ztąd łatwo sobie wytłumaczyć różnicę znaczną ciepłoty między stokami północnymi a południowymi Tatr.

Oprócz tego inna jeszcze okoliczność wpływa na odmienną charakterystykę Tatr po jednej lub drugiej stronie grzbietu głównego. Od południa rdzeń pasma bezpośrednio wznosi się z równiny do wysokości najwyższych szczytów tworząc przez to, szereg małej liczby wierchów prawie jednej miary, podczas gdy od północy szeroko rozgałęzione stoki z reglami, jakby na straży postawionemi przy ujściu dolin, wierchy najrozmaitszej wielkości i kształtu, nadają Tatrom postać rozległego łańcucha gór, najeżonego mnóstwem turni i urwisk, poprzeżynanego licznymi dolinami.

W kierunku znów ze wschodu na zachód, znachodzą się główne odmiany w paśmie Tatr już nie ze względu temperatury, lecz co do gatunku kamienia. Wpływa to na kształt gór i charakter dolin. Wedle calca podzielono cały obszar Tatr na dwie części, z których wschodniej rdzenia miano przyznano, to jest: od Łomicy do Świnnicy, gdzie wszystko z granitu, dalej zaś wapień i gnejsz, znów na krańcu w Rochaczach granit się wynurza, zamykając na zachodzie śliczne nasze Alpy.

Granit tworzy jednolite wielkie masy skał bez szczelin, co jest powodem formacyi jezior górskich, mają one w Tatrach prawie wszystkie granitowe łożysko; źródeł mniej bywa w granicie, niż w gnejsie i w wapieniu, potoki zwykle uchodzą z jezior, zapełniających się wodą deszczową, gdy przeciwnie najwspanialsze źródła, z najwyborniejszą wodą tryszcą z wapieni. Roślinność także nie tak chętnie się

rozwiła na granicie, bo urwistość skał granitowych przeszkadza wytwarzaniu się warstwy ziemi, potrzebnej dla najdrobniejszej roślinki, a mimo to dostępnejsze są turnie granitowe od wapiennych z przyczyny niejednostajnego rozkładu powierzchni kamienia. Skaleń (feldspat) i błyszczyczków łatwiej się wykwaszają w granicie niż kwarc, przez co, sterczące kryształki trwalszego składnika w kamieniu nadają mu chropowatą powłokę, po której można bezpieczniejsz stapać, niż po ślisgim wapieniu, zdradliwym jeszcze swoją kruchliwością.

To wszystko razem zebrane wyjaśnia nam różnicę gór granitowych od gnejzowych i wapiennych, że je już zdala rozeznać można. Góry gnejzowe i wapienne mają postać grzbietów połogich, foremnych, gdy granitowe piętrzą się w dziko poszarpanych liniach. Nawet doliny, choćby wśród najfantastyczniejszych skał zawarte, jeżeli są formacyi wapiennej, zupełnie odmienne wrażenie sprawiają, ustrojone w drzewa, krzewy i bujną roślinność swoją romantycznością czarują, gdy granitowe doliny swoją dzikością, nagiemi olbrzymimi turniami, strasznymi przepaściami, umysł ludzki przerażają. Jako najznakomitszy okaz charakterystyki dolin i wierchów wapiennych w całych Tatrach, posłużyć może dolina Kościeliska, zaś granitowych, dolina Białej wody wiodąca pod Wysoką z doliny Białki, naprzeciw ujścia Roztoki Wołoszyńskiej.

Jedna i druga jest coś tak cudownie wyszukanego pięknego, że trudnoby się silić na opisanie ich słowami, kto widział dolinę Kościeliską i Białą oświeconą słońca promieniami w godzinach południowych, ten może sobie

powiedzieć, że oglądał coś, co z przyrody jest najpiękniejszego w świecie.

Że oprócz nich na północnych stokach Tatr mieszczą się najpiękniejsze jeziora: Morskie Oko, Czarny Staw, największy wodospad Siklawa (204 stop wied.) trzeba przyznać pierwszeństwo co do piękności pod każdym względem północnej stronie Tatr, gdy południowa przewyższa ją olbrzymością najwyższych szczytów, dzikością dolin, obrazem przerażającym tworzenia się powierzchni ziemi, gdzie śmierć ustąpiła, a życie jeszcze nie odważyło się zamieszkać.

Kto błąkał się w Tatrach po pustkowiach sinych głazów wśród turni, które zdają się jakby usiłowały wdrzeć się do nieba, wśród jezior, których czarność świadczy o niesłychanej głębi, mógł się przekonać, jak mimowolnie bojaźń jakaś człowieka ogarnia, zatęskni się za chatą, za ludźmi, i po doznaniu tak silnie wzruszających wrażeń rad, gdy się znajdzie pod dachem.

Nic tedy dziwnego, że fantazja ludzka osnuła tyle podań, baśni, powieści o Tatrach, kiedy to jest naturalnem następstwem umysłowych wrażeń z natury powziętych. Wszak w baśni n. p. o łączności Morskiego Oka z morzem, nie trzeba jedynie upatrywać brak wiadomości z nauk przyrodniczych, lecz raczej objaw owój fantazyi człowieka wynikłej z wrażeń odniesionych wśród dzikiej przyrody górskiej. Przecież przeszłego wieku w epoce szyderstwa z wszelkiej wiary królowi Stanisławowi Augustowi przysłano okruchy znalezione w Morskiem Oku w Tatrach z okrętu rozbitego na morzu Adryatykiem i belki te jako osobliwość zawieszono

w zamku Warszawskim każdy mógł oglądać ¹⁷⁾. Z wszelką też powagą Andrzej hr. Kuropatnicki w swojej geografii Galicyi (*wydanéj r. 1786*); wymieniając tatrzańskie osobliwości rozpowiada że są: „jeziora na wysokości gór, na których ułamki z kawałków okrętowych pływają.“

Dopiero trzeba było Staszycza, który zmierzwszy głębinę Morskiego Oka w roku 1804, zadał kłam powieściom o bezdenności tego jeziora ¹⁸⁾.

¹⁷⁾ Zejszner. Tatry polskie, Biblioteka Warszawska, rok 1849.

¹⁸⁾ Przy tój sposobności sprostować się godzi mylnie rozszerzone wiadomości co do głębi Morskiego Oka, cytowane z dzieła Staszycza: „O ziemiordztwie Karpatów, a przyczyną tego przemiana nazw i pobieżne czytanie badań pierwszego z Polaków badacza Tatr. Górale do dziś dnia zowią Morskie Oko, Rybiem jeziorem lub stawem, przewodnicy tylko przejęli tę przemianę nazw od turystów, gdyż właściwie Morskiem Okiem jest tak teraz zwany Czarny Staw nad Rybiem 526 stóp wyżej położony, powierzchnia jego wody więcej ma podobieństwa do zwierciadła morza, bez że nad jego brzeg trzeba było się drzeć naokoło Rybiego jeziora, więc dla wygody a zaspokojenia ambicyi, iż lię zwiedziło Morskie Oko, skrajny staw tem mianem ochrzczono, nazwę zaś stawu Czarnego przeniesiono na Morskie Oko ze stawu po za Mnichem położonego, i tak się to jakoś utarło że goście przybywszy nad jezioro Rybie, niem się zadowolniają, a Czarnego Stawu nie zwiedzają, chociaż rzeczywiście do niego się stosują owe cudowne o Morskiem Oku opowieści. Wiedział, co robi biskup Ziegler z Tyńca, stawiając w granitowym glazie krzyż żelazny z napisem: „Hic non plus ultra, non supra, nisi in cruce D. N. J. Chri-

Życie roślinne w Tatrach jak wszędzie w górach przedstawia dziwne zjawisko: obok platu wiecznego śniegu kwitną najcudowniejszej barwy kwiaty, przewyższające swoich braci w równiach, tak pod względem siły koloru, jak woni. Stosunkowo do listowia, i łodygi bujność kwiatu jest tu w górach większą; wydaje się, że życie rośliny całej jednoczy się w kwiecie.

Przyczyn tego botanicy szukać każą w mniejszem ciśnieniu powietrza z powodu wzniesienia znacznego nad poziom morza, w silniejszej czynności elektryczności i większem skupieniu promieni słonecznych.

Roślin rocznych bardzo mało Tatry liczą stosunkowo do ozimych.

W miarę wznoszenia się w górę, ilość ciepła się zmniejsza, co wpływa na zmianę roślinności tak, że się tworzą pewne linie wegetacyjne, tak zwane zasięgi pionowe, z właściwymi sobie gatunkami roślin, jakie rosną w odpowiednich strefach ziemi pod względem klimatu, im wyżej rosnące, tem bliższe krain podbiegunowych.

sti.“ umieścił go bowiem nad brzegiem Czarnego stawu, a nie jeziora Rybiego, teraz Morskiem Okiem przezwanego.

Głębszy jest Staw Czarny od Morskiego Oka, Staszyc z wielką starannością mierzył jego głębie i kula ołowiana najniższy punkt dna wskazywała 583 stóp, gdy głębokość Rybiego mierzył Zejszner i najwyższą miarę odnalazł w stronie ku turniom Mnicha 146½ stóp par. W innych miejscach 300 stóp od brzegu głębokość wynosi 99 stóp, dalej 128, następnie w połowie długości jeziora 140 — 144 stóp par., a zatem przeszło cztery razy głębszy jest Staw Czarny od Morskiego Oka.

Choćbyśmy tedy niewiedzieli w jakiej się wysokości znajdujemy, chodząc po górach, a mając w pamięci cyfry zasiągu wybitniejszych roślin, łatwo nam się w przybliżeniu wedle nich orjentować. Ścisłe oznaczyć trudno owe linie wegetacyjne, gdyż na ich zmianę wpływają często wyjątkowe okoliczności, lecz na podstawie licznych badań wielu botaników dadzą się pewne dane w tej mierze przyjąć za regułę dla roślinności w Tatrach.

Górna granica żyta, jęczmienia i drzew owocowych:			
na północnych stokach Tatr	730 metr.	2309 stp w.	
na południowych żyta	790	2499	„ „
„ jęczmienia	877	2774	„ „
Górna granica na północnych stokach			
gruszy i jabłoń	790	2499	„ „
Górna granica na północnych stokach			
ziemniaków	827	2616	„ „
owsa	1000	3163	„ „

Drzewa:

Grab rośnie do wysokości	439	1389	„ „
Klon krzewny rośnie do wysokości	650	2054	„ „
Olsza czarna „ „ „	704	2227	„ „
Lipa „ „ „	802	2537	„ „
Klon zwyczajny „ „ „	803	2540	„ „
Dąb na Spiżu, bo na Podhalu no-			
wotarskim wcale dębów nie ma	836	2644	„ „
Cis rośnie do wysokości	853	2698	„ „
Wiąz „ „ „	896	2834	„ „
Brzost „ „ „	953	3015	„ „

Jesion rośnie do wysokości . . .	1000 met.	3163 st. w.
Brzoza, na połudn. stokach Tatr . . .	1576	4986 " "
" " północ. " " . . .	1039	3287 " "
Buk rośnie na wysokości do . . .	1185	3749 " "
Sosna " " " " . . .	1233	3900 " "
Jawór na granicie do . . .	1270	4018 " "
Jodla, na południowych stokach . . .	1087	3439 " "
" na północnych " . . .	1292	4087 " "
Wierzba, na wysokości do . . .	1475	4666 " "
Jarząb " " " " . . .	1495	4729 " "
Świerk, na północnych stokach do . . .	1486	4701 " "
" na południowych " " . . .	1587	5020 " "
Modrzew, rośnie " " " . . .	1557	4926 " "
Limba, " " " " . . .	1709	5406 " "
Kosodrzewina poczyna się na wysok. . .	1330	4207 " "
" a kończy się na wysok. . .	1980	6264 " "

(Rocznik Komisji Fizyograficznej Tow. N. Kr. 1867).

Zdala przypatrując się łańcuchowi Tatr granice te właściwą sobie harwą się odróżniają i tak: stopy gór nużają się w czarnym wysokopiennym lesie, który coraz wyżej przerzedza się i zamienia niby w kępy mchu, są to krzewy kosodrzewiny; wreszcie i ta ginie, a z niej wychylają się albo grzbiety bujną trawą porosłe, albo nagie tnrnie, miejscami zieleniejące mchem lub trawą. Łagodną tę przemianę barw nagle tu i owdzie przerywają białe płatki śniegu, które zdala wydają się skrawkami papieru, a w rzeczywistości są to rozległe płaty, jak rynek niejednego miasta.

Co do oznaczenia najniższej granicy wiecznych śniegów w Tatrach, nieudało się dotąd hadaczom natury nie pe-

wnego odnaleść, gdyż góry te z powodu Tatom tylko właściwych okoliczności, wiele w tym względzie do rozwiązania kwestyj nasuwają. Wedle geograficznego położenia linija śnieżna, to jest granica wszelkiego życia przypada w Tatrach na wysokości 8100 stóp, gdy tymczasem kwiaty kwitną na szczycie Łomnicy 8342 stóp.

Właściwych lodowców (gleczerów) Tatry nie mają, tylko śniegi zlodowaciałe. Na wysokości lodowców Szwajcarskich n. p. Untergrindelwald 3237 stóp Rosensgletscher 3227 stóp i innych rośnie u nas groch, żyto, i ziemniaki, i t. p. Śniegi wieczne tatrzańskie inną mają postać od śniegów zwykłych corocznych. Z tych co spadną w zimie ta część, która na wiosnę od deszczu i ciepła nie zginie, nabiera przez lato w siebie wody, kłęśnie, twardnieje, a następnej zimy mrozami ścięta wytwarza gatunek lodowców chociażby najgłębiej rąbanych, twardych, szarych, zupełnie nieprzejrzystych, z powierzchnią falistą.

Na takie płaty wiecznego śniegu zdaje się, że słońce nie ma wpływu żadnego; światło odbija się od błyszczącej ich powierzchni, nie zostawiając śladu. Ciepłota śniegów mierzona w ich głębi była zawsze większą od ciepłoty na powierzchni ¹⁹⁾. Głównym ich nieprzyjacielem jest deszcz i ciepły wiatr. Deszcz śniegi te od spodu liże, podmywa, czasem nawet całe ich płaty zsuwa na dół. Lecz co w ten sposób lato ich wyniszczy, to zima przysporzy, że w jednych i tych samych miejscach i prawie zawsze tej samej rozległości przechowują się stale zlodowaciałe śniegowiska.

¹⁹⁾ Staszyc. O Ziemiordztwie Karpatów.

Oprócz nich w wielu zakątach, żłebach, znachodzą się śniegi niby stałe, ale nie wieczne, zupełnie podobne kolorem, zbitością do wiecznych, które ginąć zwykły jedynie w latach bardzo deszczowych, z wczesną wiosną. Kilkusąźniowej ich grubości promienie słońca choćby najgorętszego lata nie przemogą, do drugiej zimy się przechowują, a następnie i dalej, jeżeli deszcz śniegów tych nie splucze (np. na Zawracie, na Poiskim Grzebieniu). Staszyc podaje 3600 stóp. jako najniższą granicę wiecznych śniegów na północnych stokach Tatr i to jeszcze w zaułkach nigdy słońca nieoglądających (np. pod Giewontem w górnej części doliny Strążysk). Na wierzchołkach gór w Tatrach go nie ma, bo stromość turni nie pozwala śniegowi w takiej warstwie się utrzymać, aby go wicher nie zwał, a deszcz nie splukał.

Wiosna w Tatrach jest główną burzycielką, bo to co się ostoi przed nawalnością burz letnich, przed gwałtownością śnieżnic w zimie, przed siłą mrozu rozsadzającego skały, tego dokona wiosna: skruszy, strąci, oberwane złomy w dół poniesie i w równie potoczy. Słusznie też ze Staszyceni, pierwszym narodowym badaczem polskich Alp powiedzieć możemy o ziemi; „Jakże więc mało rzetelnego obrazu z pierwotnej budowy naszego świata zostać się musiało!“

Tatry w odległości takiej, aby ich cały łańcuch objąć można było oczami z jednego punktu, najwspaniałej przedstawiają się z północy od Nowego Targu. Z widokiem tym żaden inny z którejkolwiek innej strony, nawet rywalizować nie może; wydaje się jakby te góry formując się, chciały frontem do Polski się ustawić. W tym samym kierunku zbliżając się ku Tatrom, pyszna to panorama o ile

się uwydatnia szczegółami, o tyle gubi się w rozciągłości, mimo to nie traci na wspaniałości, ani piękności. Z bliższych widoków Tatr należy się pierwszeństwo przedewszystkiem obrazowi, jaki się roztacza zdumiałemu podróżnemu z Głodówki z najwyższego wzgórza we wsi Bukowinie przy drodze do Morskiego Oka. Cały (z małemi wyjątkami), łańcuch Tatr przedstawia się ztąd, jakby w wachlarz rozwinięty okrąg różnej wysokości i kształtu wierzchołków, turni, regli, polan, lasów porozdzielanych dolinami, że wzrok tonie w tych przestworach. Drugi wspaniały widok na Tatry zwłaszcza na zachodnią połowę Tatr przedstawia się z Gubałówki, wzgórza od północy zaległego nad Zakopanem.

Z przeciwnej zaś strony, to jest ze Spiża i Liptowa, objeżdżając całe Tatry naokoło, najwspaniałej wydał mnie się ich widok od Kieszmarku. Łomnica ztamtąd wygląda, jakby królowa tych gór, majestatycznie i dumnie wznosi swe czoło ponad całe Tatry, gdyż Lodowy prawie jęj równy, a Gierlach nawet wyższy, chowają się gdzieś poza sąsiedniemi szczytami.

Do rozpatrzenia się znów wewnątrz Tatr służą przedewszystkiem wierzchołki gór odosobnionych, jak np. Bystra (Pyszna) Czerwone Wierchy, Szeroka Jaworzynska, albo miejsca gdzie się grzbiety krzyżują, np. sławne Krzyżne Wołoszyńskie, albo wreszcie najwyższe szczyty dominujące swemu otoczeniu jak Lodowy, Świnnica, Gierlach, Waga i t. d.